

Hans Hellmut Kirst
BEZ OJCZYZNY

Bonn jest w połowie tak duże jak Cmentarz Centralny w Chicago, ale dwa razy bardziej martwe.

Pewien amerykański dziennikarz
o stolicy Republiki Federalnej Niemiec

Prawda — powiedział — zbyt łatwo wiedzie nas ku pewności, błąd jest często o wiele bardziej pouczający.

Wszystko się powtarza, a prawo dzisiaj jest tak słabe jak wczoraj — tak słabe i tak silne.

Alain

I

Los z dostawą do domu, jednak po dość wysokiej cenie

Leżała w poprzek wąskiego korytarza, tuż pod drzwiami jego apartamentu. Zupełnie jak wyrzucony, bezwartościowy przedmiot. Jej twarz, jak jedwabną zasłoną, zakrywały jasno utlenione włosy. Widać było sączącą się lepka czerwień.

— Wstawaj, dziewczyno! — powiedział Karl Wander. — Przezięb się pani!

Nie poruszyła się. Pochylił się nad nią, wyglądała na martwą, jak manekin. Spódnica z błyszczącego materiału ciasno opinała wypięte pośladki. Nogi przywodziły na myśl tory saneczkowe.

— Tamuje mi pani przejście — powiedział. — Chyba po myliła pani adres. Ja tam nie przejmuję się przeszkodami, jakiegokolwiek by one były.

Usłyszał jej jęk, który brzmiał, jakby konała, ale powoli, nie bez przyjemności. Znał tego rodzaju odgłosy, należały do najczęściej wydawanych przez pewną kobiecą grupę zawodową. W tym świecie tandety — pomyślał — nawet uczucia dostarczane są jak na zamówienie z katalogu wysyłkowego.

Przykłęknął, żeby się jej przyjrzeć z bliska. Poczował przenikliwy, natrętny, tamujący oddech zapach zimnego potu, moczu i krwi, wszystko zmieszane ze słodką wonią perfum i kwaśnym odorem alkoholu. Zapach półświatka, pomyślał.

— Zawsze się może zdarzyć — stwierdził Karl Wander — tylko niekoniecznie od razu pod moimi drzwiami.

Chwytał ją za ramiona i obrócił. Zobaczył woskowobladą twarz, jaskrawo umalowane usta, podobne do dwóch ostrych

kresek podsumowujących rachunek. Głośno jęknęła. Kiedy mocniej ją chwycił, wydała z siebie przenikliwy, na wpół zduszony okrzyk zranionej mewy.

— Niech się pani opanuje! — powiedział. — Jest północ i moje potrzeby kontaktu z wyuzdaną kobiecością są od dłuższego już czasu zaspokojone. Niech pani spróbuje więc zamknąć swoją chwilowo niezbyt ładną buzię!

To mówiąc Karl Wander powlókł ją, niczym drwał, który ciągnie pień drzewa, do swojego pokoju. Apartament numer 204. Koblenzer Strasse. Bonn.

— I pan sobie na to pozwolił?

Było to pytanie lekarza pogotowia ratunkowego po tym, jak zbadał dziewczynę.

— Czasami pozwalam sobie na różne rzeczy — odparł Karl Wander rozpięając się w fotelu. — Cóż tym razem miałyby to być, pana zdaniem?

— Na dodatek sprawia pan wrażenie całkiem zadowolonego.

Lekarz mógł mieć niewiele ponad trzydziestkę, ale jego oczy spoglądały już chłodnym wzrokiem starca. Pożółkła i zszarzała skóra wyglądała jak luźny, nylonowy pokrowiec.

— Ale przejdzie panu ta pewność siebie, już moja w tym głowa!

— A w jaki sposób zamyśla pan to zrobić? — Karl Wander bawiąc się kieliszkiem koniaku obserwował, jak z miejsca w łoży, całe widowisko: w jasno oświetlonej sypialni leżąca na łóżku na wpół naga dziewczyna, w drzwiach przypatrujący się mu lekarz.

— Złożę meldunek — powiedział.

— Co do mnie, to niech pan składa, co się panu podoba — odparł Wander i ponownie napełnił sobie kieliszek. Potem, jakby w geście zaproszenia podsunął butelkę lekarzowi, ten jednak ją zignorował.

— Kopia meldunku pójdzie na policję — stwierdził ostro.

— Niech idzie gdziekolwiek — powiedział Karl Wander.

— Mnie, w każdym razie, to wszystko nie dotyczy!

— To się chyba dopiero okaże! — odrzekł lekarz uparcie.

Doktor Bergner z obrzydzeniem przypatrywał się pijącemu koniak mężczyźnie w średnim wieku, który sprawiał wrażenie wyzywająco obojętnego. Z narastającą wrogością dodał ciszej, prawie szeptem: — Co wy, świnię, sobie właściwie wyobrażacie?

— Czyżby mnie miał pan na myśli? — zapytał z lekkim tylko zdziwieniem Karl Wander.

— Nie macie żadnych zahamowań, wy dranie! — doktor Bergner pochylił się, jakby zamierzał splunąć Wanderowi w twarz. — Dla was ludzie to nic więcej, jak tylko przedmioty codziennego użytku — po wykorzystaniu do wyrzucenia! Środki podniecenia seksualnego! Ale tym razem nie wykręci się pan tak łatwo!

— Za często chyba chodzi pan do kina, doktorze, i to najwyraźniej, na niewłaściwe filmy. A może u pana wystarczy już telewizja? Coś takiego zawsze kiedyś się zemści!

— Ta dziewczyna — doktor Berger wskazał na istotę na łóżku Wandera — została brutalnie zgwałcona. Należy przypuszczać, że była bita, chyba także kopana i duszona.

— Powiedział pan: należy przypuszczać — Karl Wander spojrział z uprzejmym zainteresowaniem. — A więc tak dokładnie, to pan nie wie?

— Próbuje pan przy pomocy tanich chwytów wykręcić się sianem?

— A mam się z czego wykręcać? — Po twarzy Wandera przemknął zmęczony uśmiech. — Ten cholerny świat nie jest znowu taki całkiem prosty, jak pan zdaje się go sobie wyobrazać, a przynajmniej zdarzają się pewne niuanse. Nasza dziewczyna mogła przecież, ostatecznie bez niczyjej pomocy, spaść na przykład ze schodów, czy coś w tym guście. Może to jakiś, przez nią samą zawiniony, wypadek przy pracy?

— Nie przywiązuję najmniejszej wagi do tego rodzaju łajdackich wykrętów!

— Znałem kiedyś pewną młodą damę podobnego pokroju, która próbowała walić głową w drzwi, bynajmniej nie w ścianę. Proszę zwrócić uwagę na tę subtelną różnicę.

Obojętnie, w jak wielką wpadła histerię, zawsze na czas rozpoznawała właściwy materiał. Ileż istnieje wspaniałych, oszałamiających możliwości!

— Moim obowiązkiem jest jedynie zarejestrowanie zastanego stanu rzeczy! A zastałem ciało kobiety całe w ranach po pobiciu i siniakach. Było w pańskiej sypialni, na pana łóżku. To chyba jednoznaczna sytuacja, nieprawdaż?

— Wręcz przeciwnie, doktorze. Szuka pan pod zupełnie niewłaściwym adresem. Nie znam tej dziewczyny, nigdy jej przedtem nie widziałem, nie wiem, skąd pochodzi ani jak się nazywa.

— A w pana łóżku leży zupełnie przypadkiem.

— Kiedy wróciłem do domu, leżała na środku korytarza przed moimi drzwiami. Jak zdeponowany towar. Nie miałem wyboru, musiałem się nią zająć.

— Niech pan to udowodni — powiedział doktor Bergner — ale nie mnie. Ludziom pańskiego pokroju tak czy owak nie wierzę. Policji niech pan spróbuje wmówić, że spełnił pan jedynie samarytańską posługę, jeśli w ogóle pan wie, co to takiego.

Karl Wander odstawił kieliszek i podniósł się z wysiłkiem. Przeszedł do sypialni, sięgnął po torebkę dziewczyny leżącą na nocnym stoliku i otworzył ją. Szybkimi ruchami skontrolował zawartość. Następnie rzeczowo skomentował:

— Nazywa się Morgenrot, na imię ma Ewa, to widnieje na wizytówce. Mieszka w tym samym domu, pod numerem 304. Zapewne pomyłkowo dostarczona została pod niewłaściwe drzwi, doręczycielowi pomieszały się pietra. To już chyba wszystko.

— Mieszka w tym samym domu, a pan twierdzi, że jej nie zna?

— W tym domu jest około czterdziestu mieszkań, w których mieszka około siedemdziesięciu osób. Mijają się jak biegające mrówki, jeżeli w ogóle kiedykolwiek się ze sobą spotykają. Tego typu kamienice nie są miejscem pielęgnowania wspólnoty lokatorów, można by je raczej nazwać nowoczesnymi koszarami do spania, spółkowania i trawienia.

— Ale takiej dziewczyny zazwyczaj nie mija się obojętnie — doktor Bergner wskazał na Ewę Morgenrot.

— Być może — odparł Karl Wander, — Niestety, nie miałem ku temu najmniejszej okazji. Dopiero dzisiaj po południu przyjechałem do Bonn. Mam też nadzieję, że to, co mnie spotkało, nie jest rzeczą normalną, bo nastawiłem się na innego rodzaju rozrywki.

Drzwi apartamentu 304, jak wszystkie pozostałe w domu, tworzyły imitującą drewno tekowe, modnie przyciemnioną powierzchnię. Na nich numer jak ze złota, zrobiony jednak z polerowanej blachy.

Karl Wander zadzwonił tylko raz, a już po kilku sekundach drzwi otworzyły się.

Ujrzał osobą wyglądającą na ideał sztuki kosmetycznej — wydawała mu się dziwnie znajoma, choć nie od razu wiedział, skąd. — Jakby prosto z Hollywood — pomyślał — z działu komedii z życia wyższych sfer. Coś takiego o drugiej w nocy!

— Cóż za niespodzianka — stwierdziło z subtelną ironią w głosie luksusowe wcielenie kobiecości.

Oczy Karla Wandera spoglądały z niedowierzaniem w oblewający go jasny potok światła. — Sabina? — spytał bezgranicznie zdumiony.

— Mam nadzieję, że jedynie pomylił pan drzwi — od powiedziała odsuwając się z gracją na bok, tak że światło padało na jej twarz i zarys pięknego ciała.

Teraz już wiedział: To Sabina! Miała na sobie świecącą, błękitną podomkę ściśle przylegającą do ciała, ciała, które kiedyś poznał, nawet dość dokładnie. Wspomnienia powróciły z bolesną wyrazistością, mimo dziesięciu lat, które zdążyły upłynąć.

— A więc znowu się spotykamy! — stwierdził.

— Żadne z nas nie musi pamiętać o tym, co było kiedyś — rzekła wymijająco. Jej duże oczy spoglądały łagodnie i pewnie, jak u świętych krów, które wiedzą, że nie wolno ich zabić. — Czemu zawdzięczam te odwiedziny?

— Myślałem, że mieszka tu niejaka Ewa Morgenrot — odpowiedział.

— Tak, ona też tu mieszka! Ale nie ma jej teraz.

Usta Sabiny prawie się nie otwierały, oczy lekko zwężyły się, jakby patrzyła na niego przez szkło powiększające.

— No, bo też i nie może, ponieważ owa Ewa Morgenrot leży u mnie na łóżku, dokładnie piętro niżej, apartament 204.

Karl Wander spoglądał przy tym na jej biust, jak wszystko inne wydał mu się znacznie okazalszy niż kiedyś.

— Cholera! — usłyszał.

Powiedziała to bez śladu jakiegokolwiek poruszenia na swej pięknej jak orchidea twarzy, jakby mówiła na przykład „cześć” czy „o, przepraszam”, czy nawet „najdroższy”. Przypomniawsobie, że we wszystkich sytuacjach życiowych uznawała tylko jedną intonację, i ta jej też wystarczała.

— Jak to się mogło stać ? — zapytała.

— Chyba pomyliła adres — odpowiedział instynktownie.

Sabina skinęła głową, ale nie w jego stronę. Nie patrzyła nawet na niego, jakby chcąc dać do zrozumienia, że jego egzystencja nic jej już nie obchodzi. Pogodził się z tym nawet bez większych oporów, gdyż ich wspólna przeszłość, na szczęście niezbyt długa, miała dla Wandera zastanawiająco fatalne skutki. Nie odczuwał najmniejszej ochoty do przywoływania jej z powrotem.

Sabina, nazywająca się obecnie Wasserman-Westen i nosząca, o czym jeszcze nie wiedział, tytuł baronowej, krzyknęła w głąb mieszkania: — Klaus, ona leży piętro niżej!

Zaraz potem pojawił się Klaus — niejaki doktor Klaus Barranski, również lekarz, do tego niezwykle utytułowany, co wyraźnie zdradzał jego wygląd, a także zapach.

Doktor Barranski pachniał na odległość najlepszymi francuskimi perfumami i podobnie też dawał się poznać jako świadomy swego wyglądu model mody męskiej. Jego kunsztownie ułożona siwizna połyskiwała delikatnie, zielone oczy patrzyły jak u kocura, który dokładnie wie, gdzie siedzi ptactwo.

— To wspaniale — odezwał się tenże Barranski dobrze naoliwionym głosem — wspaniale, że wreszcie ją odnaleźliśmy.

Był to głos jakby stworzony do „Słowa na niedzielę”, dźwięczny, dobrotliwy głos cnotliwego chrześcijanina i dobrego wujaszka. — Właśnie zaczynaliśmy się martwić o naszą Ewę. Jak ona się czuje?

— Leży na moim łóżku.

Sabina von Wassermann-Westen zerknęła zdziwiona w stronę Wandera. Potem jednak w dalszym ciągu starała się sprawiać wrażenie, że w ogóle go nie dostrzega.

Doktor Barranski, ani na chwilę nie tracąc swojej efektownej, duszpasterskiej elegancji, zapytał: — Czy z Ewą wszystko w porządku?

— A czego się pan spodziewał? — zripostował Karl Wander.

— Na razie oczekuję jedynie informacji.

Wydawało się, że Barranski, niezależnie od tego, z kim miał do czynienia, w każdym upatrywał potencjalnego pacjenta, co zwykle czyniło tego kogoś pokorniej szym, gdyż zmuszony był myśleć o ewentualnym honorarium. A Barranski nie wyglądał bynajmniej na taniego.

— Tak, informacji, w miarę możliwości dokładnej — dodał zachęcająco.

— Proszę bardzo. Na pannę Morgenrot natknąłem się w korytarzu, była mocno poturbowana, dostarczona bezpośrednio pod moje drzwi, mimo że nic takiego nie zamawiałem. Wciągnąłem ją więc do mieszkania.

— Czy coś mówiła?

— Co, na przykład?

— A więc nic nie powiedziała. — Doktor Klaus Barranski stwierdził to nie okazując przy tym na przykład ulgi. Wydawało się, że nie ma dla niego problemów zbyt trudnych do rozwiązania. Z wyższością skinął głową w stronę Sabiny. Następnie zwrócił się do Wandera: — Proszę zaprowadzić mnie do Ewy Morgenrot.

— Chętnie — odparł Wander i ochoczo ruszył przodem.

Obaj lekarze spoglądali na siebie jak psy, pomiędzy którymi leży potężna kość. Doktor Barranski przypominał masywnego, ale łagodnego i spokojnego buldoga, podczas

gdy doktor Bergner z pogotowia zachowywał się jak podniecony pinczer.

Karl Wander przypatrywał się obydwóm z narastającym współczuciem. — Proszę, nie krępujcie się panowie, czujcie się jak u siebie w domu.

— To mój przypadek — zawarczał Bergner.

— Ma pan niewątpliwe prawo tak twierdzić, szanowny panie kolego. — Barranski oznajmił to niezwykle poważnym tonem, z wyraźną, niczym nie zmaconą wyrozumiałością w głosie. — Pozwoli pan jednak łaskawie zwrócić sobie uwagę na fakt, że ta młoda dama, panna Ewa Morgenrot, jest moją stałą pacjentką.

— Ale nie teraz. Nie w tym stanie rzeczy — oświadczył krnąbrnie Bergner.

Karl Wander usiadł, razem z fotelem przesunął się w kąt pokoju, jakby chciał zapewnić sobie możliwie dokładny przegląd sytuacji. Wskazał na leżącą bez ruchu w sypialni Ewę Morgenrot. — Zdaniem doktora Bergnera — zaczął skwapliwie wyjaśniać — dostała się w ręce jakichś łajdaków.

— Och nie, bardzo proszę! — doktor Klaus Barranski spojrzał z serdecznym zatroskaniem w oczach. — W tej sytuacji zwykle nie da się natychmiast odtworzyć rzeczywistego przebiegu wypadków.

— Dokonałem jedynie oględzin, ale ich wynik jest jednoznaczny — stwierdził z uporem lekarz pogotowia.

— Byłbym daleki od poddawania go w wątpliwość, panie kolego, pozwolę sobie jednakowoż na wyrażenie pewnych obiekcji.

Zwrot: „panie kolego” brzmiał niezwykle uprzejmie, był jednak wypowiedziany w sposób, w jaki dyrektor zakładu oczyszczania miasta przemawia do szeregowego śmieciarza.

— Pańska diagnoza jest niewątpliwie właściwa. Jednak nie są panu znane pewne okoliczności, o których ja, jako lekarz prowadzący, wiem, zresztą od dłuższego czasu.

Doktor Klaus Barranski podszedł do Ewy Morgenrot. Pochylił się nad nią, dotknął jej czoła, zbadał puls, uniósł powieki, osłuchał serce, wszystko szybkimi, precyzyjnymi

ruchami, jak gdyby siedział przy tablicy rozdzielczej. Zajęło mu to zaledwie kilka minut.

— Tak więc przejmuję moją pacjentkę — oznajmił następnie.

— Oznacza to, panie doktorze, że jest pan tu zbędny — powiedział głośno Karl Wander do drugiego lekarza.

— Proszę, niech się pan nie wtrąca — polecił łagodnie Barranski. Uśmiechnął się do Bergnera, sięgnął do kieszeni i wyjął swoją wizytówkę. Wręczył ją Bergnerowi, mówiąc: — Mogę chyba mieć nadzieję, że moje nazwisko nie jest panu całkiem obce.

— Jest mi aż nazbyt znane — odburknął lekarz pogotowia. Jakby prosząc o wsparcie spojrzął w stronę Karla Wandera. Ten jednak sprawiał wrażenie znużonego i z uwagą oglądał sobie paznokcie, niewątpliwie wymagały pielęgnacji.

— Niech pan poleci, panie kolego, — zadysponował doktor Klaus Barranski — aby zanesiono pannę Morgenrot do jej mieszkania piętro wyżej.

— Ona powinna znaleźć się w szpitalu! — odparł pan kolega siedząc teraz z oznakami załamania.

— Drogi, młody kolego, tak się panu może wydawać.

— Życzliwość w głosie Barranskiego graniczyła nieomal ze wspaniałomyślnością. — Jednakowoż decyzję co do tego powinien pan oczywiście pozostawić lekarzowi prowadzą cemu. Nie chce mnie pan chyba zmusić do nawiązania kontaktu z pańskimi przełożonymi, nieprawdaż? Bardzo by mi było przykro, zapewniam pana.

Doktor Bergner odczekał chwilę. Usłyszawszy odgłosy na korytarzu wyszedł na zewnątrz i polecił wezwanym uprzednio sanitariuszom przetransportować Ewę Morgenrot piętro wyżej. Tak też się stało. Pożegnawszy się grzecznie, aczkolwiek z rezerwą, oddalił się również doktor Barranski.

— Rzygać mi się chce. — Doktor Bergner nie patrzył na Wandera, zdawał się widzieć tylko butelkę z koniakiem.

— Niech mi pan też naleje.

— Panu? Ani kropli! — odparł Wander rozpierając się w fotelu. — Z panem to chciałbym porozmawiać na razie na trzeźwo.

— I jak ja teraz przed panem wyglądam! — mówiąc to doktor Bergner jakby opadł z sił i usiadł na łóżku, na którym leżała przed chwilą Ewa Morgenrot. — Pewnie jestem dla pana człowiekiem, którego chciałoby się kopnąć w tyłek?

— Jest to prawie zawsze jedynie stratą czasu — zaopiniował Wander. — A kim właściwie jest ten Barranski?

— Sprytny łobuz, jednocześnie szanowana osobistość. Jedno wynika z drugiego.

— Zdaje się, że to pan jego chciałby kopnąć w tyłek, o ile dobrze zrozumiałem. Ale boi się pan. Ten doktor Barranski zarabia pewnie dziesięć razy więcej od pana. No, a to zmienia postać rzeczy.

— Pewnie tak — zgodził się doktor Bergner. — Moje możliwości nie sięgają do jego świata łajdactwa. Może mnie pan więc uważać za człowieka w gruncie rzeczy uczciwego, czyli za idiotę.

— Jednak od czasu do czasu usiłuje pan coś przedsięwziąć, zgadza się?

Lekarz skinął głową. Potem zerwał się i ruszył do drzwi.

— Jeżeli ktoś chce tutaj coś zdziałać, musi być twardy. A jak jest z panem?

Trącony lekko dzwonek do mieszkania zamruczał jak kot. Karl Wander otworzył, jak gdyby spodziewał się wizyty. Stała przed nim Sabina von Wassermann-Westen.

— To ja — powiedziała i weszła jak do swojego pokoju. Minęła Wandera, usiadła w jego fotelu i powiedziała niedbale: — Musimy sobie to i owo wyjaśnić.

Ubrana teraz w szlafrok z japońskiego jedwabiu mieniła się różnymi odcieniami seledynu. O trzeciej nad ranem wyglądała, jakby właśnie opuściła salon kosmetyczny.

— Wcale nie musimy rozmawiać — z niechęcią w głosie powiedział Karl Wander — a już na pewno nie o dawnych czasach. Nie tylko minęły, zostały też zapomniane.

— Czyżby? — zapytała z lekkim napięciem w głosie. Podniosła się z miejsca, minęła go, weszła prosto do sypialni i usiadła na łóżku. Opadła w tył i wyciągnęła się

wygodnie. W jej aksamitnych oczach pobłyskiwało coś w rodzaju leniwej ciekawości. — Czy nie wzbudza to określonych wspomnień?

— A czy takie było zamierzenie? — spytał chłodno.

— Nie! — odparła szorstko i usiadła. — Nie znamy się i nigdy się wcześniej nie spotkaliśmy! A gdybyśmy mieli wejść sobie znowu w drogę, o co w tej dziurze nie będzie trudno, to widzimy się po raz pierwszy. Zgoda?

— Zgoda — powiedział Karl Wander — a więc te parę miesięcy, wtedy w Monachium, nie liczy się, niech i tak będzie.

— W ogóle ich nie było!

— Tym lepiej.

— Proponuję to nie tylko ze względu na mnie, co wkrótce pewnie wyjdzie na jaw.

— Nie zamierzam obnosić się z moimi nieprzyjemnymi wspomnieniami.

— Tego muszę być absolutnie pewna — powiedziała Sabina. — Zawarliśmy więc umowę! Złamanie jej mogłoby się skończyć bardzo nieprzyjemnie. Czy wyrażam się jasno?

— Aż nazbyt jasno! Jeżeli miała to być groźba, to pierwsza i ostatnia! Zrozumiano? Pod tym względem jestem dość wrażliwy.

— Już dobrze, dobrze — odpowiedziała pojednawczo Sabina — nie będę więcej wracać do tej sprawy, chyba że zostanę zmuszona. Prawda, panie Wander?

Skinął głową. — To pierwsza sprawa. A teraz, jeśli pani pozwoli, przejdźmy do drugiej.

— Zapewne chce pan wiedzieć, jak się czuje pański nocny gość?

— Żyje jeszcze?

Sabina zaśmiała się krótko, bez specjalnej wesołości. — Pan chyba nie zdaje sobie jeszcze sprawy, ile kobieta może znieść, nie rozlatując się tak od razu na kawałki.

— To niech mnie pani oświeci.

Jej rzęsy wyglądały jak gęste zasłony. Bardzo wyraźnie, jak gdyby dyktując, powiedziała: — Ewa Morgenrot należy do kręgu moich bliskich znajomych. W pewnym sensie

została mi powierzona. Jak na jej dwadzieścia lat jest jednak bardzo skomplikowaną osobowością. Ostatnio zaczęła nawet pić i stała się mniej wybredna w doborze towarzystwa. Dobrze panu radzę, żeby przestał się pan o nią troszczyć.

— Au kogo następnym razem będzie leżeć pod drzwiami? I dlaczego taka dziewczyna jak Ewa zostaje pobita, kto to zrobił?

— Miała wypadek — oznajmiła Sabina tonem nie znoszącym sprzeciwu. — To wyjaśnienie powinno panu wystarczyć.

— Nie wystarcza mi — odparł Karl Wander. — A to, że lekarz, na dodatek taki Barranski, zdawał się tylko czekać na dostawę tej dziewczyny, dopiero wydaje mi się dziwne.

— Ta rozmowa zaczyna mnie nudzić — oznajmiła Sabina. — To, co było do powiedzenia, zostało powiedziane, tyle powinno wystarczyć. To naprawdę przyjacielska rada.

— Ale ja jej nie przyjmuję. Jestem, a właściwie stałem się nieufny — powiedział Karl Wander. — Zaczęło się to jakieś dziesięć lat temu. Wtedy jeszcze można mnie było uważać za człowieka prostego i dobrodusznego. Obecnie, jak sądzę, jestem nie mniej złośliwy i podstępny niż trzy tuziny karłów Nibelungów.

— Niewiarygodne! — odpowiedziała.

— Ostatnio — kontynuował — urządziłem sobie rodzaj umysłowego striptizu. Produkowałem publicystykę i literaturę na wszelakie sposoby, w dowolnym stylu, o różnej długości. Raz wesoło, raz złośliwie, raz chłodno, raz patetycznie. Byłem niczym więcej, jak dziwką maszyny do pisania, a teraz wyłądowną tutaj. Powodem był...

— Jest pan pijany. — Sabina stwierdziła to tonem inkasenta z gazowni odczytującego wskazanie licznika. — Nie szkodzi, zdarza się! Najważniejsze: dobrze się potem wyspać, co by się panu bardzo teraz przydało.

— Pamięta mnie pan? — tymi słowami Karl Wander zwrócił się dwanaście godzin później do potężnego mężczyzny o posturze bernardyna.

— Kogoś takiego jak pan łatwo się nie zapomina — odparł tamten z lekkim uśmieszkiem. — Ale to, że pan jeszcze żyje, dziwi mnie trochę. Czym mogę panu służyć?

— Wystarczyłoby mi kilka informacji, mister Sandman.

— Nie sędzę, żeby stał się pan aż tak skromny — odpowiedział z widoczną ulgą. — To raczej nie w pana stylu. A więc, panie Wander, do jakich to studni chce się pan u ranie dokopać?

Peter Sandman już od dwunastu lat był korespondentem US-Press — wpływowej agencji informacyjnej swojego kraju. Praca zmuszała go do ciągłego przebywania w okolicach Bonn. Wolał przy tym leżące w pobliżu Bad Godes-berg. Miał zwyczaj mówić: — Powietrze tu wprawdzie nie jest dużo lepsze, ale odległości są o tych parę metrów większe. W ten sposób można sobie przynajmniej wmówić, że ma się przed sobą jakąś tam przestrzeń. To zresztą jedno z łagodniejszych złudzeń, którym można tu ulec.

— Cóż może sprowadzać do mnie kogoś takiego jak pan? — zapytał.

— Pewne zadanie, jedno z wielu — odparł Karl Wander wymijająco.

Peter Sandman siedząc w fotelu przy biurku wyczekująco odchylił się do tyłu. — Zaciekawia mnie pan. Zgodnie z tym, co o panu wiem, jest pan zdeklarowanym idealistą, a więc człowiekiem z gruntu niewygodnym. Tak, w każdym razie, było dotychczas.

— No, ja też się starzeję — odparł ostrożnie Wander.

— Niewątpliwie, ma pan w końcu trzydzieści trzy czy cztery lata, w tym wieku to już rzeczywiście z górki... — Peter Sandman wykrzywił twarz w uśmiechu. — A ponieważ jestem blisko dziesięć lat starszy, należę już do pokolenia całkiem zwapniałego. W związku z tym nie rozumiem tego świata, co nie powinno być przecież powodem do zmartwień. Ale ja się trochę martwię. Jest zbyt wiele spraw, które śmierdzą, a węch mam jeszcze dobry.

— Zapewne siedzi pan za blisko źródeł informacji — osądził Karl Wander. — Poza tym wygląda pan na kogoś, kto nieźle się przy tym bawi, mister Sandman.

— A cóż innego mi pozostaje? Może zamierza się pan przyłączyć?

— Czy to oferta?

Sandman szeroko rozpostarł ramiona, co wyglądało na serdeczny gest zaproszenia, było jednak czystą rutyną. — Ostatecznie jestem pana dłużnikiem. W końcu wtedy, dziesięć lat temu, to pan zapewnił mi mnóstwo ciekawych materiałów.

— Których pan jednak nie wykorzystał.

— Bo nie mogłem, w każdym razie nie wtedy. Niech pan spróbuje zrozumieć mnie i sytuację mojego kraju! Żadne państwo nie może sobie na to pozwolić, by potencjalnemu sojusznikowi mówić, że jego armia to kupa gówna.

— Nawet wtedy, gdy można to udowodnić?

— Nawet wtedy. W dodatku my, Amerykanie, nie byliśmy bez winy w sprawie remilitaryzacji. Podawanie tego jako świetnego przykładu chybionej spekulacji... wymaga oczywiście przemyslenia.

— No tak, nie chciałbym zakłócać tych pańskich przemysleń, mister Sandman. To mnie już nie interesuje. Koniec, kropka, załatwione!

— Az jakiego powodu jest pan tutaj?

— Dokładnie tego jeszcze nie wiem. Pewne jest jedno, na gwałt potrzebuję jakiegoś zajęcia, a tu mi je zaoferowano. Ale zanim zacznę, muszę zająć się kilkoma sprawami, które są, że tak powiem, twardym orzechem do zgryzienia.

— A cóż to za sprawy?

— Zna pan niejaką Sabinę von Wassermann-Westen?

— Popatrzcie no państwo! — zawołał rozweselony Amerykanin. — Skąd zainteresowanie tą właśnie panią? Obawiam się, mój drogi panie Wander, że na nią nie będzie pana stać.

— Nie interesuje mnie jako osoba, tylko, powiedzmy, jako obiekt. Co pan o niej wie?

— Całe mnóstwo, ale nic konkretnego. — Peter Sandman sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął czarny notes i zaczął: w nim kartkować, szybko znalazł to, czego szukał.

— Sabina von Wassermann-Westen — zaczął referować

— ponoć dwadzieścia siedem lat, w rzeczywistości pewnie trochę po trzydziestce...

— Ma dwadzieścia dziewięć lat — poprawił Karl Wander.

Szare oczy Petera Sandmana popatrzyły przez chwilę na Wandera, by zaraz znów spoglądać prosto przed siebie. — Poprzednie nazwisko: Sabina Wassermann, pochodzi z południa, prawdopodobnie z Passau. Kilka lat mieszkała w Monachium, działała w branży mody, w 1963 wyszła za mąż za niejakiego barona von Westen, którego szybko i całkowicie przeżyła. Krótco po ślubie zginął w wypadku. W tych okolicach baronowa pojawiła się trzy czy cztery lata temu. Posiada dom w Kolonii, poza tym mieszkanie w Bonn.

— Na Koblenzer Strasse.

— Skąd pan wie?

— Też tam mieszkam, dokładnie piętro niżej.

— No, ładnie — stwierdził Peter Sandman. — Tak więc mam również pański adres. A może nie chciał mi go pan dać?

— Zależałoby mi bardzo na kontakcie z panem — odpowiedział Karl Wander.

— Ten więc już istnieje. — Amerykanin uśmiechnął się do swego gościa z wyraźnym zadowoleniem. — Lubię rozmowy z panem, panie Wander. Najwyraźniej trzymają się pana interesujące niespodzianki, to dla mnie cenna właściwość. Czytajmy dalej: pańska baronowa należy tu do względnie wyższych sfer, a co to oznacza, wkrótce się pan dowie. Nigdzie indziej nie poznaje się tak szybko, czym jest względność. Ale baronowa to rzeczywiście sama czołówka, o licznych i efektownych powiązaniach z ministerstwami i ambasadami. Zalecam najwyższą ostrożność!

— A co z niejakim doktorem Klausem Barranskim? Również pan go zna?

Mister Sandman uniósł o parę centymetrów swoją kwadratową czaszkę i nie bez podziwu wpatrywał się w Wandera. — Od dawna pan tu jest?

— Od wczoraj, przyjechałem późnym popołudniem.

— Nie do wiary! — stwierdził Amerykanin. — Doktor Barranski ma gabinet w Kolonii, jest nie tylko modnym le-

karzem, posiada imponujące znajomości, także wybitne zdolności w dziedzinie medycyny. Ogólnie chwali się go za dyskrecję, na którą zresztą bardzo się liczy. Gdyby na przykład któryś z ambasadorów lub dama z wyższych sfer złapali intymną chorobę albo jakiś minister uległ zatruciu alkoholowemu, doktor Barranski zajmie się tym szybko, skutecznie i po cichu. Jest zapewne milionerem.

— A czy zna pan niejaką Ewę Morgenrot?

Peter Sandman zastanowił się. — A powinienem ją znać? Morgenrot? Młoda dama?

— Około dwudziestu lat, blondynka, delikatnej budowy, w normalnym stanie, jak sądzę, dość atrakcyjna.

— U mnie w każdym razie jeszcze nie rejestrowana — Sandman zanotował sobie nazwisko Ewy Morgenrot.

— Gdy tylko znajdę coś na jej temat, dam panu znać. Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeżeli posłużę się specjalnymi umiejętnościami naszego mister Jerome?

— Mister Jerome? A któż to taki?

— Człowiek, którego nazwano „potrójnym małpisonem z Bonn”: wszystko widzi, wszystko słyszy, ale mówi tylko to, co jego zdaniem można powiedzieć. Jest jednym z czołowych funkcjonariuszy amerykańskich służb wywiadowczych na Europę Środkową. Mam wątpliwy zaszczyt przyjaźnić się z nim. A więc ma pan coś przeciwko jego współpracy?

— Potrzebuję tylko paru informacji.

— Dobra! Miałby pan ochotę zjeść jutro ze mną obiad, na koszt amerykańskiego podatnika?

— Jutro koło południa mam pierwszą rozmowę z moim nowym chlebodawcą. Ale wieczorem moglibyśmy wspólnie świętować, chociaż dokładnie jeszcze nie wiem, z jakiej okazji.

— Załatwione! — powiedział Peter Sandman. Sięgnął po kartkę z nazwiskiem Ewy Morgenrot i wpatrywał się w nią z namysłem. Potem włączył wewnętrzny telefon i polecił:

— Potrzebuję wszystkich danych na temat pana Feldmana, a przy okazji tego Kruga, sekretarza partii. Najpierw jednak proszę mnie połączyć z panem Jerome.

Raport człowieka zwanego Jerome

— część pierwsza

O początkach, które należy traktować z nieufnością, i uprzedzeniach, których trzeba się strzec.

W tej sprawie Peter Sandman po raz pierwszy telefonował do mnie pewnej soboty, późną jesienią tego roku. Była to wyjątkowo korzystna pora, ponieważ prawie w każdy weekend wszyscy politycy wynoszą się z Bonn.

Udają się przeważnie w stronę domowych pieleszy, a przynajmniej do Kolonii, Frankfurtu czy Dusseldorfu. Aby wypocząć! Na to musi się przecież znaleźć czas. Te pięćdziesiąt do sześćdziesięciu zarejestrowanych w Bonn dziwek reprezentuje co najwyżej dolną granicę klasy średniej, obliczoną na potrzeby rynku miejscowych obywateli.

Wielki praojciec tej Republiki Federalnej wytworzył atmosferę, która między innymi doprowadziła do swego rodzaju seksualnej sterylności. Oto jedna z reguł, które generują wyjątki. Liczne, aktywnie działające ambasady udzielały się na tym polu, a i inni przedstawiciele różnych grup interesu starali się zwalczać weekendową nudę tych, którzy zostawali na miejscu. Ten stan prowadził do ujawniania się pewnych, nader ludzkich możliwości.

Nasza branża starała się z tego czerpać korzyści. Jednak owej soboty, kiedy zadzwonił Sandman, wszystkie zwrotnice były już nastawione, a moi ludzie kierowali się do przeznaczonych im obiektów. Na tym etapie nie można było jeszcze oczekiwać jakichkolwiek rezultatów. Tak więc nie ociągając się, zająłem się sprawą Sandmana. Tego, co z niej wynikło, nawet ja się nie spodziewałem.

O Sandmanie nie mam zbyt wiele do powiedzenia. Zapewne wierzył, od czasu do czasu traktował to całkiem poważnie, że reprezentuje swój kraj w niemiecko-federalnym Bonn. Nastęstwem tego był swego rodzaju niedbały cynizm. Całkiem możliwe, że sprawiało mu to przyjemność. W tym wypadku jednak osiągnęło chyba dość niebezpieczny poziom pożądania rozrywki.

Tego nudnego, jesiennego popołudnia Sandman wymienił mi sporo nazwisk. Najpierw niejakiego Karla Wandera, na temat którego szybko znalazły się materiały. To z jego powodu przed dziesięciu laty Federalny Urząd Ochrony Konstytucji poprosił nas o pomoc. Ci ludzie nie ufali mu. Nie bez powodu, gdyż nic konkretnego nie można mu było zarzucić.

W jego wypadku mieliśmy do czynienia z tak zwanym idealistą. To zawsze nasuwa pewne podejrzenia, ponieważ reakcje tych ludzi są nieobliczalne i nie da się nimi manipulować.

W czasach, kiedy sam do niej należał, ten chłopaczyna uważał armię za ostoję nowoniemieckiego i demokratycznego ducha, tak w każdym razie chciał widzieć tę organizację. To musiało się źle skończyć.

Akta Wandera nigdy nie zostały ostatecznie zamknięte, nie bez powodu jak się później okazało. Przed około dziesięciu laty opuścił armię. Głośno wyrażał swój protest, na co jednak nikt nie zwrócił uwagi. Potem pracował mniej lub bardziej naukowo zajmując się sprawami wojskowości, ale też i innymi dziedzinami. Udzielał się także literacko w podkreślających swą ponadpartyjność gazetach, ale i tam stał się wkrótce niewygodny. Tak więc szybko staczał się coraz niżej. Otwarcie sympatyzował ze zwolennikami uznania NRD, uczestnikami marszy wielkanocnych, ze studenckim ruchem kontestacyjnym. Jednym słowem: zadeklarowany „naprawiacz” świata. Zaleca się więc daleko idącą ostrożność.

Następne nazwisko wymienione przez Petera Sandmana to Aleksander Krug. W tym kontekście fakt ten zasługiwał na uwagę, ponieważ trudno chyba o większe przeciwieństwa. Wander działał nie zwracając uwagi na korzyści, liczył się nawet z ewentualnymi stratami. Krug natomiast, wpływowy sekretarz partii, robił interesy wszędzie, gdzie tylko była ku temu możliwość. Zgarniał w zasadzie wszystko, co się dało.

Zadawałem więc sobie pytanie: co ci dwaj mają ze sobą wspólnego?

Wiedziałem już wówczas, że Krug ochoczo podczepił się pod ministra Feldmanna, któremu zawdzięczał swoją ów-

czesną pozycję. A coś takiego zobowiązuje, ale również prawie zawsze się opłaca, chociaż nie ma co do tego całkowitej pewności.

Wszak ceny poglądów, przekonań, wierności i poplecznictwa stale się zmieniały. Ktoś mógł zaoferować więcej. Ale nadal pytałem: co ma z tym wspólnego Karl Wander?

Powinienem przy tym wiedzieć, że te Niemcy, czyli Republika Federalna, są krajem nieograniczonych możliwości. Fakt ten trzeba tylko dostrzec we właściwym momencie, a i tutaj z pewnością da się coś zdziałać.

*Przeznaczenie bierze rozpęd
— ale i to wymaga czasu, jeśli ma być
zrobione porządnie*

Otrzymałem coś w rodzaju pozwu — oznajmił Wander w komisariacie policji nr 3. Znajdował się w wypieszczonym przybytku władzy, przyozdobionym stosami akt. Pomieszczenie wypełniał zapach kurzu i męskiego potu.

Funkcjonariusz, do którego zwrócił się Wander, obrzucił okazaną mu kartkę szybkim spojrzeniem. Następnie ukazując swe pyzate oblicze zauważył z naganą w głosie: — To nie pozw, to zwykle wezwanie.

— Ale po co zostałem wezwany, czego pan chce ode mnie?

— Ja? Niczego — policjant jakby powstrzymywał się przed ziewnięciem Wanderowi prosto w twarz. — Pewnie chodzi o jakąś informację. Ale ja nie jestem kompetentny w tej sprawie. Proszę zaczekać.

— Ale na co?

— Na tego, do kogo należy ta sprawa.

Po niecałej pół godzinie ukazał się kompetentny w tej sprawie, słoniowaty osobnik o nazwisku Kohl, spokojny w każdym calu nadinspektor kryminalny. Jego małe, jasne oczka błyskały zza fałd tłuszczu jakby nalanej twarzy.

— Właśnie na pana czekaliśmy — oznajmił Kohl.

— Nie jestem tu z własnej woli i chętnie sobie pójdę.

— Pewnie, że by pan chciał! — nadinspektor Kohl obrzucił go lekceważącym spojrzeniem, jak handlarz taksujący bydło. — Proszę ze mną!

Zaprowadził Wandera do sąsiedniego pomieszczenia, które było czymś w rodzaju pokoju przesłuchań, urządzonego w staroniemieckim, więziennym stylu; natrętna

surowość ścian pomalowanych na szaro wzmagała wrażenie przytłaczającej ciasnoty. W małym oknie z brudnymi szybami wprawione były grube kraty.

Kohl usiadł na jedynym krześle, rozłożył kilka kartek gęsto pokrytych pismem maszynowym i pogрузił się w starannej lekturze. Potem spojrział na stojącego przed nim Wan-dera i stwierdził: — Wcale pan na takiego nie wygląda.

— A jak by pan sobie życzył, żeby wyglądał? — spytał niezwykle uprzejmie.

— Niech pan się nie stara być dowcipny! W moim zawodzie humor to towar reglamentowany, za szybko się zużywa.

— Ach, to smutne, może powinien pan wobec tego zmienić zawód?

— A więc jednak dowcipniś! — komisarz westchnął z niechęcią. — Panie, wczoraj, dokładnie tu, gdzie pan teraz stoi, też stał taki jeden spryciarz. Po godzinie błagał o łagodne i wyrozumiałe traktowanie, w końcu stracił właśnie ukochaną matkę.

— A co, załatwił ją?

— Tak, przy pomocy młotka.

— Jeżeli to pana uspokoi, to chciałbym nadmienić, że moja matka od dawna nie żyje, młotka również nie posiadam. Podejrzewam jednak, że czyni pan aluzję do rzekomego maltretowania przeze mnie osoby płci żeńskiej, czy jak się to fachowo nazywa.

— Nie tylko z pana dowcipniś, ale i blagier — stwierdził znowu z ciężkim westchnieniem Kohl. — Jak się ostatnio okazało, na podstawie zgodnych zeznań świadków, nie brał pan w tym udziału.

— To naprawdę nie wiem, czego pan chce ode mnie — Karl Wander nie miał nic przeciwko słoniom, uważał je za sympatyczne, choć niekiedy niebezpieczne stworzenia. — Doprawdy, nie wyobrażam sobie, żeby chciał pan ze mną po prostu podyskutować.

— No to niech pan nawet nie próbuje! — nadinspektor Kohl zajął się znowu swoimi papierami i mechanicznym głosem zadał pytanie: — Czy zamierza pan złożyć doniesienie o przestępstwie?

— A powinienem? — Karl Wander pochylił się trochę do przodu, jak gdyby nie dosłyszając. — To sugestia czy wskazówka? A może prosi mnie pan tylko o informację?

— Musi pan wiedzieć, że jestem cholernie zmęczony — małe, bystre oczka inspektora zwięzły się. — Codziennie muszę zadawać się z różnego rodzaju szumowinami, osiem do dwunastu godzin.

— Czy mnie też pan do nich zalicza?

— Każdy może się stoczyć.

— Oczywiście, również funkcjonariusz policji.

— Oczywiście — potwierdził Kohl. Jego głos brzmiał bezosobowo, jak u urzędnika sprzedającego znaczki pocztowe. — Tak się zresztą teraz czuję. Powinienem strzelić pana w ten bezczelny pysk i wycisnąć jak cytrynę.

— A dlaczego pan nie próbuje? Nie wyglądam przecież na osiłka, a pan, mimo swojego wieku, sprawia wrażenie całkiem krzepkiego. Co więc powstrzymuje pana przed tym, by dać upust swym emocjom?

— Za niecałe pięć lat przechodzę na emeryturę — odparł inspektor. — Do tego czasu muszę się powstrzymywać, mimo że przychodzi mi to z trudem. Zwłaszcza w pańskim przypadku! Ale nie mogę uszkodzić nawet drobnego łajdaczyny, jeśli przyjaźni się z jakimś ministrem. Niestety, nie mogę sobie na to pozwolić.

— Skąd ten pomysł? — Karl Wander był tak zaskoczony, jakby zobaczył reklamę telewizyjną: „Nasz proszek do prania jest najgorszy!” — Nie znam osobiście żadnego ministra, w dodatku, jaki to może mieć związek z tą sprawą? Kogo ma pan na myśli?

— Człowieku, nie zamierzam robić jakichkolwiek aluzji! Nie dlatego, że jestem tchórzem, tylko nie chcę wyjść na kompletnego durnia.

— A może razem byśmy coś ustalili — powiedział ostrożnie Wander. — W tym momencie to ja się czuję jak idiota, a nie jest to przyjemne uczucie.

Nadinspektor Kohl wyglądał, jakby chciał zająć się już tylko swoimi papierami. — Zadałem panu następujące pytanie: Czy nie chce pan złożyć doniesienia o przestępstwie? Pańska odpowiedź brzmi: nie. Zgadza się?

— Niech pan powie wreszcie, o co panu chodzi!

— Złożył pan doniesienie o przestępstwie? Nie! Składa pan je teraz? Tak czy nie? A więc nie! A teraz niech się pan zabiera, zanim stracę resztki cierpliwości i kopnę pana w tyłek. A pośrednio w tyłek ministra, w który pan włazi.

— Czy to wszystko?

— Jeżeli to pana interesuje, to mam chęć napluć sobie w gębę! Tylko jak to, do jasnej cholery, zrobić?!

— Czego pan jeszcze chce? — zapytał doktor Bergner. Jak w obronnym geście podniósł ręce na widok swojego gościa. — Już wystarczająco dużo pan narozrabiał!

— Też powoli zaczynam mieć to uczucie — odparł Karl Wander. — Ale może pan mógłby mi powiedzieć, dlaczego?

Doktor Bergner pracował w szpitalnej izbie przyjęć. Prawie codziennie, w godzinach przedpołudniowych, taśmowo obsługiwał napływających chorych. Teraz właśnie oglądał silnie zaczerwienione, krztuszące się i wymiotujące dziecko. — Rentgen — zdecydował.

— Czy to pan nasłał na mnie policję kryminalną? — spytał Wander.

Lekarz wpatrywał się w swojego rozmówcę, jak gdyby miał zamiar postawić diagnozę, ale nie doszedł w swoich rozważaniach do zadowalającego rezultatu. Zaniepokojony poprosił jednego z kolegów o zastępstwo. — Na pięć minut, tylko załatwię tego tutaj.

Doktor Bergner zaciągnął swojego gościa do sąsiedniego pomieszczenia. Brudna bielizna zalegała aż pod sufit, a wokół rozchodził się duszący zapach zgnilizny.

Karl Wander otworzył szeroko okno i pozostał przy nim.

— Zakładam, że protokół wypadku niewiele panu pomógł i zaryzykował pan pośrednie doniesienie, właśnie na mnie.

Doktor Bergner krótko, jakby bezsilnie, machnął ręką.

— Pewnie się panu wydaje, że jestem kimś w rodzaju ograniczonego umysłowo fanatyka sprawiedliwości.

— Tak to wczoraj w nocy wyglądało.

— Możliwe — zgodził się lekarz. Sprawiał wrażenie zmęczonego, jak po biegu długodystansowym. — Ja także miewam takie napady odwagi, a może lekkomyślności, sam dokładnie nie wiem. Tylko, że szybko mijają. I coraz rzadziej mi się to zdarza.

— Czy naprawdę jest pan pewny, że to nie pan napuścił na mnie policję?

— Zapewne trafili do pana pod właściwy adres, ale to nie ja im go dałem. — Bergner stał ciągle obok stosu brudnej bielizny, żadne zapachy zgnilizny nie były mu obce. — Czego od pana chcieli?

— Tylko pewnego drobiazgu. Jeden z funkcjonariuszy pytał mnie, czy chcę złożyć doniesienie o przestępstwie. Tym, co chciał usłyszeć, było słowo: „nie” i sądził, że to właśnie usłyszał. Początkowo nie byłem w stanie mu niczego wyjaśnić.

— Znamy te numery. Tym rutynowym trikiem ktoś się po prostu zabezpieczył.

— Ten doktor Barranski?

— To pan wymienił to nazwisko, nie ja! — Królicze oczy lekarza zaczerwieniły się jeszcze bardziej. — Teraz ma piękne urzędowe zaświadczenie, w dodatku dzięki pańskiej, życzliwej pomocy, panie Wander. Może teraz mianowicie udowodnić, że nie było podstaw do wszczęcia postępowania karnego. Tak to się robi.

— Czy to się często zdarza?

— To zależy, u większości lekarzy nigdy, u niektórych czasami, a u pewnej grupy w zasadzie ciągle. Zapewne panu wiadomo, że w następstwie na przykład samobójstwa lub jego usiłowania automatycznie wszczyna się dochodzenie. Podobnie jest zresztą z wypadkami losowymi, gdy prowadzą do ciężkich uszkodzeń ciała czy śmierci. To samo dotyczy wszystkich innych przypadków, które pozwalałyby chociażby tylko przypuszczać, że w grę wchodzi czyn kryminalny. Jeżeli coś takiego dojdzie do wiadomości lekarza, musi on złożyć doniesienie lub też się zabezpieczyć. Tego typu kombinacje mogą w dzisiejszych czasach należeć do sztuki lekarskiej.

— A pan i pańscy koledzy po prostu się z tym godzicie? — zapytał prowokacyjnie Wander.

— Gdy dowiadujemy się o takich wypadkach, jesteśmy oburzeni, czasami nawet bardzo. Ale w końcu wszyscy mamy rodziny, posady, to co nazywa się karierą, i do tego pełno pacjentów, którzy jedynie na nas mogą liczyć. To wszystko bardzo absorbuje.

— Tylko niech pan nie zaczyna się nad sobą użalać, doktorze! Niech się pan lepiej zastanowi, czy nie dałoby się jeszcze czegoś zrobić w przypadku Ewy Morgenrot.

— Z mojej strony, nie.

— A czy mógłby mi pan chociaż dostarczyć innych, podobnych materiałów, pod warunkiem że będą bez zarzutu, to znaczy: będą mogły stanowić materiał dowodowy.

— Niech mnie ręka boska broni! — Doktor Bergner zatrzasnął z hukiem okno i szeroko otworzył drzwi. — Jestem naprawdę lekarzem, nawet jeżeli pan w to wątpi, ale dla pana nie jestem właściwym człowiekiem, bo, jak mi się zdaje, życie panu niemiłe!

— Proszę otworzyć! — powiedział Karl Wander, stojąc przed zamkniętymi drzwiami z numerem 304. — Chciałbym panią zobaczyć w miarę normalnych okolicznościach, o ile to oczywiście możliwe.

— Kim pan jest?

— Pani wybawicielem, jeżeli jest pani Ewą Morgenrot.

— Mieszka pan piętro niżej?

— Jeżeli tak pani woli, może pani uważać, że odwiedzam panią jedynie z uprzejmości.

Drzwi apartamentu 304 otworzyły się. Ujrzał fałdzisty, jedwabny, ciemnoliliowy szlafrok, a nad nim otoczoną jasnoblond włosami, woskowoblądą twarz z jakby przylepionym, wymuszonym uśmiechem. — W zasadzie nie wolno mi przyjmować gości.

— A kto pani zabronił? — zapytał.

Ewa Morgenrot mówiła jasno brzmiącym, dziecięcym głosem i tonem jakby wytrenomowanym w naiwności mającej

wywolać odpowiednie wrażenie. — Inaczej sobie pana wyobrażałam.

— Ja panią też — odparł Wander.

— Jak to?

— W dużo gorszym stanie. Pani chyba naprawdę jest bardzo wytrzymała.

— Ale czuję się niezbyt dobrze — zapewniła przymilnym tonem.

— To niech pani szybko wraca do łóżka!

Wander wszedł do mieszkania, delikatnym ruchem odsunął ją na bok i zamknął drzwi. Pozornie nie zwracając na nią uwagi, udał się do sypialni. Tam wskazał na przykryte łóżko. — Gdyby pani jeszcze kiedyś znowu potrzebowała lekarza, to ja go już nie sprowadzę!

Ewa posłusznie poszła za nim. Kierując na niego swoje dziecinne oczy położyła się, przykrywając sobie nogi kocem. Spojrzała na niego z oczekiwaniem. — Podobam się panu?

— Nie — odpowiedział.

— To dlaczego pan przyszedł?

— Żeby przyjrzeć się pani trochę dokładniej! Chciałem się dowiedzieć, dlaczego i dla kogo marnuję mój cenny czas. Jak samopoczucie?

— Czuję się zupełnie rozbitą — odpowiedziała i jak ptak zamknęła oczy. — Chce się pan przy mnie położyć?

— Niby dlaczego?

— Bo wydaje mi się pan sympatyczny, czy to nie wystarczy?

— Mnie nie — odpowiedział prawie surowo Karl Wander, pochylając się nad nią. Zapytał natarczywie: — Dlaczego została pani pobita? I przez kogo?

Ewa Morgenrot leżała bez ruchu. Czekał na odpowiedź bez szczególnego pośpiechu, jak na zielone światło na skrzyżowaniu. Mogło to trwać kilka minut.

Wreszcie Ewa otworzyła swoje wilgotne, błękitne oczy i spytała: — Czy to naprawdę takie ważne?

— Nie mogę na razie ocenić, czy to aż takie ważne. Ale chcę wiedzieć!

— To wszystko jest strasznie skomplikowane — powiedziała z wysiłkiem Ewa. — Pan się nazywa Wander, prawda? A jak pan ma na imię?

— Karl. Tylko niech to pani nie rozprasza.

— To będę do pana mówić: Charlie, mogę?

— Jak pani sobie życzy! A *jeżeli chce* mnie pani wprowadzić w dobry humor, to proszę mi jak najwięcej opowiedzieć o sobie i o swoich obecnych przyjaciółach.

— Naprawdę, Charlie, o sobie nie mogę zbyt dużo powiedzieć.

— Ewa wyciągnęła się kokieteryjnie na łóżku. — Chyba dość nieszczęśliwie taką już mam naturę, to znaczy: chciałabym żyć tak, żeby mi to sprawiało przyjemność, a tego właśnie nie mogę. Dokładniej mówiąc: nie pozwala mi się.

— Niech pani nie owija w bawełnę! Co to znaczy „się”?

— Cały świat! Obawiam się, że trudno będzie panu mnie zrozumieć, sama siebie prawie już nie rozumiem. Na pewno *wiele rzeczy robię źle*. Ale nie wtedy, gdy jestem z panem, Charlie, czuję to.

— Niech mnie pani nie próbuje nabrać na tę słodką nutę, nie ze mną takie numery! — Karl Wander patrzył na nią jak na chętnego do zabawy szczeniaka, który przed chwilą narobił na dywan. — Proszę nie wmawiać mi, że pochodzi pani z biednej, ale uczciwej rodziny, że z tęsknoty za czymś wyższym, nie ze swojej winy, wpadła pani w złe towarzystwo, które panią potem podstępnie wykorzystało...

— Bzdura! — powiedziała Ewa Morgenrot z niespodziewaną energią. Wyprostowała się, patrząc na niego jak na natrętnego kolportera prasy ilustrowanej. — Aż taka głupia to chyba nie jestem!

— No, to już dużo lepiej! Oby tak dalej.

— Mojej matki w ogóle nie znam — powiedziała Ewa prawie w pośpiechu. — Mój tak zwany ojciec ma więcej pieniędzy, niż byłby pan w stanie kiedykolwiek wydać. Mogę sobie pozwolić na wiele rzeczy, i pozwalam sobie! Poza tym jestem zaręczona i to całkiem nieźle! A tutaj wpadłam nie w złe towarzystwo, lecz w aktualnie naj lepsze!

— Ma pani na myśli na przykład Sabinę Wassermann?

— Czy ma pan coś przeciwko niej? Dlaczego? Sabina jest uczciwa, zna Boga i ludzi!

— Tutaj, w Bonn? Czy to możliwe?

— Nie lubi jej pan, prawda? — Ewa uśmiechnęła się tym razem poufale. — Nie w pana typie? Czy ja się panu bardziej podobam? A może pan się boi?

— Pani na pewno nie, Ewo!

— To dobrze, Charlie. A więc czego się pan boi? Może tego, że naprawdę mogłabym panu opowiedzieć, kto mnie zbił do nieprzytomności? Opowiedzieć panu, naprawdę pan tego chce?

Zawahał się przez chwilę i odparł zdecydowanie: Tak, chcę. Proszę mi opowiedzieć!

Ewa roześmiała się piskliwie, choć niezbyt głośno. — Nie, Charlie, panu na razie nie. Za mało się znamy. Ale byłoby dobrze, gdybyśmy się poznali bliżej. Tak blisko, jak to tylko możliwe.

— Nie jestem jeszcze na tym etapie — powiedział Karl Wander od drzwi, jak gdyby gotował się do ucieczki. Zawołał jeszcze: — Do jasnej cholery, co mnie obchodzą choroby innych!

— Wróci pan — powiedziała Ewa Morgenrot z przekonaniem i położyła się z powrotem na łóżku. — Nie wiem wprawdzie dokładnie, z jakiego powodu, ale pan wróci. A ja sobie wtedy pomyślę: to ze względu na mnie.

— A idź do diabła, dziewczyno, o ile już tam nie jesteś!

— No, jak leci, panie Wander? — rozległ się wesoły i sympatyczny głos. Należał do szczupłej postaci, której skórzany płaszcz pobłyskiwał delikatnie w świetle ulicznych latarni. — Zadomowił się pan już u nas?

Karl Wander zjadł właśnie wystawną kolację w gospodzie w pobliżu Friedensplatz, obficie popijając reńskim winem. Nieco zmęczony chciał minąć katedrę i przedostać się na Koblenzer Strasse. Osobnik w skórzanym płaszczu zagroził mu jednak drogę.

— Nie poznaje mnie pan? Jestem Sobottke, szofer! Wczoraj, po południu odebrałem pana z lotniska i zawiozłem do mieszkania. Już pan zdążył zapomnieć?

— No cóż, kogoś takiego jak pan raczej trudno zapomnieć — odparł Wander. — Trzeba było od razu stanąć w jaśniejszym miejscu.

— Przecież stoją! — odparł Sobottke podchodząc bliżej. — Cieszy się pan?

— A to dlaczego? — spytał ostrożnie Karl Wander.

— Może mógłbym panu zaoferować pewne usługi? — grubo ciosana twarz Sobottkego wykrzywiła się w wymuszonym uśmiechu. — Na przykład mała wycieczka do Kolonii, samochód stoi w pobliżu, za pół godziny byłibyśmy na miejscu. Znam tam parę niezłych adresów, gwarantuję, że będzie pan zadowolony i na pewno zostanie pan obsłużony lepiej niż tutaj! No, jak?

— Jest pan pewny, że może pan sobie na to pozwolić?

— Ależ oczywiście! — zapewnił wylewnie Sobottke. — Nasz pan Krug, z powodu którego pan tu przecież przyjechał, powiedział mi: Opiekuj się naszym gościem, troszcz się o niego, ceny nie grają roli, także samochód ma być do dyspozycji. Zabawcie się parę godzin, zanim zacznie się proza życia! Tak powiedział! Taki już jest nasz pan Krug, zawsze z gestem! Dla tych, którzy na to zasługują.

— Jeszcze nie wiem, na co sobie tu zasłużę, ale wkrótce się pewnie okaże. Napijemy się jeszcze?

— *Ile* pan sobie życzy, panie Wander! — zawołał uradowany Sobottke. — Na rachunek naszego pana Kruga, on zapłaci!

Weszli do knajpy przy Kaiserplatz. Byli jedynymi gośćmi. Już na godzinę przed północą Bonn wyglądało jak pogrążone w głębokim śnie. Stanęli przy barze i zamówili wino, podane w podłużnych, napełnionych do połowy kieliszkach. Pili i starali się delectować jego smakiem.

— Dlaczego mnie pan śledził? — zapytał Wander.

— Ależ, co pan opowiada! — wykrzyknął Sobottke urażonym głosem. — Właśnie przypadkowo przechodziłem i pomyślałem sobie, że może byłoby panu przyjemnie, gdyby ktoś się panem trochę zaopiekował. Akurat nada-

rzyła się okazja, żeby spełnić życzenie pana Kruga, który jest subtelny człowiekiem, o czym pan się wkrótce sam przekona.

— Chce pan odwrócić moją uwagę, panie Sobottke?

— Źle pan to ocenia — odparł żarliwie Sobottke. Wander pomyślał, że mógłby mieć około czterdziestki. Wyglądał na byłego instruktora narciarskiego. Typ poczciwego, nieskomplikowanego mężczyzny. — Chodzi mi tylko o to, żeby zapewnić panu trochę miłej rozrywki, której nie znajdzie pan tutaj, w Bonn, jeżeli oczywiście ma pan na to ochotę. Tutaj wszystko jest, jakby to powiedzieć, ściśle rejestrowane. Należy to brać pod uwagę. To się nawet może opłacić.

— Do czego pan właściwie zmierza? — zapytał Wander.

— Do niczego konkretnego — zapewnił pośpiesznie Sobottke. — Chodzi mi tylko o to, że jest pan w końcu mężczyzną, ma określone potrzeby. Spokojnie może pan to wszystko mieć, tylko dlaczego tutaj? Diabli wiedzą, w co się pan może wpakować! Po co się w to mieszać? W końcu chce pan przecież tu pracować!

— Potężne z pana chłopisko, prawda? — spytał po chwili zastanowienia Wander.

— Można tak powiedzieć — odparł z uśmiechem Sobottke.

— Jak ktoś panu wejdzie w drogę, bije pan do skutku?

— Jak trzeba, oczywiście.

— Dziewczynę także?

— To zależy. Zazwyczaj jestem cholernie pokojowo nastawiony. Ale baby bywają czasem gorsze od facetów. — Sobottke wykrzywił się w rozmarzonym uśmiechu. — Na przykład, kiedy trzeba ochraniać ministra pana Kruga, jak ostatnio, gdy napastowała go jakaś głupia demonstrantka, przecież to prawie zamach, nie?

— Dołożył jej pan?

— Robi się, co może! Mam pewne obowiązki i muszę je traktować poważnie. Przecież nie muszę panu tłumaczyć. A jak pan myśli, po co pan tu jest?

— Przede wszystkim po to, żeby się wyspać i niech mnie pan nie próbuje przed tym dłużej powstrzymywać. I nie chcę się nad tym zastanawiać. Moja sprawa, dlaczego.

— Mam nadzieję, że nie będzie pan żałował! — zawołał Sobottke za oddalającym się Wanderem.

Ten zatrzymał się na chwilę w drzwiach knajpy i odpowiedział prawie wesoło: — Jak mogę żałować czegoś, czego nie znam?

— Czekałem na pana! — W korytarzu na drugim piętrze, pod drzwiami apartamentu 204, stał w rozkroku młody człowiek. — To pan nazywa się Karl Wander?

— Czego pan sobie życzy?

— Jeżeli to pan jest tym Wanderem, to świnia z pana!

— Być może — odparł. — Ostatnio też mi się tak czasami zdaje. Ale z tego powodu nie musi pan wydzierać się po nocy. Dlaczego wszyscy w domu mają od razu wiedzieć, co się panu wydaje! — Wander spojrział na jego wykrzywioną, opaloną twarz, otoczoną wypielęgowanymi, ciemnymi lokami. Oczu nie było widać, ponieważ chłopak opuścił głowę, jak szykujący się do ataku baran. — Czego pan tutaj szuka? — dodał Wander.

— Gdybym chciał, mógłbym pana skasować na amen!

— Nie ma pośpiechu — poradził Wander. Czuł się zupełnie rozbity i myślał tylko o tym, żeby jak najprędzej iść spać. — Może pan się jeszcze zastanowi i przyjdzie jutro albo w ogóle? — To mówiąc otworzył drzwi mieszkania.

Młodzieniec rzucił się obok niego do wnętrza i stanął nagle w miejscu. Obrócił się. Wyczekiwał. W rozkroku, pochylony do przodu. Gdy Wander zbliżył się do niego, nogą zatrzaskał drzwi.

— Podtusiały z pana facet — stwierdził groźnie brzmiącym głosem gość Wandera. — Jestem co najmniej dziesięć lat młodszy!

— Całkiem możliwe, a co pan sobie po tym obiecuje?

— silił się na wesołość Wander.

— Tłuszcz się panu odkłada, blade pan też wygląda — konstatował młody człowiek ze wzrastającą pogardą.

— Spójrz pan na siebie!

— Wiem, to mało pocieszający widok, mógł mi go pan spokojnie zaoszczędzić.

— Jestem w dość dobrej formie! Świetny ze mnie bokser i znam też karate.

— O, to rzeczywiście wyrafinowane wykształcenie, ale mógł pan również zainwestować trochę w swoje wychowanie.

— W trzy sekundy kładę pana na deski!

— A dlaczego?

— Nazywam się Morgenrot — wyjaśnił baran. — Wyglądał, jakby zaraz chciał kogoś tryknąć. — Zna pan to nazwisko?

— Owszem — w głosie Wandera zabrzmiał głęboki smutek. Czuł się jak zużyta szmata, jak wydany na pastwę nie wiedząc kogo ani czego. — No dobrze, nazywa się pan Morgenrot, tylko co ja panu na to poradzę?

— Moja starsza siostra też nazywa się Morgenrot — wyjaśnił twardym głosem opalony młodzieniaszek. — Zna ją pan, ma na imię Ewa, a ja jestem Martin. I co pan teraz powie?

— Czy to Ewa, pańska siostra, pana przysłała?

— Wyciągnął pan po nią swoje brudne łapska! — zawyrokował Martin Morgenrot. W jego oczach zakipiała nagła nienawiść. — Pomimo że wiedział pan, iż Ewa jest zaręczona. Rzucił się pan na nią, żeby zaspokoić swoje brudne żądze, wiedząc, że nie mogła się bronić.

— Wie pan to od Ewy?

— Po prostu wiem i to mi wystarczy!

— Ja też mam dość! — Karl Wander zdecydowanym *U-chem otworzył drzwi na korytarz. — Może powinienem panu współczuć, ale byłaby to tylko strata czasu.

— Nie wykręcaj się, łajdaku!

— Posłuchaj pan! Poznałem pańską siostrę tylko w przelocie i absolutnie mi to wystarcza. Nie mam również najmniejszej ochoty zawierać znajomości z panem. Teraz mam tylko jedną potrzebę: położyć się do łóżka!

— Dobra! A najlepiej, żebyś w ogóle nie wstał!

Martin Morgenrot rzucił się na Wandera jak drapieżny ptak na mysz polną. Jedną pięścią uderzył go w szczękę, a drugą w splot słoneczny. Poprawił kopniakiem w podbrzusze i kantem dłoni wymierzył cios w kark osuwającego się z jękiem przeciwnika.

Karl Wander znieruchomiał. Następnie po wyfroterowanej podłodze podczołgał się w stronę łóżka. Jego mózg był jak pękająca banka mydlana.

Raport człowieka zwanego Jerome

— część druga

O nader ludzkich uwarunkowaniach przy uwzględnieniu nowoniemieckich realiów.

Pozostawiałem początkowo całkowicie obojętny wobec sprawy zarejestrowanej później jako „Przypadek Karla Wandera”. W stolicy Republiki Federalnej mieliśmy do czynienia z dużo bardziej interesującymi układami, wobec których pojawienie się tego człowieka wydawało się dużo mniej znaczące. Ot, jeszcze jeden informator przygnany przez wiatr historii. Decydujące dla mnie było zainteresowanie tym indywidualistą ze strony Petera Sandmana, który wiele sobie po nim obiecywał. Sandman, mimo że w głębi duszy amerykański „naprawiacz” świata, był jednak bez wątpienia sprytnym dziennikarzem, wietrzącym z daleka wszystkie konflikty.

Chyba w celu uzupełnienia własnych materiałów, jak również wykorzystania mojego instynktownego poparcia, Sandman wymienił mi kilka następnych nazwisk. Jeżeli chodzi o baronową von Wassermann-Westen, to raczej wyważył szeroko otwarte drzwi. Byłem mianowicie przekonany, że dama ta jest przypadkiem całkowicie jednoznacznym: pracowała na własny rachunek specjalizując się w organizowaniu kontaktów. Pośrednicząc między wszystkimi możliwymi kontrahentami pobierała honorarium po szczęśliwym zakończeniu rozmów. Tak się to zresztą dzieje we wszystkich centrach władzy.

W takiej działalności konieczne są kontakty, którymi dysponowała aranżując bogate życie towarzyskie i angażując się w sposób bardzo osobisty. Wkrótce zorientowała się, że warunkiem powodzenia w tej branży są intensywne inwestycje. Toteż nigdy nie była drobiazgową.

Jej wielopłaszczyznowe powiązania były nieprzejrzyste, w każdym razie do tego czasu niespecjalnie się nimi interesowałem. Jednak pierwsze badania wykazały między innymi, że jej ulubionym partnerem w interesach był sekretarz partyjny Krug. Domyślać się można było również dość intensywne kontakty z Feldmannem, a w dalszej kolejności pojawiło się także nazwisko Barranskiego.

Nasze akta na temat doktora Klausa Barranskiego były dość obszerne, ponieważ już od wielu miesięcy systematycznie korzystaliśmy z jego usług. Wiedzieliśmy, że posługiwał się wszystkimi możliwymi brudnymi trikami znanymi w jego branży, jednak jego wysokie kwalifikacje zawodowe nie dopuszczały możliwości gwałtownej katastrofy.

Pewien czas temu postawiliśmy go przed alternatywą: albo będzie od tej chwili pracował u nas dla dobra amerykańsko-zachodnioeuropejskiego świata, albo trafi do więzienia. Zgodził się oczywiście na współpracę, dzięki czemu mogliśmy mieć wgląd w jego karty pacjentów i historie chorób, zainstalowaliśmy mikrofony w jego gabinecie, żądając jednocześnie sprawozdań. Efektem tego było nasze gruntowne rozeznanie w szczegółach życia prywatnego prominentów.

Nie mogliśmy oczywiście lekkomyślnie zarządzić kury znoszącej złote jaja. Konieczne było jednak pewne rutynowe zabezpieczenie, przeto zażądałem przygotowania pewnego rodzaju zaświadczenia, które zresztą szybko dostarczył. Oto jego fragment: „...zapewniam, że panna Ewa Morgen-rot była moją pacjentką przez okres dwóch miesięcy. O ile pamiętam, została mi polecona przez panią von Wasser-mann-Westen. Dolegliwości, którymi się zajmowałem, były raczej niegroźne, m.in. lekkie rany tłuczone, spowodowane, zgodnie z jej zapewnieniami, upadkiem ze schodów.”

Dopiero teraz przebudziłem się, niestety nie od razu całkowicie. Mimo to nie pozostałem obojętny wobec wymienienia nazwiska Morgenrot. Zorientowałem się przy tym, że jego właściwego znaczenia nie domyślał się nawet Sand-man, nie mówiąc już o tym Wanderze.

W tym momencie poczułem, że chętnie osobiście zajmę się tą sprawą.

*Przeznaczenie może być jak teczka
z aktami, nawet jeśli na pewien czas
pokrywa się kurzem*

Biurowiec, stojący w połowie drogi między dworcem, Kaiserstrasse i budynkiem parlamentu, był typowym administracyjnym pudłem z betonu i szkła, wybudowanym w stylu baroku erhardzkiego z epoki cudu gospodarczego. Gdy tylko Wander wszedł do hallu, otoczyła go atmosfera celebrowanej pracowitości.

Łatwo odnalazł pomieszczenia, które zamierzał odwiedzić. Jednak rezydujący tam człowiek jak gdyby skrył się za biurowymi barykadami z palisandru. Był to Konstantin Krug, lat czterdzieści dwa, sekretarz partii, polityk koalicji rządowej, specjalista w zakresie prawa administracyjnego. Krug dysponował poczekalnią i dwoma przedpokojami, przez które Wander został przepuszczony w sposób tyle uprzejmy, co sformalizowany.

— Jestem już — obwieścił po raz kolejny lądując w trzecim pomieszczeniu. — Nazywam się Karl Wander.

— To niemożliwe! — rozległ się jasno brzmiący, nieco szorstki kobiecy głos.

— Ja to chyba wiem najlepiej — odparł Wander.

— Chciałam przez to tylko powiedzieć, że strasznie pan wygląda. Bił się pan, czy co?

— To ja byłem bity — wyjaśnił grzecznie. — Zapewne niechcący wziąłem udział w jakiejś prywatnej zabawie towarzyskiej, nie znając do końca jej reguł.

— Panu Krugowi się to nie spodoba — stwierdziła rzeczowo stojąca przed Wanderem osóbka wskazując na jego rozcięty podbródek. — Pan Krug przywiązuje wagę do schludnego wyglądu.

Zbliżyła się do niego. Mała, krucha, podobna do wiewiórki. Karl Wander patrzył na jej szczupłą twarz, podobne do oczu sowy oprawki okularów i krótkie, gładkie, jasne jak słoma włosy. Dłoń obejmująca jego podbródek była chłodna i trzymała mocno. — Coś z tym trzeba zrobić

— stwierdziła.

— Czy ma pani zamiar polecić mi dobrego, niezawodnego lekarza, na przykład doktora Barranskiego?

Nieprzystępnie wyglądająca dziewczyna odsunęła dłoń i podeszła do szafy. Mogło się wydawać, że nie usłyszała uwagi Wandera, ale była to po prostu jedna z jej wypróbowanych strategii, nie docierały do niej rzeczy, co do których starała się okazać, że jej nie dotyczą. Była jak za zasłoną z kuloodpornego szkła.

— Nazywam się Wiebke — powiedziała otwierając szafę.

— A jak ma pani na imię?

— Panu i innym osobom tutaj nazwisko powinno wystarczyć.

Kobieta o nazwisku Wiebke postawiła na biurku małą walizkę wielkości aktówki i otworzyła ją. W środku znajdowały się materiały opatrunkowe i lekarstwa. Ruchami fachowca wybrała niektóre z nich. — Proszę podejść — zarządziła, zanurzając kawałek waty w ostro pachnącej, przezroczystej cieczy. Potem przemyła ranę.

— Tutaj nie może pan być taki wrażliwy — skomentowała panna Wiebke, gdy Wander się wzdrygnął. — W każdym razie, niech pan tego nie okazuje.

— Nie traktuje mnie pani zbyt łagodnie!

— Nie należy to ani do moich obowiązków, ani do mojego stylu bycia, co powinien pan zauważyć i tym się kierować. — Powtórnie przemyła ranę i zakleiła ją plastrem.

— Nie wygląda pan ładniej, ale przynajmniej trochę po rządniej.

— Zdaje się, że jest pani przygotowana na wszelkie oko liczości. Często ma pani okazję udzielać się jako sanitariuszka?

Wander powtórnie zauważył, że panna Wiebke, kobieta młoda, surowa i wytrwale nieprzystępna, w ogóle nie

przyjmowała do wiadomości pewnych aluzji. Poruszała się, jak gdyby była sama w pokoju, starając się przy tym, by brano ją tylko za jeden z elementów wyposażenia.

— To byłoby na tyle — powiedziała panna Wiebke zamknąwszy apteczkę. — Czy mogę zobaczyć pański dowód tożsamości?

— Nie wierzy mi pani? — spytał rozbawiony.

— Dlaczego miałabym komukolwiek wierzyć? — odparła niedbale. — To nie należy do moich obowiązków. Wypełniam jedynie zarządzenia. Ponieważ jest pan przewidziany jako nasz przysły współpracownik, mam jak zwykle założyć pana kartę.

Wander wręczył jej swój paszport. Panna Wiebke wzięła go do ręki i zaczęła przeglądać. Jej oczy rozbłysły na chwilę zza grubych szkielec, gdy błyskawicznie porównała zdjęcie z samym Wanderem. W biurze nikt nie mógł oglądać tych oczu w inny sposób. Okulary należały u panny Wiebke do części ubrania i tutaj nigdy ich nie zdejmowała.

— Dobrze byłoby, gdyby w międzyczasie zapoznał się pan z informacjami na temat pana Kruga.

— To już uczyniłem!

— Niech więc pan to uczyni jeszcze raz, w miarę możliwości starannie — to mówiąc podsunęła Wanderowi otwarte już na właściwej stronie „Who is who in Germany” „Przewodnik po parlamencie”, a do tego ciekawą teczkę wycinków prasowych. — Panu Krugowi zależy na tym, żeby samemu nie mówić na swój temat, a już w żadnym wypadku nie w rozmowach z przyszłymi współpracownikami.

— Czy uważa pani te powierzchowne informacje za wystarczające?

— W pańskim wypadku, całkowicie. Nie musi pan wiedzieć na temat pana Kruga więcej, niż zawierają te materiały.

Panna Wiebke nie patrzyła przy tym na niego. W dalszym ciągu zajmowała się jego paszportem i wypisywała z niego jakieś informacje. Wander przekartkował podane mu pozycje, stwierdzając, że wszystkie już zna.

— Nie udzieliłaby mi pani kilku osobistych uwag, wyjaśnień i wskazówek? — zapytał zachęcająco.

— Nie leży to w moich kompetencjach — sprawiała wrażenie bardzo zajętej. — Gdyby został pan zatrudniony, będzie pan podlegał tylko i wyłącznie panu Krugowi.

— A nasza ewentualna, osobista współpraca, panno Wiebke?

— Nie jest w ogóle przewidziana — oświadczyła zdecydowanie. — Nie będzie mi pan przekazywał żadnych wiadomości ani ich ode mnie otrzymywał. Nie wchodzi w grę żadne pisemne sprawozdania, notatki czy nawet wycinki prasowe. Moja rola będzie polegać wyłącznie na łączeniu koniecznych rozmów telefonicznych z panem Krugiem i ewentualnym aranżowaniu niezbędnych spotkań.

— Nie wiem nawet, czego się tu ode mnie oczekuje, albo raczej, na co się liczył!

— Wszystko przekaże panu pan Krug, włącznie z wysokością pana honorarium i limitem kosztów. Niech pan go zresztą sam zapyta, a nie sądzę, żeby o tym właśnie pan zapomniał.

— Obawia się pani, że nazbyt dobrze się będziemy rozumieć?

Odpowiedź na to pytanie została pannie Wiebke oszczędzona, ponieważ w tym momencie zadzwonił telefon. Wy-trenowanym ruchem odebrała, beznamiętnie wysłuchawszy głosu w słuchawce powiedziała: — Proszę zaczekać! — Następnie wręczyła słuchawkę Wanderowi: — Do pana!

— Kto jeszcze wie, że tutaj jestem?

— Może wieść już się rozeszła.

— A kto to?

— Pani von Wassermann-Westen, to podobno coś pilnego.

— Po pierwsze, — powiedział Konstantin Krug, sekretarz partii — pańskie honorarium! Jego wysokość sam pan może zaproponować, może być pan spokojny, że w miarę naszych możliwości postaramy się zaspokoić pańskie oczekiwania.

— Czego oczekuje pan w zamian? — zapytał Karl Wander.

— Po drugie — kontynuował Krug, zerkając w swoje notatki — podstawowe wskazówki odnośnie pańskiej pracy! Będzie je pan otrzymywał ode mnie, ewentualnie od pana ministra, na którego zlecenie prowadzę z panem rozmowy. Metody jednak, którymi się pan posłuży, pozostają całkowicie w pana gestii. Jesteśmy zainteresowani jedynie oczekiwanymi rezultatami.

— O jakie rezultaty chodzi?

— Najpierw jeszcze trzecia sprawa! Pańska działalność oraz wynikający z niej dostęp do różnego rodzaju spraw, akt, materiałów i dokumentów podlega obowiązkowi zachowania tajemnicy. Z tego też powodu będę zmuszony poprosić pana o podpisanie odpowiedniego oświadczenia.

— Czy coś jeszcze?

— Jeszcze kilka drobiazgów. Powinien pan unikać sporządzania wszelkiego rodzaju zapisków, gdyby jednak okazały się niezbędne, powinien je pan niezwłocznie dostarczyć w celu przechowania ich w naszej szafie pancерnej. To samo dotyczy ewentualnych zabezpieczonych materiałów dowodowych. Wszelkie sprawozdania powinny odbywać się ustnie, gdyby zaszła konieczność pisemnego ich przygotowania, może się to odbyć wyłącznie w naszym biurze.

Karl Wander skinął jedynie głową, bo nie pozostawało mu nic innego. Człowiek, z którym rozmawiał, Konstantin Krug, Frankończyk z pochodzenia, uważany za umiarkowanego, wcześniej zwykły członek partii, obecnie należał do wiodących polityków drugiej klasy. W tej chwili nie prowadził rozmowy, a jedynie załatwiał pewną formalność, podając kolejne wiadomości jak taśma magnetofonowa.

— Po czwarte, może pan liczyć na nasze pełne poparcie w każdej sprawie, otrzyma pan także wgląd we wszystkie dla nas osiągalne, a dla pana użyteczne, materiały. Będzie my również załatwiać wszelkie konieczne kontakty, czasu mi wystarczy tylko zatelefonować. A ze względu na ewentualne, niezbędne wydatki założymy na pana nazwisko specjalne konto z wkładem dziesięciu tysięcy marek, którymi może pan dowolnie dysponować. Dalsze wpłaty po wcześniejszym uzgodnieniu.

Krug wyliczał wszystkie te punkty z niezmienną intonacją. W jego głowie, gładkiej jak kula bilardowa, jedynym ruchomym punktem były usta, a rybie oczy spoglądały zimno i bez wyrazu w daleką przestrzeń, gdzie jawił się zapewne jakiś stół ministerialny.

— Może, zanim będzie za późno, powinienem uświadomić pana co do niektórych punktów w moim życiorysie — wtrącił Wander.

— Podoba mi się pańska szczerość, ale w tym momencie nie ma to żadnego znaczenia. Proszę, niech pan spojrzy do leżącej przed panem teczki.

Jaskrawoczerwona teczka była grubości ramienia. — Jest tutaj mnóstwo materiałów na pana temat, od aktu urodzenia, poprzez liczne świadectwa szkolne, kopie pańskich dokumentów wojskowych, aż po najróżniejsze publikacje oraz inne publiczne czy też nawet prywatne wystąpienia.

— Wie pan więc o moim konflikcie z armią, względnie z ówczesnym ministerstwem obrony, mniej więcej dziesięć lat temu?

— W najdrobniejszych szczegółach.

— Nie budzi to pana nieufności?

— Wręcz przeciwnie, panie Wander, właśnie to czyni pana tak atrakcyjnym partnerem. Z tego powodu pana zaprosiliśmy.

— W porządku, ponieważ zakładałam, że dobrze się pan nad tym zastanowił, możemy chyba zacząć mówić o konkretach.

Konstantin Krug okazał wreszcie jakąś reakcję.

Skinął głową z wyraźnym zadowoleniem. Kulista czaszka jakby lekko rozbłysnęła. Jego baryton, ciągle nie zmieniając tonacji i napięcia, wyśpiewał Wanderowi wszystkie decydujące szczegóły: — Chodzi o armię, a dokładniej: o jej dowództwo. Jeszcze dokładniej: o obecnego ministra obrony. Co pan o nim sądzi?

— Zapewne to samo, co znajduje się pańskich materiałach na mój temat. Postaram się to wyrazić w skrócie: Minister jest być może godnym szacunku człowiekiem, ale z pewnością idiotą. Ma mnóstwo energii i wytrwałości, ale za grosz fantazji. Pod jego dowództwem armia federalna

może zmienić się w ociężałą, leniwą, zobojętniałą bandę, którą łatwo będzie manipulować.

Krug znowu skinął głową, co zdradzało jego wewnętrzne poruszenie. Złożył ręce i na krótko przymknął swoje rybie oczy. — O to chodzi! — potwierdził. — To jest właśnie pański punkt wyjścia. Jeżeli to, co pan tak przekonywająco powiedział, usłyszy pan minister, z pewnością napełni go to nadzieją.

— Który minister?

— Ten, na którego zlecenie będzie pan pracował.

— A kto to jest?

— Wkrótce go pan pozna — obiecał Krug. — Najważniejsze, że się zgadzamy.

— Jeszcze nie we wszystkich szczegółach — stwierdził po namyśle Wander.

— Pańskie honorarium? Może pan liczyć przez co najmniej sześć miesięcy na sumy w wysokości poborów ministra. Jak powiedziałem, nie jesteśmy małostkowi, pod warunkiem skutecznej i sumiennej pracy.

— Nie chodzi mi w ogóle o pieniądze! Myślę raczej o armii. Chciałbym ją widzieć w jak najlepszych rękach i chętnie pomógłbym stworzyć możliwości jej rozwoju w jak najlepszym kierunku. Obecny stan świadczy o zbliżającym się moralnym rozkładzie armii. Brakuje twórczych sił i przekonywających demokratycznych podstaw, szerzy się najczystsza ideologia nazistowska.

— Ależ tak! Znam i akceptuję wszystkie pańskie argumenty, podobnie zresztą jak pan minister. Również on ma wątpliwości podobne do pańskich i chciałby, aby armia stała się demokratycznym elementem pierwszej rangi. Właśnie na pana liczymy!

— Jeżeli jest tak, jak pan mówi, to można na mnie liczyć.

— Tak właśnie jest — oznajmił nieomal uroczyście Kon-stantin Krug. — Nasza armia znowu potrzebuje takich ludzi jak pan, panie Wander. Minister jest zdania, że jeżeli wszystko pójdzie po naszej myśli, powinien pan znaleźć w niej na powrót swoje miejsce. Zdaniem pana ministra powinno to być miejsce odpowiedzialne, najlepiej od razu w ministerstwie obrony.

— Kiedy i jak możemy zaczynać? — zapytał pośpiesznie Wander.

— Na początek oczekujemy od pana pewnego rodzaju analizy, która będzie punktem wyjścia dla pańskiej dalszej działalności. A więc, po pierwsze: gdzie znajdują się najsłabsze punkty obecnego kierownictwa, które miejsca nadawałyby się do przeprowadzenia ewentualnego ataku. Po drugie: gdzie znajdują się użyteczne i chętne do działania siły przeciwne grupie rządzącej, i jak można je najefektywniej zmobilizować. Po trzecie: które elementy są w chwili obecnej neutralne i jakimi środkami można je zwerbować do współpracy.

— Obecne dowództwo Bundeswehry nadaje się rzeczywiście do usunięcia. Ludzie tam zasiedziali zajmują się już tylko administrowaniem. Wśród średniej kadry oficerskiej znajduje się sporo pogrobowców idei wielkoniemieckiej, których trzeba się jak najszybciej pozbyć. Należy natomiast dać szansę tym młodszym, którzy wykazują wyraźne tendencje reformatorskie. Tak więc zgoda, postarajmy się uratować to, co jest jeszcze do uratowania!

— Wspaniale, jest pan idealistą, a na to właśnie liczyliśmy! — powiedział Krug. — Oby tak dalej! Pański pierwszy czek jest już gotowy, może go pan odebrać u panny Wieb-ke. Życzę więc owocnej współpracy!

— Miło, że pan przyszedł! — stwierdziła Sabina von Wassermann-Westen serdecznym tonem konwersacji, witając Wander a w swoim domu w Kolonii. Podąła mu idealnie wypielegnowaną rękę, rzucającą jaskrawe refleksy świetlne, noszona na niej bransoletka odpowiadała wartości pięciu pensji ministra. — Chciałabym poznać pana z kilkorgiem moich przyjaciół.

— Powiedziała pani przez telefon, że chce porozmawiać ze mną na osobności w bardzo pilnej sprawie.

— Najważniejsze, że jest pan tutaj, wszystko inne jakoś się załatwi.

Przez szeroko otwarte, szklane drzwi zaprowadziła go do obszernego pomieszczenia umeblowanego w stylu em-

pire. Wyposażenie uzupełniały dwa obrazy mistrzów holenderskich i gotycka rzeźba Madonny. W salonie było również około tuzina gości, stali w małych grupkach, z kieliszkami w rękach, żywo o czymś dyskutując.

— A to co za okazy? — spytał nieufnie Wander.

— To niektórzy z moich znajomych, już mówiłam. Będzie się pan musiał do nich przyzwyczaić, jeżeli chce pan tu odnieść jakieś sukcesy, to po prostu nieodzowne.

— Również do brata Ewy Morgenrot?

— Brakuje go panu? — zapytała Sabina z łagodną ironią.

— Prawie stęskniłem się za tym chłopakiem!

— O nim też porozmawiamy — obiecała prawie z pośpiechem.
— Mam nadzieję, że jeszcze nie podjął pan żadnych działań przeciwko niemu?

— Na razie nie! W przeciwnym razie byłby już w szpitalu albo w kostnicy. I tak tam wkrótce trafi, jeżeli nie zmieni trybu życia.

Sabina von Wassermann-Westen, do której zwracano się zwykle: „pani baronowo”, okazała widoczną ulgę. Zaśmiała się i zaprowadziła Karla Wandera do swoich gości, przedstawiając go. Wyglądało to jak prezentacja nowego, cennego okazu do kolekcji, cieszącego się zresztą wyraźnym uznaniem ze strony znawców.

Na przyjęciu było siedmiu panów i pięć pań, poruszających się po tym kolońskim domu, jakby należał do nich. Wśród gości był jeden sekretarz stanu, dwóch deputowanych, trzech przedstawicieli lobby przemysłowego i dyplomata, do tego kilka dam z towarzystwa: tu jakaś ubrana z przepychem piękność, tam znowu szacowna żona wysokiego urzędnika, poza tym urozmaicająca towarzystwo intelektualistka i dwie luksusowe dziwki. Wszyscy oni należeli do drugiej klasy i starali się bardzo jak najszybciej awansować do pierwszej.

Wander przechodził od jednej grupy do drugiej, stwierdzając, że wszyscy się znają. Także to, co mówili, było ogólnie wiadome, mimo to starali się nadać swoim wypowiedziom pewną wagę. Potoki pustosłowania działały najwyraźniej jak odświeżający prysznic.

— Nie należy nie doceniać obecnego kanclerza — wyjaśniał jeden z parlamentarzystów. — Właśnie ta powściągliwość powinna być interpretowana jako sprytna taktyka. Nie działa on jak kiedyś Kiesinger, który usiłował zbijać kapitał na łączeniu przeciwieństw nie do pogodzenia.

— Nie sądzi pan chyba — wtrącił się do rozmowy Wan-der — że Kiesinger paktował najpierw z nazistami, a potem z socjalistami? To pierwsze uchodzi u nas za rzecz zrozumiałą, powiedzmy: do wybaczenia. To drugie uważano kiedyś za zdradę stanu, a nieco później, po pewnych zaszczytach, za co najmniej polityczną głupotę.

— Nie patrzyłbym na tego rodzaju, taktyczne raczej rozważania tak jednostronnie — zaoponował deputowany. — Chodzi tu raczej o pewne, nie zawsze widoczne jak na dłoni niuanse. Nie mamy tu do czynienia, nieprawdaż, z polityką jako taką, tylko, że tak powiem, z polityką specyficznie niemiecką. Na przykład ja, jako przewodniczący komisji obrony...

Wander z trudnością opanował zaskoczenie. Lekkomyślnie nie zwrócił uwagi na nazwisko owego posła. Jego prosta, zatroskana twarz wiejskiego nauczyciela wydała mu się niezbyt interesująca. Jednak przyglądając się mu dokładniej, stwierdził, że jego kanciasty podbródek mógłby uchodzić, przy odrobinie dobrej woli, za oznakę niezwyklej energii.

— Ale czy metoda pracy komisji, której pan przewodniczy, nie jest nadzwyczaj typowa dla obecnego klimatu polityki wewnętrznej? — pospieszył Wander z ripostą. — Rozbudzane jest wrażenie przemyślanej równowagi i roztropnej neutralności, a dzieje się to przy pomocy ciągłego wygłaszania nic nie znaczących zapewnień i zabezpieczania się ze wszystkich możliwych stron... Zdaniem tak zwanego radykalnej opozycji jest to świadome liczenie na wszechmocną władzę głupoty.

Niemal dobroduszna twarz deputowanego zamarła w wyrazie zatroskanego protestu. Jego głos zabrzmiał jednak rutynowo uprzejmie: — Jeżeli przy jakiegokolwiek okazji mogło powstać takie wrażenie, to mogę zapewnić, że jest to jedynie złudzenie.

— Całkiem możliwe, że mamy tu do czynienia właśnie ze złudzeniem — odparł Wander z wyzywającym uśmiechem.

Przewodniczący komisji obrony spojrział pytająco w stronę baronowej, a ta posłała mu zachęcający uśmiech. Ten fakt skłonił go do ostrożnego, ale konkretnego stwierdzenia: — No cóż, pańskie poglądy są z pewnością warte wnikliwszej dyskusji. Może przy jakiejś innej, nadarzającej się okazji... A jak pana godność?

Wander podał swoje nazwisko i oddalił się skwapliwie. Starał się manewrować w stronę Sabiny, ale zanim udało mu się do niej dotrzeć, nasłuchiwał się jeszcze typowych dla takich przyjęć opowiastek o modzie i morderstwach, państwie prawa i lewackich radykałach, moralności polityków oraz ich życiu seksualnym. Wzrastało w nim pożądanie potrójnego ginu, który zresztą wkrótce otrzymał.

— Co mogłabym jeszcze zaferować? — zapytała Sabina.

— Głównego przedstawiciela firmy zbrojeniowej? A może innego posła, uznającego się za eksperta w sprawach armii?

Wander osunął się wyczerpany na kanapę, a Sabina krzątała się jak dobra gospodyni. Uśmiechała się do gości, dawała wskazówki obsłudze i wreszcie usiadła koło Wan-dera. Ten spojrział na nią jak na kwit kasowy, którego suma budziła podejrzenia.

— W tej chwili o wiele bardziej niż te polityczne pogawędki interesują mnie inne sprawy. Na przykład bardzo chętnie bym się dowiedział, skąd wiedziała pani dzwoniąc do mnie, że jestem właśnie u sekretarza Kruga? Po drugie, dlaczego uważa pani, że interesują mnie eksperci do spraw wojskowych oraz przewodniczący komisji obrony?

Sabina uśmiechnęła się z wyrozumiałą wyższością.

— Mówi pan już prawie tak samo jak poczciwy Konstantin!

— Czyli zna pani Kruga?

— Jego wielu tutaj zna, tak to właśnie jest — Sabina usiłowała uśmiechać się jeszcze serdeczniej. — Znajomość z nim może być bardzo korzystna, gdyby pan zechciał, również dla pana. O ile oczywiście nauczyłyby się pan wreszcie bardziej trafnie oceniać ludzi. Chętnie panu pomogę, nawet już zaczęłam.

— A czego pani oczekuje w zamian?

Sabina odchyliła się w tył, obserwując bacznie swoich gości, ci jednak zajmowali się swoimi sprawami, gadając w nieskończoność ze wzrokiem utkwionym na wysokości piersi rozmówcy, jak gdyby wypatrując wypchanych portfeli czy głębokich dekoltołów. Sabina mogła więc spokojnie zająć się Wanderem.

— Każdy towar ma swoją cenę — powiedziała. — Najlepsze są takie umowy, które przynoszą obustronne korzyści.

— Nie jestem handlarzem starzyzną.

— Każdy może sprzedawać tylko to, czym naprawdę dysponuje. Akurat w pańskim przypadku jest to niemało, o czym pan być może jeszcze wcale nie wie. Na razie niech się pan tylko postara nie robić błędów, nie zajmować się sprawami, które pana nie dotyczą.

— Czy chodzi o Ewę Morgenrot?

— Ewa jest bardzo dobrą dziewczyną, ma tylko swoje kompleksy.

— Też bym miał kompleksy, mając brata, który jest takim prostakiem.

— Czy ma pan zamiar coś przedsięwziąć przeciwko temu Martinowi Morgenrotowi?

— Czy od tego ma się zacząć nasz interes? A może już wczoraj się zaczął?

— Niewłaściwie pan na to patrzy, nie wie pan, w co się pakuje!

— Może mnie pani wobec tego oświeci, bardzo jestem ciekawy, co się teraz okaże!

— Nic pan nie wie na temat Ewy, może to nawet lepiej dla pana. Nie przynosi ona w każdym razie szczęścia. Obawiam się, że zdążyła już sporo nabroić, być może nawet nieświadomie.

— Zapewne przy wydatnej pomocy braciszka?

— Martin jest zdolny do wszystkiego, ale kocha swoją siostrę. To może wyjaśni wiele z tego, co się wydarzyło i mogłoby się wydarzyć. Najlepiej, gdyby się pan w ogóle tym nie przejmował, bo ma pan do załatwienia dużo ważniejsze rzeczy, na których powinien się skoncentrować.

— A gdybym tego nie zrobił?

— Bardzo bym tego żałowała i pan z pewnością też, jestem pewna. Wystarczy, że pomyślę o tak zwanym narzeczonym Ewy, Feliksie Froście, którego powinien pan omijać szerokim łukiem.

— Nie wygląda pan na zbyt szczęśliwego — stwierdził Peter Sandman, ściskając rękę Wandera. — Nie dostał pan tej pracy, na którą pan liczył?

— Och, bynajmniej, została mi wręcz zaserwowana na pozłacanej tacy.

— No to jest co oblewać!

Zgodnie z umową spotkali się przy budynku parlamentu. Ruszyli teraz nadbrzeżną promenadą w kierunku polecanej przez Sandmana, restauracji w pobliżu Berliner Freiheit, gdzie oczekiwało już na nich doprowadzone do temperatury pokojowej przednie bordo marki Chateau Coufran.

— Zawsze myślałem, że jestem bardzo odporny, ale tutaj powoli osiągam stadium, w którym człowiek przestaje się czemukolwiek dziwić — oznajmił Wander.

— W tej okolicy to jedna z cnót głównych, daleko można z nią zajść — odparł Sandman.

— Ale dokąd?

Otoczyła ich jesienna mgła. Słabnące światło dnia rozmywało kontury betonowych brył wyglądających teraz jak potężne bloki do budowy katedry wznoszącej się wszechwładnie ponad dachami miasta. Prowadząca do mostu na Renie ulica wyglądała jak jaskrawo świecąca, rycząca rzeka, ruchoma taśma samochodów.

— Kto stoi za Krugiem? — spytał Karl Wander.

Peter Sandman zatrzymał się i powoli, z namysłem zapalał fajkę. Po chwili zastanowienia odpowiedział: — Trudno to jednoznacznie stwierdzić. Tak czy owak Konstantin Krug jest kimś w rodzaju sekretarza generalnego swojej partii, co łączy się z wieloma sprawami. Ale na takie stanowisko trzeba nie tylko zasłużyć, trzeba je także umieć utrzymać. Krug wie o tym dobrze, podobnie jak jego obecny protektor.

— Minister Feldmann?

— Możliwe — odparł jak gdyby wymijająco Sandman.

— Ale cóż to oznacza w praktyce? Żaden tego rodzaju układ nie musi być stały, a w dodatku wcale nie jest to jednoznaczne, kto kogo właściwie wprawia w ruch.

— Minister Feldmann uchodzi za niezwykle zdolnego człowieka.

— Niewątpliwie! Należałoby tylko ustalić, do czego właściwie byłby zdolny. Fakt, że jest jedynie ministrem do spraw wypędzonych i przesiedleńców, mówi niewiele, ponieważ tego typu marginesowe ministerstwo może być zarówno formą zabezpieczenia emerytalnego, jak i odskocznią do dalszej kariery. A Feldmann to dobry skoczek!

Stali teraz koło przejścia dla pieszych po zachodniej stronie mostu. Światła ulicy odbijały się w ich twarzach, a hałas silników zagłuszał rozmowę.

Wander stwierdził: — Może w ogóle nie powinienem przyjeżdżać!

— Byłbym wtedy z pewnością pozbawiony dużej dozy przyjemności — odpowiedział Sandman.

— Pisywałem ostatnio artykuły do miesięczników: dla rzeźników, fryzjerów i turystów. Dało się z tego wyżyć, niespecjalnie wystawnie, ale nieźle. Powinienem przy tym pozostać.

— Niech pan sobie daruje te ataki skromności — odparł rozbawiony Amerykanin. — To do pana nie pasuje. Ja w każdym razie jestem przekonany, że potrafi pan, chce to zrobić, i da sobie radę! Jest pan już zresztą zaangażowany, od razu trafił pan, zapewne przypadkowo, na coś w rodzaju złotej żyły.

— Niech mi pan to wyjaśni — poprosił Wander.

Sandman zaciągnął Wandera w cichsze i spokojniejsze miejsce. Oparł się o ścianę domu, starannie oczyścił fajkę i zamienił ją na inną, wydawało się, że w każdej kieszeni ma przynajmniej jedną. Wyjął swój czarny notes, błyskawicznie znalazł potrzebną stronę i znowu go schował.

— Wymienił mi pan nazwisko Morgenrot, które od razu wydało mi się znane, ale nie wiedziałem skąd. Wynikało to z faktu, że myślałem o dziewczynie, o pańskiej Ewie Morgenrot, a nie o jej ojcu.

— To nie jest żadna moja Ewa! — wyjaśnił szorstko Wander.

— Poczekajmy — odparł Sandman. — Nie udało się panu dotychczas ustalić, kim jest ten ojciec? To niech pan uważa: Morgenrot, Maksymilian, lat 59, przemysłowiec z okolic Essen, fabrykant zbrojeniowy. Jego specjalnością są pociski przeciwpancerne, a oprócz tego granatniki, działa małokalibrowe i broń maszynowa. Przedsiębiorstwo prowadzi już dość szeroką działalność, ale zdolne jest jeszcze do dalszej rozbudowy. Jest jednak zdane wyłącznie na eksport, co oznacza brak jakiegokolwiek połączenia z ministerstwem obrony. Na razie!

— I akurat mnie musiała się napatoczyć!

— No właśnie, osobliwy przypadek.

— Ale tylko przypadek.

— Wykorzysta pan to, czy może nieświadomie już pan zaczął?

— Broń Boże! Mam absolutnie dosyć tej damy, a w szczególności jej brata Martina.

— Nie jest jego siostrą — wyjaśnił Peter Sandman. — Ewa jako małe dziecko została adoptowana przez Morgenrota i jego ówczesną żonę. Martin urodził się kilka lat później, nie są więc w rzeczywistości ze sobą spokrewnieni.

— Sądzi pan, że to wiele wyjaśnia?

— Być może jest to jedno z możliwych wyjaśnień, jedno z wielu.

Raport człowieka zwanego Jerome

— część trzecia

O nasuwających się przypuszczeniach i szkodliwości gra* czy nie uznających żadnych reguł.

Sandman jest być może człowiekiem uzdolnionym, może nawet bardzo, ale w pokera nigdy zbyt dobrze nie grał. Kiedy sądził, że ma w ręku dobre karty, nie udawało mu

się tego ukryć, w każdym razie nie przede mną. Doskonale znalazłem jego reakcje.

Jego szczególne zainteresowanie Karlem Wanderem rzuciło się w oczy, chciał też dowiedzieć się o nim wszystkich osiągalnych szczegółów. Ich zdobycie nie nastąpiło żadnych kłopotów, a to dlatego, iż Wander należał do ludzi nie usiłujących czegokolwiek ukrywać, niewątpliwie w przekonaniu, że do ukrycia nic nie ma. Z naszego punktu widzenia jest to dość powszechnie popełniany błąd.

Sandman chciał na przykład wiedzieć, czy Wander jest tak zwykłym uczciwym człowiekiem. Okazało się, że tak. Czy w jego życiorysie nie ma jakichś drażliwych zaszłości? Z prawnego punktu widzenia nie było ani jednego, z naszego jednak — całe mnóstwo. Wynika to z faktu, że zdeklarowani idealisci, tacy właśnie jak ów Wander, są niezwykle wrażliwi, a więc dają się łatwo manipulować. Chodzi tylko o to, aby we właściwym czasie pociągnąć za odpowiedni sznurek.

Podczas jednej z nocnych rozmów zapytałem wreszcie Sandmana wprost: „Czego można się właściwie spodziewać po tym Wanderze?”

Odpowiedział krótko: „Wszystkiego!” Dopiero teraz poczułem przyjemne podniecenie. „Jak to wszystkiego, nawet zabójstwa?” Sandman wzruszył ramionami, ale nie zaprzeczył. Ten spryciarz nie mógł bardziej pobudzić mojej ciekawości!

Spróbowałem wtedy, przy drugiej butelce koniaku, skłonić Sandmana do powiedzenia czegoś więcej. Wydawał się nie mieć nic przeciwko temu. Tym razem nie miałem mu tego za złe, gdyacytował zdanie Goethego o zdolności do każdej zbrodni w odpowiednich warunkach. Następnie stwierdził: „Wander z pewnością nie ma chorobliwych skłonności do przestępstwa, jest jednak człowiekiem dość skomplikowanym. Zanim wystąpi u niego efekt samozniszczenia, musi zostać wyzwolony cały łańcuch impulsów”.

No cóż, tak to jest. Każdy bez wyjątku może zostać zbrodniarzem. Każdego z nas, niemalże automatycznie, może do tego zmusić odpowiedni układ niebezpiecznych okoliczno-

ści. Sandman stwierdził: „Wander ma za sobą wiele ciężkich przeżyć. Zaskakujące jest jednak, że wcale ich nie unika, a wręcz poszukuje. Nieumyślnie, a może nawet nieświadomie pozostawia potem za sobą tylko zgliszcza”.

Wobec takiego współczucia nie mogłem pozostać obojętny, a poza tym była to dobra okazja do podszkolenia młodych kadr. Postanowiłem więc skierować do sprawy kilku nowicjuszy, lekkomyślnie nie widząc nawet śladów porcelany, którą mogliby uszkodzić w tym sklepie.

Wszystko wyglądało z początku na raczej przypadkową układankę. Moi niezwykle pilni, początkujący zwiadowcy poscigali wszystko, co im tylko wpadło w ręce, między innymi sporo zwykłego gówna.

Otrzymałem na przykład fragmenty pamiętnika Sabiny von Wassermann-Westen. Były to pisane z rozmysłem bzdety, pomyslane zapewne jako ewentualne zabezpieczenie na przyszłość. Na temat Ewy Morgenrot można tam było znaleźć następujące enuncjacje: „...kompletnie pijana, jak nieprzytomna... podejrzewam przyjmowanie środków odurzających... uważam za konieczne powiadomienie godnego zaufania lekarza... ciągle te straszne, niebezpieczne ataki...”.

Były również wypowiedzi dawnego przełożonego Wan-dera z czasów, kiedy ten był jeszcze w armii. Wynikało z nich, że Wander jest bardzo inteligentny, ale również dość samowolny. Potrafił znaleźć właściwe podejście do żołnierzy, jednak czasami za bardzo się z nimi spoufalał. Nie rozwinął u siebie zdolności wyczuwania pewnych delikatnych sytuacji i nie widział różnicy między postuszeństwem a dyscypliną. Był więc, jak z tego wynika, niewygodnym podwładnym i osobą niepożądaną jako ewentualny przełożony.

Udało się sporządzić kopię jednego z listów Ewy Morgenrot do przyjaciółki. Zawierał dość przesadne, niedojrzałe sformułowania, jak na przykład: „wesole towarzy-cho... chlew, ale pozłacany... perfumowane gówno... pocziwa Sabina zachowuje się czasem jak burdelmama...”.

Tego typu źródeł w naszej branży nikt nie bierze na serio. Jednak jedno z doniesień moich informatorów zaalarmowało

mnie. Ten pocziwina oddał prawie czystą kartkę, w każdym razie zapisaną w niewielkiej części. A miało to być sprawozdanie na temat Konstantina Kruga! I to na jego temat nie był w stanie powiedzieć prawie nic! Nic też nie mogło mnie nastroić bardziej nieufnie.

Udałem się natychmiast do naszego archiwum, gdzie początkowo ustaliłem jedynie następujące fakty: Konstantin Krug wywodził się z tak zwanego porządnego środowiska mieszczańskiego i jego dotychczasowy żywot był kompletnie bez zarzutu. Dobre dziecko, następnie wzorowy uczeń, godny zaufania urzędnik. Wkroczył potem, jak gdyby nigdy nic, do życia politycznego. Nic nie wiadomo o jego hobby, brak jakichkolwiek namiętności, żadnych dowodów zainteresowania kobietami, mężczyznami również nie! Wykazuje zainteresowanie sztuką, ale w rozsądnych granicach, pozbawiony jakiegokolwiek życia prywatnego, krótko mówiąc: wzbudzająca dreszcz neutralność!

To pobudza moją fantazję, która jednak, niezbyt wprawdzie wybujała, od czasu do czasu daje o sobie znać. Ale któż z nas nie ma pewnych drobnych słabostek!

Plan, który pomaga manipulować śmiercią — nawet bez jej winy

Naszej armii brakuje profilu — wyjaśnił minister Feldmann. — Nie posiada ani wyraźnego ducha, ani charakteru. Nie ma w niej niczego, co mogłoby z niej uczynić dynamiczną siłę. Oczywiście w dobrze rozumianym demokratycznym sensie. Czy pod tym względem się zgadzamy?

— Jak najbardziej — odparł Karl Wander.

Jedli w hotelu „Rheinhof” przy stoliku w lewym rogu sali tarasowej. Przez szerokie okna widzieli leniwie płynącą rzekę, za dźwiękoszczelnymi szybami przesuwały się w martwej ciszy barki.

— Wiele przeoczono, obecnie już zbyt wiele — minister zabierał się do łososia. — Armia stała się rozdętym aparatem administrującym bronią, umundurowaną instytucją zaopatrzeniową i usankcjonowanym przez państwo złomowiskiem sprzętu bojowego.

— Również to było jednym z moich argumentów — stwierdził Wander.

— Są nam one znane — zauważył Krug. Był on trzecią osobą przy stole, co nie wykluczało tego, że, zgodnie z ob serwacją Wandera, rozmowę prowadziło dwóch. Krug po trafił być we właściwym momencie jedynie cieniem lub echem ministra.

Pan minister Feldmann promieniał dostojeństwem. Miał czoło uczonego i zmarszczki aktora sceny państwowej. Tak też zresztą brzmiał jego głos. Jednak jego szaroniebieskie oczy nieco irytowały przy dokładniejszej obserwacji, wyglądały jak u boksera lub kierowcy wyścigowego: bystre,

czujne i skierowane zawsze na jeden punkt. Tym punktem był teraz Wander.

— Armia musi zostać wyprowadzona z obecnego zamroczenia — kontynuował Feldmann. — Powinna na właściwej podstawie budować spokojnie wiarę we własne siły, co należy przecież do warunków osiągnięcia sukcesów. Armia nasza musi zająć pozycję, która jej przysługuje, musi stać się udoskonalonym, wysoko wyspecjalizowanym instrumentem. A zatem: precyzja i nowy duch.

Wander zaczął przypuszczać, co minister chciałby od niego usłyszeć. — Tak radykalna zmiana wymaga radykalnych środków! Mówiąc obrazowo: ponieważ obecne elity kierownicze na pewno się nie zmienią ani same nie rozwiążą, należy je, że tak powiem, zrzucić, czy też, powiedzmy, zdemontować, aby zastąpić nowymi. Czy o to chodzi?

Minister Feldmann spojrział z pewnym zadowoleniem. Milczał, gdyż podawano sarninę. Następnie oznajmił: — Chodzi o proces, który można by nazwać zmianą warty. Myślę jednak o uświadomieniu tej konieczności jak najszerszej opinii publicznej.

— A to, panie ministrze, jest sprawą pańskiego resortu?

— Panie Wander, to pytanie jest zbędne i nie ma nic wspólnego z pana zadaniami — wtrącił się natychmiast Krug.

— Mimo to odpowiem na nie — stwierdził minister. — Niech pan jednak traktuje te informacje jako absolutnie poufne.

— Pan Wander podpisał już zobowiązanie do zachowania daleko idącej dyskrecji — wyjaśnił Krug.

— Mam nadzieję, że to czysta formalność. — Minister położył poufale rękę na ramieniu Wandera. Była zaskakująco ciężka, niemal nieforemna, z palcami jak imadło. — A więc, mój szanowny kolega partyjny, pan kanclerz, jest głęboko zatroskany. Mianowicie jest zdania, że istnieje wręcz groteskowy kontrast między rzeczywistą wartością tej armii, a olbrzymimi wydatkami na jej utrzymanie.

— A to właśnie jest punktem wyjścia dla nas — dodał cicho Krug.

— Niech mi pan pozwoli nadmienić o jeszcze jednej sprawie — powiedział minister. — A mianowicie: wynikała w ten sposób sytuacja wcale mnie nie cieszy. Czuję się jednak zobowiązany wobec kanclerza, także jako przyjaciel. Poprosił mnie o tę przysługę, a i tak ktoś musi załatwić tę sprawę.

— A zmiany kadrowe, które mogłyby z tego wynikać?
— zapytał Wander.

— Są one sprawą kanclerza — padło natychmiastowe wyjaśnienie — on podejmuje ostateczne decyzje. Usiłuje my jedynie stworzyć sytuację, która wymusi zmiany. Rozumiem pan?

Minister odsunął od siebie opróżniony talerz i kontynuował: — A więc do rzeczy! Zapewne ma pan za sobą kilka konkretnych przemyśleń, do czego, o ile wiem, zachęcił pana mój przyjaciel Krug.

— Obecny ministrem obrony będzie się pan musiał sam intensywnie zająć — stwierdził Karl Wander. — Ponieważ jest członkiem pańskiej partii, wszelkie wewnętrzne materiały będą o wiele łatwiej dostępne dla pana niż dla kogokolwiek innego. Jako człowiekowi niewiele mu można zarzucić, podobnie zresztą od strony merytoryczno-organizacyjnej. To typowo bezbarwna osobowość. Ale pod względem politycznym, owszem. Istnieją mianowicie nie tylko jego rażąco sprzeczne wypowiedzi na tematy ogólne, ale również nieco zawstydzające okazyjne sformułowania z lat ubiegłych.

Minister skinął głową, a Krug zanotował coś i stwierdził: — Nie jest to oczywiście nic szczególnego, ale nadaje się do wykorzystania jako element naszej akcji.

— Z przewodniczącym komisji obrony udało mi się już nawiązać kontakt, zapewne dzięki manipulacjom pana Kruga — kontynuował Wander. — Osobiste wrażenie jest zgodne z tym, co wcześniej było wiadomo o tym panu: uprzedzająco uprzejmy i stara się nikomu nie narazić. Chętnie się nim jednak zajmę, podobnie jak obecnym pełnomocnikiem do spraw obrony, o którym krążą pewne pogłoski. Dałoby się je chyba udowodnić.

— Żebyśmy się dobrze zrozumieli, panie Wander — wtrącił ostrzegawczo Konstantin Krug — jest pan odpowiedzialny

jedynie za dostarczenie materiałów! Ich ocena należy wyłącznie do mnie, do nas.

— Doskonale pana rozumiem — zapewnił Wander. — I doskonale wyobrażam sobie pańską koncepcję. Wygląda ona mniej więcej tak: gdybym na przykład dostarczył panu dowód na to, że pełnomocnik do spraw obrony jest przekupny, jest alkoholikiem lub homoseksualistą, wykorzystywanym albo wykorzystującym swoje stanowisko, to pan wtedy zdecyduje, czy przy pomocy tych materiałów przeciąganie się go na pana stronę, czy ustrzeli.

— Na litość boską! — wykrzyknął Krug, z trudem się opanowując. — W przyszłości niechże pan się stara unikać tego rodzaju wulgarnych zwrotów! Koszarowy żargon jest tu nie na miejscu.

— Ale to prawda, co przez to chciałem powiedzieć?

— Proszę dalej, do następnego istotnego punktu, do inspektora generalnego — powiedział minister, który przy kawie i cygarze wydawał się być w świetnym nastroju.

— On i jego minister idą w jednym zaprzęgu, trzeba ich będzie wymienić jednocześnie. Jednak akurat to nie powinno być szczególnie trudne. Co najmniej pół tuzina generałów ma chęć na jego stanowisko, a ze dwóch z nich lepiej się zresztą do tego nadaje.

— Ale czy byliby oni gotowi do być może koniecznej próby sił? — to znowu Krug wydawał się chętnie wyciągać za ministra kasztany z ognia, co prawda szczypcami.

— Jest przynajmniej jeden taki człowiek! — zapewnił Karl Wander. — Chodzi o przywódcę grupy nazywającej się raz tradycjonalistami, innym razem świadomymi narodowo konserwatystami, od czasu do czasu także konkretnymi żołnierzami. Ich przeciwieństwem są rzekomi odnowiciele, beznadziejnie romantyczni teoretycy reform.

— Do których sam pan kiedyś należał — wtrącił słodkim głosem Krug.

Wander spokojnie skinął głową. — Po pewnym czasie zorientowałem się, że zbyt wielu z tych rzekomych reformatorów to nudni nieudacznicy. Ich fałszywa przyzwoitość i bojaźliwość nie pozwala im na doprowadzenie niczego do końca! To nie żadni prawdziwi odnowiciele ani zdeter-

minowani rewolucjoniści, tylko rozmarzeni głupcy. Nie nadają się do niczego, w ten sposób nie powstanie żadna nowa armia! Jedynym rozwiązaniem, które nam pozostaje, jest jak najbardziej radykalny, nowy początek. Dlatego też zgadzam się z przedsięwzięciem panów.

— To nasze przedsięwzięcie! — wtrącił ostrzegawczo Krug.

— Ależ jak najbardziej! Dostarczę jedynie potrzebnej amunicji.

Minister rozparł się wygodnie, zapewne tylko po to, żeby lepiej widzieć swoich rozmówców. Jego przymknięte oczy wyglądały myląco łagodnie. Oszczędnym ruchem ręki pokazał Wanderowi, by mówił dalej.

— Obecny inspektor generalny lawiruje niemrawo i niezdecydowanie pomiędzy obiema grupami. Raz, niby po koleżeńsku, poklepuje pól i cwiereformatorów po ich cherlawych plecach, ale zdecydowanie unika kopnięcia w opasły tyłek sztywnych superkonserwatystów. Można by skutecznie poszczuć na niego obecnie najgroźniejszego buldoga armii federalnej: generała Keilhacke.

— Wyśmienity żołnierz — powiedział ostrożnie Krug. — Specjalista od broni pancерnej z frontowym doświadczeniem, w dodatku ze szkoły Rommla i Guderiana. Odważny człowiek! Brał udział w wydarzeniach 20-go lipca.

— I to jeszcze jak — stwierdził Wander. — Dopomógł wówczas wydać w ręce gestapo przynajmniej trzech swoich kolegów, z wysoce szczytnych pobudek, ma się rozumieć.

— Zostawmy to — zdecydował minister. — To nie ma nic do rzeczy!

— Nie zbijajmy kapitału na tragedii naszego narodu, to byłoby po prostu nie na miejscu — zakończył Krug.

— A więc Keilhacke — rzekł w zamyśleniu minister. — Niezły wybór. Też brałem go pod uwagę, zresztą już od pewnego czasu.

— Ale chyba nie jako nowego inspektora generalnego!

— wykrzyknął ostrzegawczo Wander.

— To niech pan z łaski swojej pozostawi kanclerzowi. O tym w ogóle nie rozmawiamy — spiesźnie wtrącił Krug.

Minister szybkim spojrzeniem zarejestrował niechętną reakcję Wandera. Uśmiechnął się i stwierdził wyrozumiale: — Przydatność generałów nie musi prowadzić od razu do jakichkolwiek ustępstw. Pańskie oczekiwania są pana sprawą, a do nas należą decyzje. Jeżeli czołgicie Keilhac-ke udałoby się rzeczywiście rozjechać obecnego inspektora generalnego, to byłoby nam to na rękę, ale do niczego by nie zobowiązywało.

— Tylko armia nas interesuje — zapewnił również Krug.

— Niech pan myśli tylko o niej, co dla pana przecież jest potrzebą serca.

— Tak to jest, nieprawdaż? — dodał uprzejmie minister ponownie się uśmiechając. — Posłuchajmy, na co pan jeszcze wpadł.

— Inną obiecującą dziedziną jest złożony kompleks zbrojeniowy — kontynuował Wander po krótkiej przerwie. — Z pewnością da się coś zrobić przede wszystkim z praktykowanymi obecnie metodami rozdziału zleceń, tym bardziej z rozrzutnym wręcz finansowaniem konstrukcji doświadczalnych.

— Niezwykle trudny problem — zauważył Krug.

— W grę wchodzi bardzo skomplikowane i nieprzejrzyste powiązania przemysłu obronnego. Do tego, by je przeniknąć, potrzebowalibyśmy całego sztabu naukowców i ekspertów zbrojeniowych, a na tych, przy największej nawet hojności, nie możemy sobie pozwolić.

— To może nie kosztować ani grosza, jeżeli tylko użyjemy odpowiedniego chwytu — odparł Wander. — Koło Monachium istnieje na przykład firma Bólsche, której badania są subwencjonowane bezpośrednio z budżetu ministerstwa obrony w wysokości kilku milionów marek miesięcznie. A gdzie indziej mamy firmę o podobnej wielkości i wydajności, która subwencji nie otrzymuje. Firmy nie obdarzane dotacjami byłyby prawdopodobnie gotowe do dostarczenia wszystkich osiągalnych dla nich planów konkurencji, tylko i wyłącznie w tym celu, żeby udowodnić, iż znowu lekkomyślnie marnotrawi się milionowe sumy pochodzące z podatków.

— A kto wchodziłby w rachubę?

Karl Wander odpowiedział prawie w nabożnym skupieniu: — Firma Morgenrot z Essen.

Minister zastygł niemo w swoim fotelu. Krug gestem policjanta drogowego ostrzegawczo podniósł dłoń.

— Nie spieszy się za nadto! Sądzę, że na dziś wystarczy.

— Całkowicie wystarczy! — powiedział minister i otworzył szeroko swoje zimne i przenikliwie patrzące oczy kierowcy wyścigowego. Patrzył, jakby zobaczył Karla Wan-dera po raz pierwszy...

— Nie! — zawołał zdecydowanie Karl Wander. Uczynił to otworzywszy drzwi swojego mieszkania, przed którymi stała Ewa Morgenrot. — Nie wejdzie pani tu, dopóki ma pani tego swojego brata.

— Jest w Kolonii — powiedziała cicho. — Muszę z panem porozmawiać, proszę.

— Byle nie w moim ani pani mieszkaniu. Najlepiej na środku rynku w Bonn.

— Nie wolno mi opuszczać domu — tak powiedział lekarz. — Prawie jakby nieśmiało uśmiechnęła się. — Właściwie powinnam leżeć w łóżku.

— To leż, dziewczyno, ale beze mnie — spojrzał na nią niezdecydowanie. — Odprowadzę panią do drzwi pani mieszkania.

— Niedobrze mi — stwierdziła Ewa, zataczając się na niego.

Karl Wander niechętnie uchylił drzwi. Ewa przesunęła się koło niego wyraźnie niepewnymi ruchami, nie zapominając jednak uśmiechnąć się znowu, tym razem z wdzięcznością.

— Tylko żeby pani nie przyszło do głowy siadać na moim łóżku — powiedział oschle. — I tak mam przez panią dosyć kłopotów.

Ewa Morgenrot usiadła na jego łóżku. Spojrzała przy tym na niego i powiedziała: — Jaka szkoda, że wcześniej pana nie poznałam.

— Niech pani tego lepiej nie żałuje — odparł, stojąc przed nią. — Przede wszystkim chciałem zauważyć, że

pani nie zapraszałem i przyszła pani sama; nie chciałem pani wpuścić, ale pani nalegała! Czy przynajmniej to jest jasne?

— Niech pan się nie martwi z powodu Martina, naprawdę jest w Kolonii i na razie nie wróci.

— Jest pani najzupełniej pewna?

— Rozmawiałam z nim przed kilkoma minutami.

— Dzwoniła pani do niego, czy on do pani?

— Telefonowałam do niego do Kolonii.

— W takim razie rzeczywiście jesteśmy bezpieczni przez co najmniej kwadrans. Nawet swoim sportowym samochodem pani brat jechałby z Kolonii około trzydziestu minut. A więc: dlaczego pani przyszła?

— Żeby pana zobaczyć, Charlie.

— A więc, już mnie pani zobaczyła.

— Chciałabym pana przeprosić. Jest mi bardzo przykro!

— Z jakiegoż to powodu? Że swojemu kochanemu braciszкови dała pani mój adres?

Ewa zaśmiała się jak dziecko, najwyraźniej chciała się przypochlebić, potem jednak gwałtownie spowaźniała, w każdym razie takie starała się sprawiać wrażenie. Miała teraz smutne oczy małego dziecka. — Pan to musi wiedzieć, nie jestem jego prawdziwą siostrą.

To już wiedział. Zachowywał się raczej jak kochanek.

— Właśnie nim chciałby być. Zostałam adoptowana jesz cze jako niemowlę. Wychowywałam się razem z nim i ni gdy bym sobie nie mogła wyobrazić, że chciałby mnie traktować inaczej niż brat traktuje siostrę. A on ciągle próbo wał, już od lat, a ostatnio coraz natarczywiej. Ale to chyba rodzinne, jego ojciec zachowywał się podobnie.

Karl Wander dopiero teraz usiadł. Przynął się z krzesłem do łóżka i patrzył na Ewę Morgenrot jak na plakat reklamujący szokujący film obyczajowy. — Zauważyłem ostatnio, że ma pani dość bujną wyobraźnię.

— Nie okłamuję pana, Karl albo Charlie, i niczego sobie nie uroiłam. — Chwyciła jego rękę jak koło ratunkowe. — Nie ucieknę przed tym, nie dam sobie rady, jeżeli nikt mi nie pomoże. Pomoże mi pan? Proszę! Do pana mam zaufanie.

— A niechże mi pani da spokój! — zawołał Karl Wander cofając dłoń. — Co mnie obchodzi to pani cholernie skomplikowane życie osobiste!

— Mam nie tylko brata i ojca, jestem również prawie zaręczona, z człowiekiem, który nazywa się Feliks Frost. Czy coś panu mówi to nazwisko?

— Dziewczyno, oszczędź sobie tych wylewności! To szkodzi na trawienie. Pani Ewo, jest pani, patrząc powierzchownie, miłą istotą. Kolorem blond promieniają pani włosy i wnętrze. Niekiedy wzruszająco szuka pani oparcia.

— A więc jednak podobam się panu?

— Nie! Do tego potrzeba czegoś więcej, na przykład szczerości. Możliwe, że mnie pani nie okłamuje, ale za to przemilcza pani mnóstwo rzeczy.

— Nie mogę panu wszystkiego powiedzieć, na razie nie mogę. Ale to pan zrozumie, później, pewnego dnia.

— Oczekuję go wytrwale — powiedział wyzywająco. — Ale cierpliwość nie należy do moich głównych zalet. A gdyby tak mała zaliczka zaufania? Na przykład informacja o pani stosunkach z panią Wassermann-Westen?

— Sabina jest chyba jedynym człowiekiem, któremu naprawdę mogę ufać — zapewniła żywo Ewa Morgenrot. — Zawsze mi pomagała, gdzie tylko mogła, bezinteresownie i wielkodusznie, ona taka jest!

— Albo znowu pani kłamie jak najęta, albo jest pani bezgranicznie naiwna!

— Nie zna pan Sabiny! Inaczej by pan tak nie mówił!

— Jeżeli nie pani, to ona napuściła na mnie Martina. To mogła być tylko jedna z was!

— Na pewno się pan myli!

— A dlaczego jest pani taka pewna?

— Martin jest przekonany, że widział, jak wychodzę w nocy z pańskiego mieszkania — odpowiedziała, unikając jego badawczego spojrzenia.

— Przecież to bzdura!

— Oczywiście! Ale on w to wierzy!

Karlowi Wanderowi zrobiło się nieswojo. Wstał, cofnął się, zatrzymał się na środku pokoju.

— Dziewczyno, co tu jest właściwie grane? — zapytał.

— Czy znowu dostał pan wezwanie? — nadinspektor Kohl patrzył znad swoich akt ociężałe i wyczekująco.

— A może się pan po prostu nudzi?

— Chciałbym z panem porozmawiać, prywatnie.

— Ja nie mam życia prywatnego, panie Wander.

— To wobec tego po zakończeniu służby, jeżeli woli pan takie sformułowanie.

Inspektor zamknął leżące przed nim akta i podniósł się.

— Właśnie zakończyłem służbę — powiedział. Następnie zabrał swój płaszcz przeciwdeszczowy i skierował się w stronę drzwi. Karl Wander szedł za nim nie bez zdziwienia. Inspektor Kohl ogłosił w hallu: — Pracujcie normalnie! Gdybym był potrzebny, znajdziecie mnie u mamuśki Jeschke. — Policjant, do którego skierowane były ostatnie słowa, konfidentycznie wyszczerzył zęby. Następnie grubym kawałkiem kredy dopisał na tablicy służbowej literę „J” obok nazwiska Kohla.

Na zewnątrz inspektor zatrzymał się wietrząc jak pies myśliwski. Potem utulił się płaszczem, ręce włożył głęboko do kieszeni i lekko przygarbiony ruszył. Wander poszedł za nim. Dołączył do Kohla i stwierdził: — To dziwne, że jeszcze pan ze mną rozmawia.

Inspektor zaśmiał się ochryple. — Podejrzewam, że prawnikowo ocenił pan moją ciekawość, to przemawia na pana korzyść.

— A co poza tym?

— Pańska głupota — odparł Kohl. — Być może jest to pewien rodzaj poczucia przyzwoitości, niekiedy trudno jedno od drugiego odróżnić. A teraz mam zamiar, jak co wieczór, wypić jedno piwo, zawsze piję tylko jedno, ale za to duże. Nie jest pan bynajmniej zaproszony. Niech panu też nie przyjdzie na myśl mnie zapraszać. Do tego mają prawo tylko przyjaciele, a obecnie nie mam żadnego, zresztą od dawna.

Przeszli przez rynek i skierowali się w stronę Briider-gasse. W jej pobliżu weszli do małej, kiszkowatej knajpy. Było niewielu gości, siedzieli raczej pojedynczo, przy małych, okrągłych stolikach, których blaty ustawione były na beczkach. Sprawiali wrażenie skoncentrowanych wyłącznie na stojącym przed nimi winie.

Za barem krzątała się potężna kobieta. Miała wesołą, pyzată twarz i basowy głos. Gdy tylko dostrzegła Koma, natychmiast, z niemal ceremonialną starannością, nalała dużą szklankę piwa. Była to mamuška Jeschke.

— Dla mnie to samo — powiedział Karl Wander.

Potem wypili, każdy na swój sposób, potężny policjant powoli smakując, Wander z lekko nerwowym pośpiechem. Opróżnione do połowy szklanki postawili na kontuarze i wpatrywali się w nie jakby w zamyśleniu.

Wreszcie Karl Wander spytał: — Dlaczego zabrał mnie pan tutaj?

— Zaszczycam pana tym piwem — powiedział powoli Kohl. — Pochodzi prosto z Irlandii, z Dublina. Nie każdemu zresztą smakuje.

— Mnie również nie — stwierdził Wander. — Chyba nie znam się na napojach.

— Na ludziach zapewne też — zauważył inspektor.

— Na to wygląda. A dlaczego siada pan ze mną przy jednym stole?

— Na razie tylko stoimy, panie Wander. I to dlatego, że sprawdziłem dokładnie pańskie wyjaśnienia, które składał pan ostatnio w komisariacie. Są najwyraźniej zgodne z prawdą.

— A dlaczego je pan sprawdził? — zapytał Wander. — Z przyzwyczajenia, czy może z nudów?

— Zawód, który wykonuję już przeszło trzydzieści lat, jest potwornie nudny — wyjaśnił inspektor. — To ciągle obcowanie z kryminalistami bardzo szybko staje się nieciekawe, przynajmniej dla ludzi mojego pokroju. Bardzo rzadko trafia się ktoś godny zainteresowania.

— Żałuje pan, że nic nie można mi było zarzucić?

— Być może powinienem, panie Wander. Dla pana byłby to strzał ostrzegawczy prosto przed dziób okrętu. Obawiam się, że pływa pan za blisko obcych wód terytorialnych.

— Być może jestem już w samym środku! Załóżmy nawet, że o tym wiem. Załóżmy dalej, że pan też o tym wie. Dlaczego więc nadal tu stoimy?

— Większość ludzi jest po prostu mało interesująca — powiedział policjant. — Ale pan jest inny. Być może bardziej niebezpieczny. Tylko dla kogo? Ale to się pewnie niedługo okaże.

Karl Wander sączył ciężkie, gęste jak mleko, usypiające irlandzkie piwo, zaczynało mu powoli smakować. Opróżnił swoją szklankę i poprosił mamuszkę Jeschke o następną. Kohl ograniczył się do swojej wieczornej porcji.

— Czy mógłby mi pan załatwić pewne materiały? — zapytał otwarcie Wander.

— Oczywiście, że mógłbym — stwierdził inspektor. — Ale pod pewnym warunkiem.

— A mianowicie?

— Najpierw niech pan powie, czego pan chce.

— Szczegółów na temat Ewy Morgenrot. Wszystko, co się tylko uda znaleźć. Czy to możliwe?

Kohl intensywnie wahał brunatny napój. Następnie powiedział: — Za dwa albo trzy dni zgłoszę się do pana.

— A co w zamian?

— Może mógłby to być rodzaj pośredniej pomocy prawnej, tak to nazwijmy. Również dla mnie istotne są pewne materiały, których nie mogę zdobyć normalną drogą, czyli jako funkcjonariusz policji.

— A kogo zamierza pan rozłożyć na łopatki?

— Doktora Barranskiego — odparł Kohl.

— Bardzo proszę o wybaczenie, panie Wander — powiedział młodzieniec, który wyglądał jak z żurnala, a przedstawił się jako Frost, Feliks Frost. Uśmiechnął się, jakby zalecał się do kobiety. — Chciałbym z panem chwilę porozmawiać.

— Bardzo proszę — odpowiedział Karl Wander i zagłębił się w fotelu.

Spotkali się w hallu hotelu „Excelsior” przy katedrze w Kolonii po krótkiej rozmowie telefonicznej rozpoczętej przez Frosta, na tak zwanym neutralnym gruncie, a mimo to w luksusowym otoczeniu. „Excelsior” uchodził za najlepszy hotel w okolicy. Wydawał się idealnym otoczeniem dla Frosta.

— Jak pan zapewne wie, jestem zaręczony z panną Ewą Morgenrot — rozpoczął Frost niemal serdecznie.

— Czy to od niej dostał pan mój numer telefonu?

— Ależ skąd! — Feliks Frost wydawał się zatroskany, jakby posądzono go o jakąś niedyskrecję. Podniósł jak do przysięgi drobną dłoń. — Ewa i ja mamy do siebie głębokie zaufanie.

— Jeżeli tak jest, to możemy chyba darować sobie to spotkanie — stwierdził Wander.

— Też bym sobie tego życzył! Jednak muszę przyznać, że jestem zaniepokojony!

— Może z powodu Martina? Boi się pan, że ten zadziorny braciszek mógłby się rzucić także na pana? A może już to zrobił?

— Ależ nie! — zaprzeczył prawie z oburzeniem Feliks Frost. — Jesteśmy przyjaciółmi! Nawet bardzo bliskimi!

To zaskakujące wyznanie sprawiło, że Wander na chwilę oniemiał. Potem jednak opanowała go wesołość, której początkowo nie mógł zrozumieć. Aż wyobraził sobie Martina, przyrodniego brata, tuż obok Feliksa, tego „prawie narzeczonego”. A to ci dobrana para!

— On również martwi się o Ewę, co prawda z innych powodów niż ja — wyjaśnił Feliks Frost swoim przekonywającym głosem piosenkarza.

Karl Wander zerknął na lśniący hall. Wyglądało na to, że nikt nie zwraca na nich uwagi. Ludzie siedzieli, przechodzili i stali tam obok siebie. Byli jak wyspy, jak kra na rzece, jak drzewa nie tworzące lasu. Nikt im tu nie przeszkadzał.

— Zdaniem Martina sypiam z jego siostrą, wykorzystuję ją i maltretuję, fizycznie, duchowo i finansowo... czy coś w tym rodzaju. Czy pan też tak uważa?

— Oczywiście, że nie! — zapewnił pośpiesznie Feliks Frost. Uśmiechnął się, jak gdyby pozował do zdjęcia reklamującego pastę do zębów, a jego uśmiech z pewnością gwarantował wzrost sprzedaży. — Poza tym, jestem bardzo wspaniałomyślny, i to, proszę pamiętać, pod każdym względem.... Martwi mnie jednak pewna lekkomyślność Ewy.

— Pod jakim względem?

Feliks Frost złożył dłonie i rozcierał je sobie niemal z czułością. Jednocześnie spytał: — Pan był często z Ewą?

— Razem — nigdy! — Karl Wander wydawał się rozbawiony.

— Znalazłem ją prawie nieprzytomną, a potem rozmawiała ze mną dwa razy.

— Można wiedzieć, o czym?

— No, że wcale nie czuje się szczęśliwa. Pomimo, że ma bardzo bogatą rodzinę, silnego, troskliwego brata i przystojnego narzeczonego.

Feliks Frost zrozumiał to jako komplement, uważał, że na niego zasłużył. Jednak uśmiech zastygł mu w bezruchu, jakby przywdział maskę, kiedy mówił: — Ani Ewa, ani ja nie możemy sobie pozwolić na żaden skandal.

— Obawia się pan, że to ja mógłbym go wywołać?

— Nie jestem bynajmniej człowiekiem ubogim — wyjaśnił Feliks Frost siląc się na obojętność — mogę więc zapłacić za wszystko, co warte jest swojej ceny.

— Uważa pan, że mógłbym panu coś sprzedać?

— Niewykluczone — to zależy od okoliczności.

— Niech mi pan wobec tego coś zaproponuje — zachęcił Frosta Karl Wander. — Niech pan tylko nie zapomni powiedzieć, za co.

Feliks Frost spojrzał w głąb hallu. Z jego smagłej, chłopięcej twarzy ministranta zniknął uśmiech. Prawa ręka dotknęła kołnierzyka śnieżnobiałej, jedwabnej koszuli i zsunęła się po jasnoblękitnym krawacie. Zapytał: — Czy przeszukiwał pan torebkę Ewy? Czy znalazł pan coś i zabrał ze sobą?

— A co dokładnie?

— Jak powiedziałem, cokolwiek. Jakiś papier, dokument. Czy coś takiego znajduje się w pana posiadaniu?

— Nie.

Feliks Frost przymknął na chwilę oczy. Miał długie, gęste rzęsy, wyglądały jak zrobione w gabinecie kosmetycznym, były jednak prawdziwe. — Nie oczekuję, że od razu zdecyduje się pan mi zaufać, panie Wander, tylko że się pan zastanowi. Niech pan spokojnie nad tym pomyśli, byle nie za długo, bardzo proszę. I niech pan stale ma na uwa-

dze, że raczej nikt nie zaproponuje panu więcej. Niech pan to weźmie w rachubę, także w interesie Ewy. W przeciwnym razie może to mieć dla niej fatalne skutki.

— Armia to nie przedszkole — stwierdził generał Keilhacke.
— Żołnierze nie chcą być otaczani troską, chronieni i pielęgnowani, tylko wychowywani, szkoleni i przygotowywani do wykonywania zadań. Ze sprzętem muszą stopić się w jedność!

Generał Keilhacke stał na złomowisku na skraju poligonu. Stamtąd obserwował manewrujące na wrzosowiskach czołgi. Panowie z jego osobistej asysty trzymali się z tyłu, gotowi na każde wezwanie: adiutant, dowódca jednostki i jego adiutant, specjalista do spraw uzbrojenia w randze majora oraz jakiś cywilny technik. Jedynie Wanderowi wolno było stanąć obok generała, co stanowiło wyróżnienie i dowód zaufania.

— Zawsze istnieje tylko jeden cel szkolenia, do którego warto dążyć — wyjaśniał Keilhacke. — Jest to oszacowanie górnej granicy wytrzymałości! W mojej dziedzinie musi to być rzecz zrozumiała sama przez się! — energicznie skinął głową w stronę Wandera. — Niech pan to powie swojemu ministrowi!

Generał Keilhacke był człowiekiem średniego wzrostu, sprawiał jednak wrażenie dużo wyższego. Stawiał zazwyczaj duże kroki i chodził z lekko uniesionym podbródkiem wykonując pełne energii, starannie wymierzone ruchy. Miał przenikliwy wzrok i tubalny, koszarowy głos. Wszystko razem tworzyło skonsolidowaną przywódczą osobowość. — Ta drętwa gadanina o obywatelu w mundurze może się powoli przerodzić w osłabienie potencjału obronnego! — kontynuował. — Jestem oczywiście również zdeklarowanym demokratą, ale moim podstawowym zadaniem jest przygotowanie żołnierzy do wojny!

— Wyszkolenie w razie konieczności obrony — poprawił uprzejmie Wander.

— Co praktycznie oznacza to samo! — Generał Keilhacke nie dawał się zbić z pantałyku, nauczył się jednak, że

niektórych ustępstw nie da się uniknąć. Posługiwanie się nimi uważał za konieczny fortel wojenny.

— Całość jeszcze raz! — energicznie zawołał generał Keilhacke do swej asysty. — Czołgi jeszcze raz na pozycję wyjściową i w tym samym szyku, naprzód! Zwiększyć prędkość, wycisnąć wszystko z maszyn!

Dowódca jednostki zameldował się ostrożnie: — Panie generale, silniki nie zostały jeszcze dostatecznie wypróbowane. Nie wiemy, jakie obciążenie wytrzymują. Wydaje się, że również umieszczenie ostrej amunicji...

— Najwyższy czas się dowiedzieć! — zawołał niecierpliwie Keilhacke. — Choćby się nawet wióry miały posypać! Armia to nie sanatorium! Nasze wojska pancerne to wciąż elita. To zobowiązuje!

Zawiadomione przez radio czołgi cofnęły się, zniknęły w lasu, nadal huczały silnikami. Następnie znów ruszyły naprzód. Zataczając się na zrytym koleinami podłożu zaczęły niezgrabnie podrygiwać i trzęsąc się pędziły do przodu. Generał wydawał się nie zwracać na nie uwagi.

— Zniewieścianość jest śmiertelną trucizną, na którą jesteśmy narażeni — powiedział Keilhacke do Wandera. — Zaczyna się od drobiazgów, na przykład fryzury, kremu do golenia czy tych plakatów dla onanistów dostarczanych przez świńskie magazyny, których lektury nikt, poza mną, wyraźnie nie zabrania. Ale ja nie pozwolę zepsuć moich żołnierzy! Potrzebuję chłopów na schwał, a nie fircyków!

— Opinia publiczna nie była dotąd dostatecznie poinformowana w tej materii.

— Najwyższy czas! — zapewnił generał. — Właśnie pod tym względem nasi politycy mają mnóstwo do nadrobienia. Dotychczas dominowała typowo cywilna ociężałość, niedołęzne oglądanie się na domniemanych sojuszników, krótko mówiąc: brak poczucia przynależności narodowej!

— Niejedno się zmieni — zapewnił Wander.

— Daj Boże! — wykrzyknął niemal uroczyście generał Keilhacke.

— Jest to, zdaniem ministra, kwestia personalna.

Generał skłonił, jakby w geście uniżenia, swoją bulwiastą głowę samym wyglądem sugerującą upartą osobowość.

— Kto wybrał zawód żołnierza, musi kierować się bezinteresownością — powiedział. — Zaprawdę, taki byłem zawsze. Jako młody oficer byłem twórcą dość znaczącej części strategicznej koncepcji Guderiana — kontynuował po pełnej skupienia przerwie — i z serca cieszyłem się z jego sukcesów. Moje koncepcje mają również swój skromny udział w bitwach stoczonych przez Rommla w Afryce, mimo że nie zawsze były właściwie doceniane. To właśnie, mój drogi, jest wierna służba ojczyźnie, która nigdy nie ogląda się na pochwały i zaszczyty. Zasługiwałaby jednak chyba na jakieś, choćby i spóźnione, uznanie.

Czołgi z potężną siłą pokonywały teren. Silniki wyły jak setki bitych psów. Asysta generała wpatrywała się jak urzeczona w ponury krajobraz. Napełniony nową nadzieją generał zwrócił się znowu w stronę Wandera.

Ten odparł: — Jestem tutaj w zasadzie kimś w rodzaju koordynatora, osoby kontaktowej czy też, jak pan woli, doradcy publicystycznego. Wiem też, że pan minister pokłada w panu pewne nadzieje. Moim zdaniem są one całkowicie uzasadnione.

— Jeszcze nikogo nie zawiodłem — zapewnił generał Keilhacke. — Jeżeli ktoś mi zaufał, nigdy nie musiał tego żałować. — Rzucił szybkie spojrzenie w stronę zataczających się i podrygujących czołgów. — Pełne obroty! — rozkazał. — Najwyższa moc!

— Należy używać wreszcie całkowicie jasnego, zrozumiałego języka — wyjaśnił Karl Wander zgodnie ze swoim zadaniem. — Należałoby w końcu wyraźnie powiedzieć, że nasza armia nie jest ani filią Amerykanów, ani lekkomyślnie utworzonym oddziałem europejskich najemników, nie jest także wyzwaniem dla Sowietów. Jest natomiast wartością samą w sobie!

— Od lat reprezentowałem te poglądy — stwierdził generał Keilhacke. — Nikt mnie jednak nie słuchał.

— Teraz będzie inaczej. W najbliższych dniach zjawi się u pana ekipa telewizyjna, żeby nakręcić materiał o panu i pańskiej broni pancerniej. Pewna gazeta o dużym nakładzie żywo interesuje się szczegółami z pańskiego życia osobistego. Podobno nawet znany magazyn informacyjny

chce zamieścić efektowny wywiad z panem. A do tego dochodzi jeszcze projekt pewnego dużego niemieckiego tygodnika, który chce opublikować pańską opinię na temat Związku Radzieckiego.

— Jest ona jednoznaczna! — wykrzyknął Keilhacke.

— O ile wiem, potwierdził ją pan praktycznym działaniem — zauważył Wander. — W czasie kampanii rosyjskiej, jako dowódca pułku czołgów, został pan odznaczony krzyżem kawalerskim.

— Później dostałem jeszcze liść dębowy — dodał pogrążony we wspomnieniach generał — za ofensywę w Arde-nach przeciwko Amerykanom. Doświadczenia wojenne są dla żołnierza oczywistym kapitałem, który powinien wysoko procentować. Niech mi pan wierzy, Amerykanie dobrze wiedzą, że będziemy im niezbędni do ostatecznej rozprawy z Sowietami. Ale nie musimy dawać się wykorzystywać, na co nam to jest potrzebne?

— Obecny inspektor generalny najwyraźniej nie jest tego samego zdania i zapewne nie da się do niego przekonać — stwierdził na to Wander.

— Jego niewydarzone teorie są godne pożałowania. — Keilhacke uznał za wskazane ukazać się teraz jako rozważny, ale zdecydowany taktik. — Inspektor generalny jest z pewnością dobrym kolegą, zawsze nim był, jednak ciągle dziwnie skłonny do kompromisów, które obecnie są zupełnie nie na miejscu. W niebezpieczny sposób!

— Czy wystąpi pan przeciwko tym teoriom?

Generał Keilhacke wydawał się chwilowo nieobecny. Przez lornetkę obserwował teren, jednak nie czołgi, tylko wóz łączności stojący koło kępy krzewów. Obserwował radiotelegrafistę. — Ten facet źre! — wykrzyknął generał z nie skrywaną radością. — Źre na służbie! Na moich oczach! — Następnie zwrócił się do dowódcy jednostki: — Natychmiast zdjąć ze służby tego żarłoka! Niech pan rozpocznie postępowanie dyscyplinarne, w ciągu 24 godzin meldunek o wykonaniu.

— Tak jest! — odpowiedział automatycznie dowódca jednostki. Wander wiedział ze sprawozdań, że oto był świadkiem ulubionego zajęcia generała, który miał w zwyczaju

przy każdej okazji troszczyć się o dyscyplinę i porządek. Czynił to w sposób nadający sprawie rozgłos. Należało to do jego osobistego stylu.

Keilhacke, jak gdyby nigdy nic, kontynuował rozmowę z Wanderem. — Wobec tego dam ognia ze wszystkich dział. Poinformuję o tym osobiście pańskiego ministra, tym bardziej, że zamierzam poprosić go o podanie konkretnych celów. A pana, w każdym razie, akceptuję jako łącznika.

Generał Keilhacke zamyślony spojrzął na teren ćwiczeń. Tam jednak jeden z pędzących czołgów zamienił się w jas-krawożółty grzyb ognia. Ekspłodował! Rozpadł się jak łupina orzecha, uderzona młotem, rozjarzył się krwawoczer-wonym ogniem, potem zadymił gęstym, śmierdzącym obłokiem. Pozostała po nim płonąca kupa złomu.

— Co to za bezczelne łajdactwo! — ryknął generał do dowódcy jednostki. — Niech pan natychmiast poleci przeprowadzenie szczegółowego dochodzenia. Sprawdzić dokładnie, czy przestrzegano wszystkich przepisów bezpieczeństwa!

— Tak jest! — odpowiedział dowódca.

Następnie generał zwrócił się do Karla Wandera: — No śam pan widzi! To są właśnie ofiary, które musimy ponosić. Ale chcemy wreszcie wiedzieć, w imię czego!

Raport człowieka zwanego Jerome

— część czwarta

0 kuszeniu i uwodzeniu przez ducha wiecznej kobiecości, czyli o najbardziej oczywistej rzeczy tego świata. ; .

Fatalna w tej sprawie była niemal fantastyczna nieświadomość owego Karla Wandera, co jednak wyszło na jaw dopiero w późniejszym czasie. W gruncie rzeczy był on typowym, niemieckim młodzieńcem: chciał tylko wierzyć.

I wierzył w oczywiste poczucie obowiązku niemieckich elit rządzących, w dobro, szlachetność i przyzwoitość, która

miała zwyciężyć. Myślał, że trzeba tylko temu możliwie najintensywniej pomagać.

Jednocześnie ów Wander wykształcił w sobie pewien sceptycyzm, pewną zdrową nieufność, rodzaj użytecznego poczucia rzeczywistości. Nie zapomniał mianowicie o swoich doświadczeniach wyniesionych ze służby wojskowej.

Nie był jednak w stanie pokonać decydującej przeszkody, przy której w pewnym sensie skrzył sobie kark. Nawet jego powalił w końcu niemiecki mit wielkiego narodu, ten zapewne niezniszczalny kompleks wyższości. Wystarczyła tu wyrachowana, prawie intymna demonstracja zaufania jakiegoś ministra.

Feldmann rozwinął się, w sposób nader ostrożny, w świadomego celu taktyka władzy. Było to jego pierwsze większe, widoczne przedsięwzięcie po latach intensywnych przygotowań. To, że przy okazji inni także zechcą zarobić, przewidział wcześniej. Nawet Wander nie był w stanie mu przeszkodzić. Świadczy o tym relacja, która dostała się w moje ręce.

Dostarczył ją niejaki Konrad Kalinkę, kelner z hotelu „Rheinhof” w Bonn. Obsługiwał Feldmanna w czasie decydującej rozmowy z Karlem Wanderem w obecności Konstantina Kruga i udało mu się przy tym podsłuchać końcową wypowiedź ministra. Brzmiała ona: „Ten człowiek (czyli Wander) jest ze wszechmiar użyteczny, musimy tylko bardzo na niego uważać. Mam nadzieję, że nie zaangażowaliśmy sobie od razu potencjalnego grabarza”.

To wręcz dalekowzroczne stwierdzenie świadczy o szczególnych zdolnościach Feldmanna, podobnie jak odpowiedź, którą otrzymał, jest dowodem niezwykłych umiejętności manipulacyjnych Konstantina Kruga. Oświadczył on: „Pod tym względem zabezpieczyłem nas chyba trwale i skutecznie. Wander nie może zaryzykować podniesienia wielkiego szumu, bo byłby załatwiony raz na zawsze”.

To stwierdzenie powinno mnie już wcześniej zastanowić. Wtedy jednak nie znałem dostatecznie dobrze Konstantina Kruga ani jego metod. Koncentrowałem się raczej na ministrze i jego ewentualnych słabościach, a te ma akurat każdy. Do nich należała także baronowa von Wassermann--Westen, jak się później okazało, nie tylko ona.

Muszę przyznać, że ta pani wydawała mi się przez dłuższy czas nieobliczalna i nie do przeniknięcia, nic nie można jej było dowieść. Damy angażujące się w naszym rzemiośle zawsze nasuwają wiele wątpliwości. Była zapewne swoim własnym zleceniodawcą. Sądziła chyba, że z łatwością pogodzi interesy własne, swojej ojczyzny i swojej firmy. Diabli wiedzą, który z tych motywów był najważniejszy. Zapewne, tak czy owak, interesowała się przede wszystkim tym, co poniżej pasa.

Ale to jeszcze nie wszystko. Chęć przeniknięcia czyichś zamiarów może zawsze stać się przygodą. Od czasu do czasu ja sam daję się skusić.

***Śmieerć jest nieobliczalna — nawet
jeżeli
wciąż na nowo próbujemy
wystawiać jej rachunki***

A więc zna pan moją córkę Ewę — stwierdził dyrektor Morgenrot, zacierając ręce jak na mrozie.

— Czy zna pan ją bliżej?

— Spotkałem ją tylko parę razy — odparł Karl Wander.

— Mieszkamy, zapewne tymczasowo, w tym samym domu.

— Czy przyszedł pan z jej powodu?

— Nie bezpośrednio.

— Może wydaje się panu, że wie pan coś o niej?

— Mnóstwo rzeczy — stwierdził lekko rozbawiony Karl Wander — jednak nic, co by wystarczyło na jakiś rodzaj szantażu, czego się pan zapewne obawia. Tu muszę pana uspokoić. Jestem jedynie tym człowiekiem, którego panu wczoraj zapowiedział pan Krug, względnie jego bońskie biuro.

— Dlaczego pan od razu tak nie mówi! — roześmiał się z wyraźną ulgą Morgenrot. — Niech się pan rozgości, proszę siadać. Czego się pan napije?

Dyrektor Morgenrot był niski i kościsty, poruszał się jednak z szybkością i niemal akrobatyczną zręcznością małpy. Prawie bez przerwy kursował po pokoju* pomiędzy biurkiem i szafą, oknem i stołem. Tylko mówiąc zatrzymywał się. Składał wtedy dłonie i pochylał łysą głowę, jak gdyby nasłuchiwał sam siebie. Jego bursztynowe oczy promieniały łagodnym ciepłem.

— Pańska córka to ładne stworzenie — powiedział Wander.

— Był pan z nią w łóżku? — spytał Morgenrot i rozkoszo-

wał się wywołaną konsternacją. — Chyba jeszcze nie. W łóżku bardzo rozczarowuje.

— Skąd pan to wie tak dokładnie? — zapytał instynktownie Karl Wander.

Morgenrot zatrzymał się gwałtownie, jakby wpadł na szybę. Przez dwie sekundy pozostał bez ruchu nic nie mówiąc. Potem zaśmiał się i powiedział: — Zawsze dużo się wie o swoich dzieciach, jeżeli się człowiek postara.

— Postara, w jakim sensie?

Dyrektor wydawał się być w świetnym nastroju. — Powinien się pan przespać z Ewą — stwierdził bez skrępowania. — Mógłby się pan związać z nią na dłużej. Nie miałbym nawet nic przeciwko temu, żeby wesprzeć to finansowo. Kogoś takiego jak pan moja córka chyba gwałtownie potrzebuje. Kogoś, kto nie tylko zaspokoi ją seksualnie, ale również przemówi jej do rozumu, bo inaczej robi głupstwa, za które ja sam nie jestem w stanie zapłacić.

— Jednak zdaniem pańskiego syna Ewa powinna stawić dla mnie tabu, ostatnio usiłował mnie o tym w dość bolesny sposób przekonać.

Morgenrot dostał ataku gwałtownej wesołości. — Ten łobuz jest ciągle jeszcze w cielejącym wieku, w dodatku seksualnie kompletnie wykolejony, uganiania się za własną siostrą. Zresztą zaczynał już jako dziecko, ale wtedy było to tylko komiczne. Przez pewien czas był z tym spokój, ale ostatnio, szczególnie od paru miesięcy, znowu zachowuje się jak wariat. Od czasu do czasu wydaje mi się, że chłopak tylko się popisuje. A potem znowu sobie myślę: jak tak dalej pójdzie, to wkrótce będzie się musiał leczyć.

— Nie ma pan chyba zbyt dużo pociechy ze swoich dzieci — stwierdził Wander.

— Ależ mam, bardzo dużo nawet! Ale tylko w moim rozumieniu, one to zresztą wiedzą. — Morgenrot coraz szybciej zacierał ręce, a potem klasnął. — Tak to bywa w takich wypadkach: Moja żona zmarła wcześniej, tuż po urodzeniu chłopca, a ja ponownie się ożeniłem, wżeniłem się w moje fabryki. Zarabiałem miliony, a dzieci dziczały. Czy mam teraz płakać z tego powodu?

— No, tak całkiem zdziaczała, jak pan mówi, to Ewa znowu nie jest.

— Nie? Na pewno nie? Czyżby był pan o tym całkowicie przekonany? Mam nadzieję, że nie. Żałowałbym, gdyby Krug przysłał mi tutaj kompletnego idiotę. Ale tego właśnie się po nim nie spodziewam. Przejdźmy więc do rzeczy.

Dyrektor Morgenrot popędził za biurko i usiadł na swoim krześle. Następnie łagodnym, niemal pieszczotliwym ruchem odsunął na bok fotografię w srebrnej ramce. Wyraźnie zależało mu na tym, żeby móc dokładnie obserwować Wandera.

Ten zerknął na ciężkie, ciemne, zużyte meble, potem na grube, wypłowiałe zasłony, następnie na wydeptany dywan. Nic tu do siebie nie pasowało, nic nie sprawiało wrażenia drogiego, wręcz przeciwnie, niektóre przedmioty wydawały się tanie. Wnętrze pasujące do prowincjonalnego konowala, a nie do znanego i bogatego przemysłowca.

— Pan Krug w rozmowie telefonicznej zapewne nadmienił panu, o co chodzi — rozpoczął ostrożnie Wander.

— Ale tylko i wyłącznie nadmienił — zapewnił Morgenrot. — To sprytny chłop. Wcześniej zajmował się handlem bydłem, ale polityka to w końcu podobne zajęcie. Może się myłę? Może wolno panu mnie oświecić.

Karl Wander zorientował się, że dyplomatyczne podchody nie miałyby sensu, byłyby stratą czasu. Dlatego powiedział: — Zależałoby nam na pewnych danych, materiałach dotyczących produkcji broni, planowania i finansowania.

— U mnie jest to tajemnicą firmy.

— Nie chodziło nam o pańskie zakłady, tylko o jakąś inną firmę, na przykład Bólsche koło Monachium.

Stary Morgenrot popatrzył niemal uszczęśliwiony. — Czy to ma znaczyć, że oczekujecie państwo ode mnie czegoś w rodzaju szpiegostwa przemysłowego?

— Pan Krug nie lubi takich sformułowań, zapewne powiedziałby: użytecznej opinii fachowej, na podstawie dokładnych danych.

— Użytecznej dla kogo? Dla ministra Feldmanna?

— Dlaczego pan pyta? Zapewne wie pan dokładnie, co tu ma być grane.

— Jest dla mnie ważne, żeby to, co wiem, zostało potwierdzone — odparł Morgenrot. — To, co ma się opłacać, musi zostać dokładnie przygotowane. — Zerwał się z krzesła i znowu zaczął rozglądać się jak małpa co chwilę się zatrzymując. — Nie będzie to na pewno tanie. Będę musiał mnóstwo zainwestować: zakupy, werbowanie informatorów, wywiad, i co tam jeszcze będzie trzeba.

— Dobrze pan to ujął — stwierdził Wander. — Przede wszystkim: chodzi tu o działania, które mogłyby podwoić lub nawet potroić ilość zleceń dla pana, a tym samym pański czysty zysk.

Morgenrot stanął przy drzwiach. — Może pan powiedzieć swoim zleceniodawcom, co następuje: W zasadzie tak, niezależnie od wielkości zadania. Jednak zależy mi na pewnych gwarancjach, również na bezpośrednim, osobistym potwierdzeniu przez pana ministra. Dlatego dam panu, niejako na przynętę, kilka konkretnych informacji dla Feldmanna. Niech pan zaczeka!

Morgenrot znikł. Karl Wander nadal siedział naprzeciwko biurka, lekko zgięty, jakby miał bóle żołądka. Jego wzrok padł przy tym na srebrną ramkę, którą Morgenrot przedtem tak starannie odsunął na bok. Sięgnął po nią i spojrział na zdjęcie.

Przedstawiało Sabinę von Wassermann-Westen.

Karl Wander zaparkował swój wypożyczony samochód w bocznej uliczce. Dopiero potem zbliżył się do domu, w którym mieszkał. Spojrzał badawczo na okna na trzecim piętrze. W mieszkaniu 304 paliło się światło, zarówno w sypialni jak i w salonie, tak więc Ewa Morgenrot była w domu. Prawie ociągając się podszedł do drzwi.

Z cienia drzewa wysunęła się potężna postać, pomimo słabego, nocnego oświetlenia Peter Sandman był łatwy do rozpoznania. — Jak to mówią, przypadkowo tędy przechodziłem — odpowiednio krótko zaśmiał się ze swojego marnego dowcipu. — I pomyślałem sobie, że może zobaczę, jak się panu tu mieszka.

— Bardzo elegancko, a poza tym za darmo — zapewnił Karl Wander otwierając drzwi. — W przeciwnym razie nigdy nie mógłbym sobie pozwolić na taki luksus, tym bardziej, że odkładam już na starość.

— Powinien się pan raczej ubezpieczyć na życie — stwierdził Sandman.

Weszli do mieszkania. Wander zapalił wszystkie możliwe lampy. Sandman gwizdnął z uznaniem. Potem z instynktem psa myśliwskiego zorientował się, gdzie mogą być napoje, pół tuzina butelek, dobrze dobrane, standardowe marki: francuski koniak, szkocka whisky, angielski gin; do tego calvados i wiśniówka.

— Wszystko wchodzi w skład wyposażenia — stwierdził z zapraszającym gestem Wander. — Trafiłem na bardzo gościnnego gospodarza.

— Zapewne raczej na takiego, który potrafi kalkulować — Sandman wybrał calvados. — Ten piękny dom, po dobnie zresztą jak jeszcze jeden, jest administrowany przez agencję podlegającą pewnej firmie budowlanej, która z kolei należy do pewnego przedsiębiorstwa ka pitałowego. Współwłaścicielem tegoż przedsiębiorstwa jest niejaki Konstantin Krug. Czy spotkał się pan już z tym nazwiskiem?

— Czy to ostatni dowcip?

— Jeszcze co najmniej jeden — zapewnił Sandman.

— No to niech go pan zachowa dla siebie — odparł Karl Wander. — Nie ma pan nic lepszego do roboty niż takie intensywne zajmowanie się moimi sprawami?

— W tej chwili nie — powiedział Sandman wachając swój calvados. — Zresztą sam pan jest sobie winny, wiem, w co się pan wpakował.

— Ale, o ile pana rozumiem, nie chce pan na razie wykorzystać swoich wiadomości.

— Dobrze mnie pan zrozumiał — stwierdził Sandman.

— Kiedy chcę, mogę sobie pozwolić na wspaniałomyślność, szczególnie wobec przyjaciół.

— Jeżeli jest pan rzeczywiście moim przyjacielem, mister Sandman, byłoby lepiej, gdyby pozwolił mi pan w spokoju robić to, czym muszę się zajmować.

— Wydaje mi się, że pana znam, Karl, i napawa mnie to nie tylko optymizmem, ale i ciekawością.

— Tak więc łatwo się pana nie pozbędę?

— Naprawdę pan tego chce? Nie jest pan przecież typem, który najchętniej samotnie z rozwiniętym sztandarem idzie na dno! Ma pan na to za dużo rozumu.

— No dobra, gdyby miał się pan mylić, to w końcu pana sprawa, Peter. Co mi pan więc oferuje? — zapytał trzeźwo Wander.

— Świetnego szantażystę! Będzie chyba doskonale pasować do pana obecnej koncepcji.

— Skąd u pana takie znajomości?

— Został mi zaproponowany przez jednego ze współpracowników obecnego pełnomocnika do spraw obrony. Karl, niech pan nie patrzy na mnie z takim zaskoczeniem, to się dość często zdarza. Chętnie nazywa się to pomocą w dostarczaniu mocnych argumentów, użyteczni bywają dziennikarze, zwłaszcza wpływowi. Ambitny podwładny, dążący do szybkiego awansu, osiąga go w niektórych wypadkach najpewniej poprzez usunięcie swojego przełożonego. Niech pan nie udaje, że akurat panu nic o tym nie wiadomo.

— Peter, wie pan doskonale, dlaczego nie zachwycają mnie pana wynurzenia. Nie podoba mi się fakt, że wydaje się panu, iż wie pan dokładnie, czym się tutaj zajmuję.

— Mnie się nie wydaje, ja wiem. Kiedyś przy okazji powiem panu, dlaczego. Na razie niech się pan zajmie kąskiem, który panu teraz zaserwuję. Do biura pełnomocnika wpłynął list od pewnego żołnierza z okolic Koblencki. Stawia on pewne żądania, jak mi powiedziano, dość bezczelnie. A nawet z pewną wyraźną pogroźką. Gdyby jego sugestie, jak je nazywa, nie padły na podatny grunt, mógłby się poczuć zmuszony zrobić użytek ze swojej wiedzy na temat pewnych przykrych wydarzeń. Ma tu zapewne na myśli samego pełnomocnika.

Karl Wander udał nieufność, co, jak zauważył, jedynie rozweseliło Sandmana. — A cóż zamierza z tym począć ten współpracownik pełnomocnika?

— Na razie zapewne to, co zazwyczaj czynią władze ad-

ministracyjne. Zaszereguje tę sprawę w celu rutynowego zbadania. Trwałoby to trzy do czterech dni, tyle więc ma pan czasu.

— Na co?

— Żeby zabezpieczyć sobie tę bombę zegarową! Mógłby pan wtedy sam określić, kiedy ma wybuchnąć albo też nie wybuchnąć. W zależności od tego, co będzie dla pana korzystne.

— Od kogo otrzymam adres owego domniemanego dostawcy materiału wybuchowego? Od tego tak zwanego współpracownika?

— Oczywiście, że nie od niego. Co pan sobie myśli! W praktyce wygląda to na ogół zupełnie inaczej. Ów pan, powiedzmy, że w randze starszego radcy stanu zaprosił mnie tylko na pogawędkę. Opowiadał przy tym o niektórych sprawach, które piętrzyły się przed nim, nazywając je kuriozalnymi. Między innymi o tej, do której, jak twierdził mrugając porozumiewawczo, nie bardzo wiedział, jak się zabrać. Była dla niego, jak twierdził, zbyt absurdalna.

— Rozumiem, w ten sposób pośrednio pana poinformował.

— A jednocześnie zabezpieczył się. W każdym razie musiał wkrótce potem udać się na stronę. Zostawił otwartą teczkę z aktami w zasięgu mojej ręki. Oto adres, którego pan potrzebuje.

Karl Wander otworzył drzwi prowadzące na balkon swojego apartamentu, nie większego niż kosz na bieliznę. Wyszedł na zewnątrz i spojrzął na Koblenzer Strasse wyglądającą jak wąwóz usiany światłami. Przepaść nieba nad ulicą ziała ciemnością. Była północ.

Tym wąwozem przemieszczał się Sandman. Odwrócił głowę w stronę Wandera, jasna, rozmyta plama, okrągła jak księżyc. A potem jakby znikł. Połknęła go noc.

Wander uśmiechnął się w jego stronę, podniósł dłoń jak do pozdrowienia. Sam się zdziwił tym niezwykłym dla siebie, zupełnie tu zbędnym gestem. Zauważył, że odczuwał

w stosunku do Sandmana przyjacielskie uczucia, rodzaj luksusu, na który, jak sądził, nie może sobie pozwolić. Był w końcu zatrudniony jako rodzaj psa myśliwskiego.

Nasłuchując wychylił się, spojrział w górę, w stronę pokoiów apartamentu 304. Były ciągle oświetlone jak przed dwiema godzinami. Jednak, na co Wander zwrócił uwagę, okna nie były zasłonięte. Widział szeroki pas wytapetowanej na purpurowoczerwono ściany. — Ewa! — krzyknął w górę, lekko tylko ścisząc głos. Był pewny, że go usłyszy. Ale nie usłyszała. Nawet gdy zawołał jeszcze raz. Głośniej.

Wander wrócił do pokoju, nie zamykając drzwi balkonowych. Sięgnął po podłużną kartę, leżącą koło telefonu. Zawierała numery wszystkich aparatów w budynku. Znalazł numer apartamentu 304, wykręcił i czekał. Słyszał jednostajny sygnał, który był jakby coraz mocniejszy, coraz dłuższy, coraz wyższy. Poza tym nie działo się nic.

Karl Wander jeszcze raz wybrał numer, znów na próżno. Potem położył słuchawkę na widelki i wyszedł z mieszkania. Wbiegł na górę schodami, które jak potężny wąż oplatały szyb windy. Zatrzymał się przed drzwiami apartamentu 304. Kilka sekund nasłuchiwał, a następnie zadzwonił.

— Ewa! — zawołał po chwili. Dzwonił i pukał jednocześnie. Następnie nasłuchiwał i wydawało mu się, że słyszy stłumiony jęk czy tylko oddech. Mógł to być również nocny wiatr wiejący przez otwarte okno. Ale nie był to wiatr.

Karl Wander przyklęknął, żeby spojrzeć przez dziurkę od klucza. Klucz był włożony od wewnątrz. Zapukał znowu do drzwi, tym razem pięścią. Nie czekał już na reakcję, pobiegł do windy, wcisnął przycisk i zjechał na dół, aż do sutereny.

Tutaj zadzwonił i krzycząc wyrwał dozorcę z łóżka. — Niech pan natychmiast idzie! Szybko! Musimy otworzyć drzwi do 304!

Dozorca ziewnął na jego widok. Jego tłusta twarz chomika zwisała leniwie nad szlafrokiem w brązowo-czarne pasy.

- Co pan sobie wyobraża! — zaburczał do Wandera*
- Co pana obchodzi obce mieszkania?
- Niech pan tyle nie gada! — zawołał ostro Wander.
- Pod 304 coś się musiało stać.
- A niby co? Niby co? Różne rzeczy się tu dzieją, ale to nie moja sprawa. A poza tym 304 jest własnością baronowej, która jest w Kolonii. Zanim cokolwiek zrobię, muszę do niej zadzwonić, tak poleciła.
- Albo natychmiast weźmie pan zapasowy klucz, albo wyważę drzwi!
- No dobra! — zamruczał chomikowaty dozorca. — Na pana odpowiedzialność! O czymś takim muszę natychmiast zameldować w administracji!
- Karl Wander popędził do windy i przytrzymał drzwi, aż pojawił się dozorca. Potem razem pojechali na górę. Przed drzwiami mieszkania 304 człowiek w szlafroku stanął w rozkroku, zaczął manipulować zapasowym kluczem i udrożnił dziurkę.
- To się nazywa zręczność — stwierdził z samozadowoleniem. Następnie otworzył drzwi.
- Wander odsunął go na bok i wpadł do mieszkania, gdzie paliły się wszystkie lampy. W sypialni zobaczył Ewę Morgenrot. Leżała blada, złana potem i ciężko oddychała. Szeroko otwarte, żółtawo zabarwione oczy spoglądały w próżnię, ręce zaciskała na klatce piersiowej.
- A ta co znowu! — zawołał człowiek o twarzy chomika.
- Tylko kłopoty z tą osobą!

Karl Wander drżącymi rękami szukał w portfelu kartki, na której notował nazwiska i numery. Znalazłszy ją podszedł do telefonu, podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Odezwał się rzeczowy męski głos:

— Słucham. Tu szpital, ostry dyżur.

— Proszę z doktorem Bergnerem.

Znaleziono go po niecałej minucie, jego głos był zaspany. Karl Wander podał swoje nazwisko i spytał z pośpiechem: — Pamięta mnie pan jeszcze?

— Niestety tak — stwierdził lekarz i zamilkł.

— Jestem w pokoju Ewy Morgenrot. Leży rzużąc w łóźku. Na stoliku leży puste opakowanie, zapewne po śródkach nasennych.

— Potrafi pan udzielić pierwszej pomocy?

— Tak, zwykle czynności przy objawach zatrucia, zrobię, co potrafię!

— W międzyczasie wyślę karetkę.

— Dlaczego sam pan nie przyjedzie? — spytał Wander.

— Raczej nie pragnę znowu pana oglądać. Poza tym mam dzisiaj w nocy tylko zwykły dyżur. W pogotowiu ratunkowym jest na szczęście inny lekarz.

— Czy może się pan zamienić?

— A niby dlaczego?

— Niech pan da spokój! — krzyknął Wander. — Niech pan przyjedzie, potrzebuję pana!

Doktor Bergner odchrząknął i spytał: — Czy ma pan z tym coś wspólnego? To znaczy: czy istnieje jakakolwiek możliwość obarczenia pana odpowiedzialnością?

— Bezpośrednio chyba nie — powiedział ostrożnie Wander. — Ale może pośrednio. Nie nęci to pana?

— Przyjeżdżam — stwierdził doktor Bergner i odłożył słuchawkę.

Karetka przyjechała za jakieś piętnaście minut. Karl Wander czekał przy drzwiach wejściowych. Zobaczył wysiadającego doktora Bergnera.

Lekarz kazał sanitariuszom pozostać i czekać na wezwanie. Potem podszedł do Wandera i spytał oficjalnym tonem:

— Czy to pan wzywał pogotowie?

Wander odpowiedział, tak żeby sanitariusze mogli usłyszeć: — Wydawało mi się to konieczne.

Tak zakończyła się scenka, której odegranie ze względu na przepisy było niezbędne.

Bergner dał się zawieźć w towarzystwie Wandera na trzecie piętro. Zapytał przy tym: — Czy jest pan pewien, że telefon właśnie do mnie nie był błędem?

— Nie był, jeżeli choć częściowo jest pan takim leka rzem, za jakiego pana uważam, mimo wszystko.

— Po panu raogę się spodziewać, że podkłada mi pan kukulcze jajo, które mam wysiedzieć.

— Obaj cierpimy na tę samą chorobę. Podłość powoduje u nas odruch wymiotny — stwierdził Wander otwierając drzwi windy.
— Tylko wytrzymujemy to jakoś.

— A więc dobrze — zdecydował się doktor Bergner. Podeszedł do cicho charczącej Ewy Morgenrot i schylił się nad nią.

— Nadszedł czas — powiedział stojący przy oknie Karl Wander. Wpatrywał się w szaroniebieską teraz przestrzeń ulicy, przez którą przemykała się dogorywająca noc. Stalowiebieski cadillac zatrzymał się przed domem. — Mamy gościa, to doktor Barranski.

Doktor Bergner, który badał okolice serca Ewy, znieruchomiał; spojrzął na Wandera oskarżająco i jednocześnie pogardliwie. — A więc jednak! — stwierdził. — Udało się panu ściągnąć tutaj tego typu. Powinienem się tego spodziewać.

— Pan się myli, doktorze.

— Jeżeli nie pan, to kto?

— Zapewne dozorca. Zawiadomił swoją baronową, a ta natychmiast zaalarmowała doktora Barranskiego. Mogłem się tego wprawdzie spodziewać, ale nie miałem całkowitej pewności. Teraz znowu wiem trochę więcej.

— I wydaje się panu, że ja mam teraz nadstawiać karku?

— Powiedzmy raczej: Będzie pan miał teraz możliwość zachować się jak prawdziwy lekarz. Tego przecież pan chciał, o ile dobrze zrozumiałem.

Doktor Bergner opuścił głowę i spoglądał na bezwładnie leżącą Ewę Morgenrot z wyrazem bezradnego smutku na twarzy. Potem powiedział: — Od naszego pierwszego spotkania czułem, że należy pan do ludzi, którzy usiłują igrzać z ogniem, a kim się pan przy tym posługuje, jest panu wszystko jedno.

Doktor Barranski wszedł do pokoju. Silne oświetlenie wyraźnie go zaskoczyło. Wyglądał, jakby dopiero co wyszedł z odświeżającej kąpieli. Wokół niego unosił się

dyskretny zapach. Był w ciemnogrnatowym, stonowanym garniturze, idealnie pasującym do koloru cadillaca.

Przywitał się w pośpiechu, wyglądało to tak, jakby Wandera prawie nie zauważył, a doktora Bergnera ledwie zarejestrował. Podszedł do Ewy Morgenrot, schylił się, zbadał puls, osłuchał serce. Potem stwierdził: — Niedobrze, bardzo niedobrze.

Dopiero teraz zainteresował się doktorem Bergnerem.

— Jak się pan tu znalazł?

— Otrzymaliśmy zawiadomienie o wypadku — wyjaśnił Bergner z chłodną rzeczowością. — Musieliśmy zareagować.

— A pańska diagnoza, panie kolego?

— Silne objawy zatrucia — oznajmił doktor Bergner bardziej w stronę Wandera. — Zapewne wywołane przedawkowaniem środków nasennych.

— A więc próba samobójstwa — stwierdził doktor Barranski. Na jego opalanej górskim powietrzem twarzy ukazał się wyraz przygnębienia. — Czy sporządził pan już pisemne sprawozdanie?

— Do tego nie ma jeszcze warunków — zaproponował doktor Bergner. — Jest to dopiero wstępna diagnoza postawiona z dużą dozą ostrożności. Nie musi być właściwa.

— Ale jest właściwa — powiedział Barranski.

— Skąd ta pewność? — spytał Karl Wander wysuwając się do przodu. — Tak to pasuje do pana koncepcji?

— Chciałbym pana uprzejmie prosić o niewtrącanie się

— zażądał doktor Barranski z chłodną uprzejmością.

— Mogłoby to doprowadzić do nieprzyjemnych nieporozumień, nieprzyjemnych dla pana, panie Wander.

— A dlaczego tylko dla mnie? — zapytał zaczepnie Wander. — Dlaczego nie dla pana albo dla Sabiny Wassermann, która pana wezwała? Z jakiego to powodu?

— Ponieważ, jak wiadomo, jestem odpowiedzialnym za tę pacjentkę lekarzem prowadzącym — odparł z dystansem doktor Barranski. — Znam ją od dłuższego czasu, wiem o jej stanach depresyjnych, dlatego nie zaskakuje mnie ta próba samobójstwa.

— Nie jest jeszcze całkowicie pewne, że była to próba samobójstwa — stwierdził doktor Bergner.

— Dla mnie tak — oznajmił Barranski z dystyngowanym spokojem. Następnie troskliwie ułożył wzdłuż ciała rękę Ewy Morgenrot, na której właśnie badał puls. Potem powoli podniósł wzrok jak gdyby w wyrazie bezbrzeżnego smutku.

— Poza tym muszę stwierdzić z głębokim smutkiem, że była to próba udana. Ewa Morgenrot nie żyje. Chciałbym panów prosić, abyście byli uprzejmi pozostawić mnie przy niej samego.

— Jak ja teraz wyglądam? — spytał doktor Bergner wszedłszy do mieszkania Wandera. — Dotychczas uważałem się w zasadzie ciągle jeszcze za lekarza, ale pan i ten typ z Kolonii uwzięliście się chyba, żeby zdegradować mnie do roli szarlatana.

— A na to, pana zdaniem, nie ma rady? — Karl Wander zmusił się, żeby to powiedzieć. Był blady, jego ręce prawie drżały.

Doktor Bergner usiadł w najbliższym fotelu. Wyczerpanym głosem poprosił: — Jeżeli ma pan coś do picia, coś o jak największej zawartości alkoholu, to może by mnie pan poczęstował!

Niepewnymi ruchami Wander postawił na stole butelkę pięćdziesięcioprocentowej wiśniówki ze Schwarzwaldy, klarownej i mocnej. Nalał dwie pełne szklanki, płyn przelał się, popłynął na stół rozlewając się szeroko. Rozszedł się intensywny, upajający zapach.

— Ta świnią Barranski wchodzi mi ostatnio ciągle w drogę — przemówił Bergner jakby do siebie. — Dosłownie potykam się o niego, ale ubić go nie mogę!

— Ta Ewa Morgenrot chciała żyć, nic ponadto — powiedział Karl Wander — jestem tego prawie pewny. Wszystko, co przechodziła, przez co musiała przejść, było dla niej tylko stacją przejściową: do jakiegoś lepszego, nowego początku.

— Az jaką pewnością ten łajdak Barranski lawirował w stronę swojej teorii o samobójstwie! Pewnie, całkiem

możliwe! Być może nawet najbardziej prawdopodobne. Ale udowodnić się nie da. A ta brudna świnia Barranski po prostu jest pewny. Dobra, zatrucie! Ale niekoniecznie musiały to być same środki nasenne, jakaś inna trucizna mogła współdziałać...

Karl Wander pił prosto z butelki. — Dlaczego to życie jest po prostu niekończącą się serią kapitulacji?

— To jego pacjentka — powiedział lekarz. — Barranski dokona końcowych oględzin i wystawi akt zgonu. Ewentualne podejrzenia z mojej strony nie wystarczą, żeby coś tu zmienić.

— Ewa na pewno nie popełniła samobójstwa, jestem tego pewien — stwierdził Wander.

— Był pan z nią zaprzyjaźniony? Czy może coś więcej?

— Nie wiem — powiedział Wander patrząc przed siebie. — Czasami, na przykład teraz, pytam sam siebie: Co ja właściwie wiem? Doktorze, najlepiej byłoby otoczyć się wysokim murem, na nim drut kolczasty pod napięciem, a wokół krwiożercze psy. Tylko to na pewien czas mogłoby zagwarantować jakieś spokojne, niezależne życie.

— Myślałem, że mi pan pomoże załatwić tego Barran-skiego, bo sam nie dam sobie rady! A tak to napiszę rutynowy raport, który powędruje do szpitalnych akt.

— Tylko dwie kartki papieru, nic więcej nie pozostanie! Dwie kartki wśród stosów akt. Weźmy się za to!

— Napiszę w raporcie, że stwierdzone objawy zatrucia były wyjątkowo silne, a przez to niemożliwe raczej do spowodowania przez środki nasenne w prawdopodobnie użytej ilości. Ale to wszystko, co mogę zrobić.

— A co by było, panie doktorze, gdybym dostarczył panu doświadczonego śledczego o nazwisku Kohl, który poszedłby na całość?

— I on prawdopodobnie nie zmieni faktu, że teoria samobójstwa sama się nasuwa. Przyjmie ją każdy, nawet ten, kto uzna okoliczności za tylko częściowo normalne.

— A co w takim razie pana zaalarmowało, doktorze?

— To, że ten Barranski, co dokładnie wyczułem, uważa morderstwo za całkowicie prawdopodobne i próbuje wszelkich możliwych środków, żeby je zatuszować. To sy-

tuacja, mój drogi, która mnie nie tylko alarmuje, ona mnie wykańcza.

— Biedak z pana, doktorze — stwierdził Karl Wander. — I ze mnie też.

— Wiem, że nie jest to pani biuro i że nie przyszedłem w godzinach przyjęć — powiedział Karl Wander do panny Wiebke, sekretarki. — Muszę z panią koniecznie porozmawiać.

— Niech pan wejdzie — powiedziała panna Wiebke, obrzuciwszy go krótkim, badawczym spojrzeniem. — Tam jest łazienka, zimna woda dobrze panu zrobi. Powinien się pan również uczesać. Przez ten czas zrobię mocnej kawy.

Jej głos brzmiał niezmiennie rzeczowo, również teraz, późno w nocy. Jej gładka twarz nie nosiła żadnych śladów snu. W swoim skromnie umeblowanym, jednopokojowym mieszkaniu poruszała się podobnie jak w biurze Konstan-tina Kruga.

— Muszę z kimś porozmawiać — powiedział Wander wyszedłszy z łazienki. Bez zaproszenia usiadł przy stole i przyglądał się, jak w niszy kuchennej przygotowywała kawę. Jej przynosząca ulgę wyrozumiałość uspokajała go.

— Stało się coś okropnego.

— Z panem?

— Z Ewą Morgenrot, ona nie żyje. Zmarła jakieś dwie godziny temu.

Panna Wiebke, odwrócona do niego plecami, przestała zajmować się kawą. Na chwilę jakby zamarła, a potem obróciła się i wpatrując się w niego spytała: — Jak to się stało?

— Zapewne przedawkowanie środków nasennych.

— Samobójstwo?

— Być może.

Panna Wiebke powróciła do swojego zajęcia. Postawiła dzbanek z kawą i dwie filiżanki na tacy i podeszła do stołu.

— Jest pan w to jakoś zamieszany?

— Jest pani drugą osobą, która o to pyta.

— Czyli nie, to dobrze. — Postawiła przed nim filiżankę i napełniła ją czarną kawą. — Czy wchodzi w grę ktoś inny?

— Czy oczekuje pani konkretnego nazwiska? Może nazwiska, które pani zna?

— Niczego od pana nie oczekuję. Nie sądzę, żeby pan przyszedł się wyplakać. O ile pana znam, nie zrobiłby mi pan tej przyjemności. Ale niestety nie zna mnie pan, ponieważ w przeciwnym razie nie usiłowałby mnie pan wypytywać w tak prymitywny sposób. Bo w końcu w jakim celu pan przyszedł?

Karl Wander wypił swoją filiżankę duszkiem. Podsunął ją pannie Wiebke, która znowu ją napełniła. Potem zapytał: — Czy widziała już pani umierającego człowieka?

Nie odpowiedziała. Spojrzała na niego jakby oceniając go na nowo. Wydawała się niezadowolona ze swojej obserwacji. Spytała: — Dlaczego ta śmierć tak pana obchodzi?

— Czuję się bezradny — odpowiedział Karl Wander. — Jako chłopak opiekowałem się psem. Na moich oczach przejechał go samochód. Podbiegłem do niego, schyliłem się i podtrzymałem mu głowę. Skomlał, chwycił powietrze i patrzył na mnie swoim pocziwym, pełnym zaufania wzrokiem. Byłem bezradny. Cierpiał, a potem umarł. Nigdy tego nie zapomnę. Powinienem być bardziej uważać!

— Niech pan wypije kawę — powiedziała panna Wiebke prawie szorstko. — A potem niech się pan wyśpi, wszystko jedno gdzie, nawet w tym pokoju. Mogę iść do koleżanki, mieszka w tym samym domu. A jutro niech pan najlepiej wyjedzie, niech się pan z powrotem zajmie swoim humanitarnym pisarstwem. Ten klimat najwyraźniej panu nie służy. Mogę znaleźć dla pana jakąś dobrą wymówkę.

— A gdybym nie chciał?

— Niech się pan dokładnie zastanowi, Karl. Do jutra jest dużo czasu. Zobaczysz pan, to najlepsze rozwiązanie!

— A gdybym nie mógł?

W oczach panny Wiebke zabłysła iskierka podziwu. — Czego pan właściwie chce? — spytała. — Zarobić trochę pieniędzy? Byłby to jakiś argument, ale również pana mo-

że to sporo kosztować. A może wydaje się panu, że wypełnia pan jakieś ważne zadanie, w dodatku takie, które sam pan sobie postawił? To się czasami fatalnie kończy, zwłaszcza dla ludzi pańskiego rodzaju, gdyż chyba strasznie angażuje się pan uczuciowo. Akurat w tej branży. Nie ma pan naprawdę nic lepszego do roboty?

— Pani też jest w tej branży! Dlaczego?

— Wylądowałam tutaj nie wybierając specjalnie, gdzie i dla kogo będę pracować — wyjaśniła panna Wiebke. — Nie inwestuję żadnych prywatnych uczuć ani poglądów politycznych, jest to moja codzienna praca i nic poza tym. Rozumie pan — nie! Dla nikogo.

— Mimo to siedzę tu u pani!

— To nie ma żadnego znaczenia, ani dla mnie, ani dla pana!

— Respektuję to — zapewnił Karl Wander. Poczuł potrzebę dotknięcia dłoni panny Wiebke i uczynił to. Nie zaprotestowała. — Czy mogę jeszcze przyjść, gdybym znowu kiedyś był w dołku?

— Chyba nie chce pan tu być stałym gościem? — odpowiedziała prawie wesoło. — Ale jeżeli dalej chce pan się zajmować nie tym, co trzeba...

— Jak ma pani właściwie na imię? — przerwał jej. — Ma pani chyba jakieś imię?

— No dobrze — odparła z dobrze skrywanym zakłopotaniem. — Trochę śmiechu panu nie zaszkodzi, mam na imię Marlana.

— To imię pasuje do pani — stwierdził poważnie Karl Wander.

Marlena Wiebke rozczesła palcami swoje krótkie jas-noblond włosy. Spojrzała z rezerwą na próżno usiłując stworzyć możliwie jak najbardziej bezosobową atmosferę, następnie wstała i oznajmiła: — Powinien pan wreszcie iść spać.

— Już idę — zapewnił Karl Wander nie ruszając się z miejsca. — Bardzo dziękuję za kuszącą propozycję od stąpienia mi łóżka, może innym razem. Może już wkrótce. Naprawdę czuję się już trochę lepiej.

— Im dalej stąd pan będzie, tym lepiej będzie się pan czuł, jestem przekonana. — Marlena Wiebke podeszła do drzwi i otworzyła je. — Ale być może jest pan rzeczywiście beznadziejnym przypadkiem.

— Być może stałem się nim dopiero tej nocy — stwierdził Karl Wander podnosząc się z miejsca.

Sięgnął po swój płaszcz. — Niech pani nie próbuje mnie zrozumieć, od dłuższego czasu sam z tego zrezygnowałem.

— Nie wyjedzie pan jutro?

— Nie.

Marlena Wiebke podała mu rękę. — Niech pan spróbuje zapomnieć o tej nocy, mam na myśli naszą rozmowę. A jeżeli nie może pan zapomnieć o śmierci Ewy Morgenrot, to niech pan weźmie pod uwagę, że wszelkie rzekome czy rzeczywiste samobójstwa są automatycznie badane przez policję. Ważne jest jednak, przez kogo prowadzone jest tego typu dochodzenie.

— Na pewno, ale jest to zazwyczaj czysto rutynowe działanie — odparł z roztargnieniem Karl Wander trzymając dłoń Marleny Wiebke.

— W każdym wypadku? Dla każdego funkcjonariusza? Także dla nadinspektora Kohla?

— Skąd pani o nim wie?

— Telefonował wczoraj do nas do biura i chciał z panem koniecznie rozmawiać. Mówił, że ma coś dla pana. Ma się pan do niego zgłosić.

— Zrobię to — zapowiedział Karl Wander. — Ten Kohl jest w głębi swojej osobowości aniołem zemsty. Wiem, jego głos dobrego wujaszka tak nie brzmi, jego wygląd również o tym nie świadczy, być może sam nie zdaje sobie z tego sprawy.

— Niech pan wyjeżdża! — prawie wykrzyknęła Wiebke. Był to odruch, który ją samą zaskoczył. — Nikomu tutaj jeszcze nie dawałam rad, ale dla pana zrobię wyjątek. To jedyne wyjście! Niech mnie pan nie pyta, dlaczego! I na miłość boską, niech pan sobie nic nie wyobraża! W pana sytuacji nie może sobie pan na to pozwolić.

— Dobranoc, Marleno — odparł. — Niech pani mimo wszystko postara się pozostać taką, jaką pani jest.

Raport człowieka zwanego Jerome

— część piąta

O roli błędów, które wydają się tak nieuniknione, że aż oczywiste.

Me istnieje wypadek, który dałby się całkowicie przeniknąć lub idealnie zrekonstruować. Nawet u najbardziej prymitywnych udziałowców mojego środowiska, dostarczycieli wiadomości, nie da się wykluczyć niebezpiecznych komplikacji. Tym bardziej różnorodne są możliwości, gdy w grę wchodzi różnego rodzaju siły, charaktery i koncepcje.

Raz za razem ślepa uliczka brana jest za główną arterię. Kluczowy dokument może dostać się w nasze ręce, zanim będziemy w stanie prawidłowo go odczytać. Kiedy gra jest zakończona i wynik znany, wiemy oczywiście więcej, ale ciągle jeszcze nie wszystko.

Nie ma zatem sprawy, w której nie robimy błędów. Zachęca to oczywiście do traktowania tych błędów jak rzeczy samej w sobie zrozumiałej. Nawet wtedy, gdy ten czy ów musi je przyplacić życiem. Ale nic nie da się przedsięwziąć przeciwko siłom, których się nie zna lub nie dostrzega.

Ta cała sprawa była dla mnie początkowo niczym więcej, jak rodzajem osobistej rozrywki. Drobną grzeczność względem Petera Sandmana. Dochodziła do tego okazja szkolenia młodych kadr. O co naprawdę chodziło, na czas nie rozpoznano.

Układ: Feldmann — Krug — Wander był dla mnie najbardziej interesujący i dominujący. Obiecywał piękną, bezwzględną walkę, a my sądziliśmy, że mamy najlepsze miejsca na widowni. Było to zresztą pod pewnym względem zgodne z prawdą. Jednak podczas tego przedstawienia na państwowej scenie nie mieliśmy wglądu za kuliszy, a to co działo się w garderobach, również uszło naszej uwadze.

Mój pogląd był wtedy następujący: śmierć Ewy Mor-genrot była stosunkowo nieistotnym epizodem. Zwykle

samobójstwo, nic ponadto. Zdarza się dość regularnie w najlepszych rodzinach. Sandman zgadzał się ze mną. Tylko ten Wander nie chciał się z tym pogodzić.

Ale jego uparte domysły, kombinacje i podejrzenia nie mogły mnie wyprowadzić z równowagi. Tym bardziej, że okazało się, iż zgodnie z moimi przypuszczeniami Wander wykazywał dziwną słabość do tej dziewczyny. Było to zapewne bardzo prywatne zainteresowanie, być może jednak tylko silne współczucie. Ludzie tacy jak Wander reagują w ten sposób.

To także Sandman zwrócił mi uwagę na nadinspektora policji kryminalnej Kohla. Znałem go. Próbował możliwie bez komplikacji doczekać emerytury. Do owych dni nie robił, o ile mi wiadomo, niczego innego.

Kohl był bez wątpienia wysokich lotów specjalistą, co umożliwiało mu szybką, sprawną i ograniczoną do rzeczy fachowych pracę. Wydawało się, że nie interesują go skala i metody działania swojej branży, a przełożeni oceniali go bardzo pozytywnie. Tym większa była niespodzianka, jaką nam później sprawił.

A przynajmniej to można było przewidzieć. Wystarczyło przecież rozpoznać w Kohlu figurę nieproporcjonalną, stojącą w tej grze na kilku szachownicach jednocześnie. Można przecież było wypić piwo w pewnej knajpie, należącej do niejakiej pani Jeschke, porozmawiać z jego kolegami z komisariatu czy intensywniej wypytać doktora Barran-skiego, a może dokładniej wy badać tego Wandera.

Pani Jeschke opowiedziała później między innymi następującą rzecz o Kohlu: „...a znalazłam go od dwudziestu lat, co najmniej... co wieczór przychodził na piwo, zawsze sam, dużo nie mówił... kiedyś przyprowadził tego Wandera... potem zaczął pić i nawet mówić... raz powiedział coś takiego: »Ciągłe uciekamy. Jak mamy szczęście, nie doganiają nas. Ale nigdy nie miałem za dużo szczęścia«. Coś w tym rodzaju”.

Ale to uszło wtedy naszej uwadze, ponieważ mieliśmy nadzieję, że zabawimy się całkiem innymi sprawami. Na przykład pewnym wycinkiem z prasy odnalezionym przez Sandmana. Pochodził z artykułu sprzed dziesięciu lat, a je-

go autorem był nasz Karl Wander. Napisał on wtedy rzecz następującą: „Rok 1954 był dla nas godziną zero. Chyba największą szansą, jaką może dać historia: nowym początkiem! Poza tym udzielono nam lekcji, drogiej jak nigdy przedtem, z milionami zabitych i totalnie zrujnowanymi miastami i sercami. I cóż z tego teraz powstało?”

Nad czymś takim mogę się tylko uśmiechnąć. Niektórzy z moich współpracowników zdrowo się uśmiali. Jednak Sandman nadal był nastawiony sceptycznie, traktował Wandera w tej kwestii najzupełniej poważnie. Był przekonany, że Wander pisał to zupełnie na serio. Napisał to, w co wierzył.

Dla mnie mogło to być tylko kolejnym dowodem na to, że mieliśmy tu do czynienia z notorycznym „naprawiaczem” świata, a ci byli dla mnie zawsze dość śmieszni.

Jeden błąd więcej!

6

Również jedno nędzne życie ludzkie może być warte miliony, ale przy tym prawie nic nie kosztować

No jest pan wreszcie! — stwierdził wyczekująco nadinspektor Kohl ujrzawszy Wandera. — Gdyby pan sam nie przyszedł, kazałbym pana doprowadzić — posłałbym dwóch funkcjonariuszy i radiowóz.

— *A czego* pan ode mnie oczekuje?

Karl Wander znajdował się w komisariacie numer 3. Siedzący w dużym pomieszczeniu policjanci nie zwracali na niego uwagi, ponieważ należał po prostu do kilku tuzinów spraw, którymi codziennie się musieli zajmować. Niech się nim najlepiej zajmie stary szanowany rutyniarz Kohl!

Ten zarządził: — Proszę za mną! — i ruszył przodem, wąskim korytarzem w kierunku pokoju przesłuchań.

Gdy weszli, inspektor wskazał Wanderowi jedyne krzesło. Wander usiadł, a Kohl zatrzymał się koło drzwi i zapytał: — I co teraz?

— Niech się pan wyraża precyzyjniej! — zażądał Wander. — Skąd na miłość boską mam wiedzieć, co się w tej chwili rozgrywa w pańskim mózgu?

— Śmierć Ewy Morgenrot. Dlaczego od razu mnie pan nie zawiadomił?

— Właśnie to chciałem zrobić.

— Za późno — odparł policjant. — Dlaczego?

— Czy to przesłuchanie, czy rozmowa? — Szorstki ton Kohla zaczął Wandera niepokoić. — Czy znowu wracamy do punktu wyjścia? Nie myśli pan chyba, że mam z tym coś wspólnego?

— Nie bezpośrednio — odparł inspektor wręcz z nutką żalu w głosie. — Pośrednio też zapewne nie. Chodzi tu

zapewne o coś, co nazywamy chowaniem głowy w piasek: nic nie wiem, żeby nic nie musieć mówić.

— Przez cały dzień nie było mnie wczoraj w Bonn.

Kohl skinął głową. — Odwiedził pan dyrektora Morgenrota w Essen.

— Nie podoba się to panu?

— Niby dlaczego? Załóżmy, że przyjąłem to po prostu do wiadomości. Po rozmowie z mister Sandmanem musiałem stwierdzić, że dysponuje pan idealnym alibi.

— A kto poza tym? — spytał Wander. — Sabina von Wassermann-Westen albo Martin Morgenrot także?

— Pewnie obojga pan nie lubi? — zapytał prawie łagodnym tonem Kohl.

— Rzygać mi się chce na ich widok!

— Rozumiem pana — odparł inspektor. — Też się nimi trochę zajmowałem, oczywiście z konieczności. To prawdopodobne czy też rzekome samobójstwo Ewy Morgenrot przebiegło jakby według pewnego planu: Trucizna, zapewne tabletki nasenne, potrzeba około dwóch godzin, żeby zadziałała. Ogromne znaczenie ma okres czasu, jaki upłynął przed zażyciem śmiertelnej dawki, ponieważ właśnie wtedy zapadła decyzja o wprowadzeniu planu w życie. Jednak zarówno Wassermann-Westen jak i Martin Morgenrot twierdzą, że cały dzień, a w każdym razie popołudnie spędzili wspólnie w Kolonii.

— Wzajemnie się zabezpieczają?

— Być może, ale trudno byłoby coś z tym zrobić. Diabli wiedzą, na czym polega ten układ, jednak istnieje na pewno.

— Ten Martin Morgenrot jest niebezpieczny, napadł na mnie i dotkliwie pobił!

— Tak, wiem o tym. Szkoda, że wcześniej pan tego nie powiedział. Musiałem zmarnować prawie godzinę, zanim to z niego wydostałem. Dość przekonująco twierdził, że dał panu po pysku, ponieważ zauważył, że Ewa w stanie nie pozostawiającym wątpliwości wychodziła z pańskiego apartamentu...

— To po prostu absurd!

— Tylko trudno temu zaprzeczyć, ponieważ Ewa, jedyny możliwy świadek, nie żyje.

— Czy chce pan to wykorzystać przeciwko mnie?
— Nie dotrzymał pan warunków umowy, panie Wander! Dałem panu do zrozumienia, jak zależy mi na tym Barran-skim. Na miejscu zdarzenia, w bezpośredniej konfrontacji z obiektem, mógłbym mu narobić pewnych kłopotów, teraz jest za późno!
— Czyli pan również nie chce uwierzyć, że było to jedno ze zwykłych samobójstw?
— Powiedział pan: „również”? Kto jeszcze w to nie wierzy?
— Zapewne Barranski.
Teraz z kolei Kohl był wyraźnie zaskoczony, czemu dał zresztą wyraz. — Jak pan na to wpadł?
— To nie ja na to wpadłem, tylko doktor Bergner. Kiedy go wezwałem, przyjechał jeszcze przed Barranskim. Zgodnie z jego opinią samobójstwo było możliwe, nawet prawdopodobne. Był jednak pewny, że Barranski, który z uporem chciał się zająć tym wypadkiem, uważał morderstwo za możliwe.
— Muszę porozmawiać z tym Bergnerem!
— To mogę załatwić, nawet bardzo chętnie!
— Niech pan to zrobi jak najprędzej. — Kohl sięgnął do portfela i wyjął z niego kartkę. — To adres matki Ewy Morgenrot, a do tego dokładne dane na temat urodzenia i adopcji. Odszuka pan tę panią?
Wander skinął głową. — Po tym wszystkim nie będzie to z pewnością przyjemność.
— A tym razem niech pan nie zapomni zawiadomić mnie o ewentualnych odkryciach! — dodał Kohl.

— Napisał pan list do pełnomocnika do spraw obrony — stwierdził Karl Wander i zadał od razu pytanie: — Czy to, co pan napisał jest prawdą?

Starszy szeregowy bundeswery, o nazwisku Fünfinger, z którym Wander spotkał się w Koblencji, w knajpie w pobliżu dworca, spojrzał zdziwiony. — Należy pan do tej bandy? A może do jakiegoś podobnego stowarzyszenia?

— Również nie, drogi panie Fünfinger.

— Policja? Urząd Ochrony Konstytucji czy coś w tym rodzaju?

— Jestem tu raczej prywatnie i na własny rachunek — wyjaśnił Wander i przysunął się do kontuaru. — Czego się pan napije?

— Prywatnie preferuję szampana — odparł żołnierz. — Czy prywatnie może sobie pan na niego pozwolić?

Wander skinął głową i zamówił. Szynkarz przechowywał w lodówce, w którą była zaopatrzona jego buda, wytrawnego Veuve Clicquot, a to z powodu dam utrzymujących ożywione kontakty z żołnierzami. Szampan był mianowicie ich ulubionym napojem orzeźwiającym w czasie przerw w pracy.

Starszy szeregowy Fünfinger oszacował wzrokiem człowieka, który najpierw zadzwonił do niego, a potem się z nim umówił. — A skąd pan w ogóle wie, że taki list istnieje?

— Założmy, że wieść się szybko rozeszła.

— W jakich kręgach?

Fünfinger był mężczyzną niskiego wzrostu o okrągłej, kartoflowatej twarzy, w której pobłyskiwały małe, sprytne oczka. Bulwiasto wyglądały także jego ręce. Mówił jednak łagodnym głosem w niemal czulej, niskiej tonacji wyrażającym bystrą, ale wesołą ironię.

Karl Wander podsunął mu pełny kieliszek szampana mówiąc: — Mam dla pana propozycję: Wycofa pan list, przekazany pełnomocnikowi do spraw obrony i przekaże go pan mnie.

— Kolego, nie bądź pan za bardzo do przodu! — odparł Fünfinger. — A skąd pewność, że jestem właściwym czło-
wiekiem? I dlaczego miałbym żądać zwrotu mojego pięknego listu?

— Z dwóch powodów — wyjaśnił Wander. — Przede wszystkim pański list mógłby być, o ile wiem, zinterpretowany jako próba szantażu. Połączył pan mianowicie swoje żądanie z pewną groźbą.

— Bzdura, ja tylko rąbnąłem zażalenie i dodałem trochę nacisku, to wszystko! — zripostował Fünfinger.

— To pana interpretacja, która nie musi obowiązywać tam, gdzie pański list wylądował. Napyskował pan w spo-

sób nieformalny i z tego powodu mogą panu założyć kaganiec. Poza tym nasza prokuratura nie ma poczucia humoru w sprawach o wymuszenie.

Fünfinger chwycił za kieliszek i opróżnił go z wyraźną przyjemnością, nie spuszczać Wandera z oczu. — Niech pan posłucha — powiedział niezwykle uprzejmym tonem

— niech pan mnie przede wszystkim nie usiłuje wpuścić w maliny! Sądzę, że to właśnie pełnomocnik do spraw obrony rzucił pana na pierwszy ogień, żeby wyświadczył mu pan koleżeńską przysługę. Niech pan mu wobec tego przekaze, że może sobie być taki dowcipny, gdzie i jak mu się tylko podoba! Wcale mi nie chodzi o niego. Ma się tylko zająć moją skargą i to szybko!

— Czego pan dokładnie oczekuje, panie Fünfinger?

— Pełnomocnik ma mi dopomóc w wykończeniu pewnej świni.

Wander z pewnym wysiłkiem opanował zaskoczenie. Aby zyskać na czasie, z namysłem napełnił kieliszki. Następnie rzucił okiem na spelunkę, w której się znajdowali. Siedząca w pobliżu dama spoglądała na nich z pożądaniem. Fünfinger kazał podać jej szampana i przekazać, że im przeszkadza i proszona jest o przesunięcie się trochę dalej, co też uczyniła.

— A jeżeli pełnomocnik nie udzieli panu pomocy w załatwieniu owej świni?

— To ja po prostu załatwię z kolei jego!

— Naprawdę sądzi pan, że to takie proste?

— Jak najbardziej — zapewnił starszy szeregowy.

— Pewnie chce pan wiedzieć, co mam w zanadru? Czemu nie, mogę powiedzieć, wyjaśnię panu i pańskiemu zlece niodawcy, co w trawie piszczy. No cóż — mam kumpla i mój kumpel też ma kumpla. Mój kolega jest kelnerem w hotelu „Hohes Eck”, a z kolei jego znajomy pracuje jako windziarz w tym prominenckim burdelu. Pełnomocnik za wsze tam wpada, jak tylko ma w tej okolicy coś do roboty. A zdarza się to często. Koblencja jest jednym wielkim garnizonem, stąd dużo dogodnych okazji: dla pełnomocnika i dla windziarza.

— Podejrzenie o homoseksualizm?

— Udowodnione podejrzenie! — Fünfinger spojrział niemal ze współczuciem. — Mogą dostarczyć obciążające materiały i to dużo! Wszystkie zawierają jednoznaczne dowody.

— Taki pan zawzięty?

— Nie dosłysz pan? — zapytał prawie z oburzeniem żołnierz. — Jeżeli chodzi o mnie, to niech każdy sobie gra na własną nutę. Jest mi wszystko jedno, ale tylko tak długo, jak mnie to nie dotyczy.

— Od czasu do czasu ma pan jednak pewne napady tolerancji.

— Ten nadzorca od obronności i jego fagas mogą mnie pocałować w... nie, może lepiej nie. Chciałem powiedzieć: mnie to nic nie obchodzi! Tym bardziej, że u nich wszystko ma podłoże bardziej duchowe: pedalska poezja i liryka rozpusty, co prawda wszystko na podłożu hotelowego wyra. Czemu nie, byle mi tylko pomógł wykopać mojego bydlaka.

— A o kogo chodzi?

— Niejaki major Drau — wyjaśnił Fünfinger. — Mój obecny dowódca, zwany również pancernym Drau. Stara, doświadczona świnia frontowa i do tego kompletnie wykolejony moralnie. Zapewne psychicznie nie do końca w porządku, ponieważ nie awansował w normalnym tempie, zgodnie ze swoimi obliczeniami dawno powinien być pułkownikiem. Dzięki temu, że nim nie jest, mógłbym się nawet na trochę pogodzić z armią. Jednakowoż ten Drau, którego my nazywaliśmy wyłącznie brudną świnią kompensuje swój kompleks niższości tym, że bez przerwy bluzga plugastwem. Mówi tak, jak normalny człowiek sra.

— I to pana tak wścieka, panie Fünfinger? Nie posądzam pana aż o taką wrażliwość.

— Pozory mylą! — żołnierz wykrzywił się w szerokim uśmiechu. — Niech pan się nie stara mnie przekonać. Ten Drau, ten brudny wieprz, mógł obrazić moją matkę, siostrę, narzeczoną, kumpla czy mnie, co to pana obchodzi? Pewne jest jedno: sama jego egzystencja jest jedną wielką obrazą.

— Trudno by to było sformułować — zaproponował ostrożnie Wander. — Tak zwany żargon koszarowy jest wpraw-

dzie oficjalnie uznawany za niepożądany, nie jest jednak karalny. Daleko by pan ze swoim zażaleniem nie zaszedł. Załóżmy jednak, że udało by mi się wykopać tego Drau, czy wtedy byłby pan gotów przekazać mi materiały na temat pełnomocnika do spraw obrony?

Starszy szeregowy Fünfinger przysunął do siebie butelkę z szampanem, popatrzył na nią badawczo i wylał resztkę do swojego kieliszka. — Na to bym się zgodził. Jak pan chce się dobrać do tego Drau?

— Sądzi pan, że trudno byłoby go załatwić?

— Niezbyt trudno, gdyby się właściwie zabrać do rzeczy! Zostawmy to, co wyprawiał przez te wszystkie lata: nie tylko jego słownictwo jest osobliwe. W portfelu nosi sprośne wierszyki o chorobach wenerycznych! Na różnych imprezach nawet je odczytywał!

— No dobra! — podsumował Wander. — Ja panu dostarczę majora Drau, a pan, w zamian za to, swoje materiały. Umowa stoi!

— Nie rozumiem pana — stwierdziła kobieta siedząca naprzeciwko Wandera. — Nigdy nie byłam zamężna i nie miałam dziecka!

Było to we Frankfurcie, gdzie Wander zatrzymał się w drodze powrotnej z Koblencji. Znajdował się w biurze właścicielki pewnego butiku w pobliżu kościoła świętego Pawła. Było to pomieszczenie spełniające jednocześnie funkcję magazynu i zapasowej sypialni z podwójnym łóżem otoczonym belami jaskrawego materiału.

— Pani córka ma na imię Ewa, prawda?

— Niech pan da spokój! — usiłowała go zbyć kobieta. — Tracimy tylko czas. To się nie oplaca, nieprawdaż?

Było oczywiste, że wydawał się jej sympatyczny. Wyglądała niezwykle kobieco, miała zaokrąglone kształty, emanowała z niej łagodna zmysłowość. Jej pełne, szerokie, dominujące na twarzy usta łatwo odsłaniały zęby; miała oczy leniwej, łagodnej kotki.

— Nie lubię kłopotów — kontynuowała, zapraszająco opie rając się na swoich jedwabnych, przytulnych poduszkach.

— Jeżeli się tylko chce, są rzeczy lepsze i piękniejsze. Taki mężczyzna jak pan, panie Wander, nie powinien zajmować się przeszłością kobiety, u której gości.

— Pani córka Ewa urodziła się 15 lipca 1949 roku w Berlinie — kontynuował nie zmieszany Wander. — Ojciec jest podobno nieznan. Ewa mieszkała początkowo u babki w Bremie, a rok później, w listopadzie 1950 roku wzięło ją do siebie małżeństwo Morgenrotów i wkrótce potem została przez nich adoptowana.

— Skąd pan to wie tak dokładnie? — wyprostowała się i spoglądała na niego z rosnącym niepokojem. Potem próbowała się roześmiać: — Co to pana właściwie obchodzi?

— Bardziej niż pani może przypuszczać. Poznałem mianowicie pani córkę.

— No i cóż? Coś pan z nią kombinuje?

— Nie! — odparł ostro Wander.

— Cóż, przecież sądząc po pana wyglądzie, to możliwe! No tak, może jest jeszcze za młoda, przynajmniej dla pana za młoda. Poza tym, co mnie to obchodzi.

— Poznałem również ojczyzna Ewy, pana Maksymiliana Morgenrota.

— Aha! — krzyknęła tracąc swoją kocią miękkość, jej głos zabrzmiał ostro. — Może to on dał panu mój adres? I co o mnie powiedział? Już sobie wyobrażam! Mam nadzieję, że mu pan nie uwierzył, łatwo go przecież rozszyfrować!

— Ale zgodziła się pani na adopcję.

— Ale nie przez niego, tylko przez jego żonę! Jeżeli opowiedział panu coś innego, to jak zwykle łgał! Jestem daleką krewną jego żony i ponieważ ich małżeństwo było początkowo bezdzietne, zaopiekowała się moją córką Ewą. Znajdowałam się wtedy w trudnej sytuacji i w końcu nie jestem typem wzorowej matki. Ta adopcja była najlepszym rozwiązaniem dla nas wszystkich i opłaciła się!

Karl Wander milczał nie patrząc na nią. Nerwowo wstał, podszedł do stosu materiałów i oparł się o nie. — Małżeństwo Morgenrotów nie pozostało bezdzietne — stwierdził wymijająco.

— Tak, parę lat później, urodził się jeszcze ten syn. Jak Morgenrot to zrobił, Bóg jeden wie! Może ten Martin to

wcale nie jego zasługa. Byłoby to podobne do mojej kuzynki. W swoim krótkim życiu niczego bardziej nie żałowała niż małżeństwa z Morgenrotem. Ja ją rozumiem. Może uważa pana Morgenrota za dżentelmena?

— To cyniczny egoista i chytry geszefciarz — odparł z wyrachowaniem Wander. — Dużo jest typów tego rodzaju i uważają to po prostu za normalny sposób na życie. Możliwe jednak, że Morgenrot stał się taki dopiero w ciągu ostatnich lat. Wszyscy przecież robimy postępy!

— Zawsze taki był! — zawołała spontanicznie. — Z początku sprytnie się maskował. Dopiero potem kuzynka przejrzała na oczy, jak się okazało, co to za typ! Ale dlatego właśnie się zabezpieczyła.

— Zabezpieczyła? W jaki sposób?

— Adoptując Ewę! Fabryki należą do niej, to ona wniosła je do małżeństwa. Morgenrot był tam tylko kierownikiem działu, dyrektorem administracyjnym czy kimś w tym rodzaju. To było małżeństwo z rozsądku, przede wszystkim ze względu na fabryki. Dopiero wtedy, gdy Morgenrot okazywał się coraz większym naciągaczem, kuzynka wpadła na pomysł adopcji. Notarialnie zostało zapisane, że w wypadku jej przedwczesnej śmierci Ewa, w dniu osiągnięcia pełnoletności, otrzyma prawo całkowitego dysponowania połową majątku w gotówce i jego całej pozostałej, zarejestrowanej części.

— A więc za niecałe dwa lata! — Wander przyciągnął sobie krzesło i usiadł na nim. — Przez te wszystkie lata, które Ewa musiała spędzić w domu Morgenrotów, nigdy się pani nią nie interesowała?

— To był warunek umowy, którego dotrzymałam.

— Za jaką cenę?

Kobieta pozwoliła sobie na pewien gest: szeroko rozkładając ramiona wskazała z dumą na swoje otoczenie. — Ceną był ten sklep! Należy do najlepszych w tej branży. Jak mogłam też stawać na drodze szczęścia swojego dziecka? Ewa miała wszystko, czego tylko można zapragnąć!

— Życie bez matki, a także bez macochy, za to z tym człowiekiem jako ojcem!

— Czego pan chce? — wykrzyknęła broniąc się kobieta. — Jeszcze parę lat i się to opłaci! Ewa będzie mogła dysponować milionami.

— Nie będzie mogła, bo nie żyje — powiedział Karl Wander.

— Dzisiaj jestem nastawiony pokojowo — stwierdził Martin Morgenrot prawie poufale uśmiechając się do Wan-dera. — Może pan być spokojny, nie mam na razie żadnych wrogich zamiarów. O ile mnie pan do czegoś nie zmusi.

— Jak pan się tu dostał?

— Przez drzwi — odparł Martin.

Siedział właśnie w apartamencie 204 jak w swoim własnym. Rozwalił się w fotelu kładąc nogi na stole. Stojąca obok popielniczka była pełna niedopałków. Wyglądało na to, że Martin czekał już od dłuższego czasu.

— Kto otworzył te drzwi? Ma pan klucz? Jeżeli tak, to od kogo?

— Przecież to wszystko jedno — odparł Martin Morgenrot, prawie pogardliwie spoglądając na stojącego koło drzwi Wandera. — Powinien się pan teraz zainteresować tym, co jest w tej chwili ważniejsze. — Zacisnął prawą pięść. — Jestem w końcu bratem dziewczyny, która się zabiła. Zapewne z pańską pomocą.

— Wynocha! — powiedział energicznie Wander.

— Powoli — zaoponował Martin Morgenrot. — Wiem, jest pan uprzedzony. Tylko dlatego, że stać mnie na każdy sportowy wóz i na wszystkie kobiety, które doprowadzają mnie do mdłości. Szczególnie napalone są po mojej wypłacie, a dostają sumę czterocyfrową.

— Cóż to jest w porównaniu z sumami siedmiocyfrowymi, z milionami, które przyniosła panu śmierć Ewy.

— Niech pan tego więcej nie mówi — zażądał Martin prawie cichym głosem. Niemal zerwał się z miejsca, ale w tym samym momencie wysilił się jednak na uśmiech, co mu się zresztą udało. — Kiedyś tak czy owak odziedziczę wszystko po moim starym — nie chodzi przecież o te parę

milionów mniej czy więcej. I tak mam teraz więcej forsy, niż mogę wydać.

— Więc z pana powodu Ewa nie musiała umierać.

— No właśnie, panie Wander, to chciałem panu wytłumaczyć. Musi mi pan uwierzyć. Ewa była w gruncie rzeczy głupią krową. Nie umiała nawet dobrze dawać mleka. Sprawiała tylko kłopoty. Wszyscy chcieli ją jednak doić.

— Czy ma pan na myśli również mnie?

— Pewnie! Dojnej krowy się nie zabija. Trzeba się o nią troszczyć!

— Zaczynam rozumieć — zauważył Wander. — Nie uważa mnie pan za bezpośrednio odpowiedzialnego za śmierć Ewy. Jeżeli nie mnie, to kogo?

— Zaproponuje pan kogoś? — Martin Morgenrot patrzył wyczekująco.

— Ma pan nadzieję usłyszeć określone nazwisko?

— Owszem! — zawołał ostro. — To jest pańska jedyna szansa, Wander. Albo pan powie, co nie będzie zbyt trudne, kto jest sprawcą śmierci Ewy...

— Albo?

— Albo obciążę odpowiedzialnością pana, tylko pana! Niech pan wybiera!

Manifestacja Federacji Związków Wypędzonych odbyła się w Parku Kennedy'ego, zwanego wcześniej Parkiem Wyzwolenia, jeszcze wcześniej Parkiem Adolfa Hitlera, a w całkiem zamierzchłych czasach Parkiem Cesarza Wilhelma. Poza nazwą, jak gdyby nic się tu nie zmieniło: na tym terenie panował ciągle zwarty i gotowy, dumnie prowokujący niemiecki duch demonstracji.

Zwołani zostali przede wszystkim mężczyźni, ale również starsze kobiety, pełne zapału dzieci i patriotycznie nastawione wyrostki. Nie mieli nic do zarzucenia Kennedy'emu, podobnie jak i on swego czasu nic nie miał do zarzucenia wypędzonym. Uważali go wręcz za swojego stronnika, tym bardziej, że mogli być pewni braku ewentualnego sprostowania z jego strony.

Maszerowali bez żadnych przeszkód. Fanfary zaryczały, poczty sztandarowe stanęły na baczność, głowy z ciekawością kierowały się w jedną stronę. Zapowiedziano wystąpienie odpowiedzialnego za sprawę ministra, którym był Feldmann.

Karl Wander trzymał się z tyłu, oparty o drzewo, z którego jak ciężki owoc zwieszała się para megafonów. Niedaleko w łagodnym powiewie łopotała flaga z wyhaftowanym lub nadrukowanym godłem, jednym z owych symboli utraconych po przegranej wojnie prowincji.

Tłum, przybyły nie tylko z najbliższej okolicy, ale i z dalszych stron, zaczął wyrażać swój pełen wdzięczności entuzjazm. Zebrani klaskali, a niektórzy krzyczeli wzruszeni: „brawo!” Chodziło o wchodzącego właśnie na trybunę ministra Feldmanna.

Feldmann robił jak zwykle wrażenie pełnego godności, również wzruszonego. Ojcowskim gestem skinął głową. Podniósł także rękę, ale tylko po to, by zdjąć kapelusz i powachlować się nim choć przez chwilę w ciepłym, jesiennym słońcu.

— On też jest wielkim bratem — rozległ się jakiś dźwięk czny głos koło Wandera. — Rozwija się jednak stopniowo na ojca narodu. To zawsze działa, nie tylko w tym kraju, ale tutaj szczególnie silnie.

Nie patrząc Wander zorientował się, kto koło niego stoi. — Nie chce pan chyba, Peter, rozgrzewać swojej zimnej duszy w ciepłe wrzącego ducha narodowego.

— Od dłuższego czasu nie funkcjonuje to tak, jak by się chciało — odparł Sandman. — Popełniłem już tuziny artykułów na temat takich i podobnych imprez. Szczególnie ostatnimi czasy wyobrażałem sobie podczas pisania ziewa nie moich czytelników. Ten żwawy świat interesu przyzwył czaił się już do tego i dopóki nie płynie krew, większość widzi wszystko w różowych barwach.

W okolicy trybuny jeden z dziennikarzy telewizyjnych został otoczony przez porządkowych i, jak to nazywali, wyproszony. Praktycznie wyglądało to w ten sposób, że pośród okrzyków został wyrzucony siłą. Dyrygent orkiestry dętej „Dźwięki Ojczyzny”, przygotowany na tego typu in-

cydenty, rozpoczął od razu marsza „Starzy kamraci”. Minister gwarzył tymczasem z kierownikiem imprezy. Obecny również tak zwany przywódca opozycji wpatrywał się intensywnie w czubki swoich butów, mimo to wyglądał, jak gdyby miał się zaczerwienić.

— Świństwo! — krzyknął donośnie Wander do porządkowych, gdy ci maszerowali z pojmanym dziennikarzem w kierunku wyjścia. — To świństwo!

Mister Sandman zaśmiał się. — Czego pan chce? To i tak duży postęp, że te byczki nie leją od razu wszystkich, którzy im przeszkadzają. Nawet oni się nauczyli, że aby kogoś załatwić, nie trzeba go od razu zabijać.

— I to pana tak bawi, Peter?

— W każdym razie umiem czytać — zapewnił Amerykanin z niezmaconą wesołością. — Poza tym dysponuję niezłą pamięcią, co zadziało, gdy dzisiaj, w niedzielny poranek, sfrunął mi na biurko tekst przemówienia, które teraz będzie wygłaszał minister. Wie pan, w ten sposób zazwyczaj informuje się wcześniej dziennikarzy, żeby mogli niezwłocznie, a najpóźniej w poniedziałek rano wziąć się na całego do roboty.

— To przedsiębiorstwo wysyłkowe to nie moja sprawa — odpowiedział Wander. — Poza tym wszystko jedno, czego się pan domyśla, i tak pan tego nie może udowodnić.

— Pewnie, że nie! Minister nigdy oficjalnie by się nie przyznał, że ktokolwiek, a w tym wypadku pan, majstrował przy jego tekście.

— Co pan! — odparował Wander. — Takie niedzielne pogadanki są do siebie cholernie podobne.

— Tylko że to nie będzie niedzielna pogadanka! To, co słyszę w tej chwili, dziwnie przypomina rękopisy, które mi pan przekazał dziesięć lat temu. W każdym razie wiele pańskich sformułowań występuje mniej lub bardziej dosłownie w przemówieniu ministra.

Karl Wander milczał, jakby wsłuchując się w huczące dźwięki dochodzące z głośników. Po wybranym przewodniczącym zgromadzenia przemawiał niewątpliwie godny zaufania prezes ziomkostwa, po nim drugi, następnie trzeci.

Wystąpili Ślązacy, Pomorzanie i Prusacy, jak również Niemcy Sudeccy.

Wszyscy opowiadali o niewygasłej wierności niezapomnianej ziemi ojczystej, o niczym nie uwarunkowanym poczuciu więzi i świętych zobowiązaniach. Prawo musi być prawem, mówili. A do tego: nawet Murzyni w najczarniejszej Afryce mają możliwość samostanowienia. Czy nie należałoby wreszcie przedsięwziąć czegoś zdecydowanego?

Teraz zagrział odświętnie minister Feldmann. Przekazał pozdrowienia i podziękowania od kanclerza, niestety chwilowo zajętego. Kontynuując wstęp zapewnił o swoim pełnym zrozumieniu. Stwierdził, że dobrze jest mu znany widoczny tu duch świętych zobowiązań i niczym nie uwarunkowanego poczucia więzi. Obiecał, a nawet zaprzysiągł, że będzie mu stale wierny. Nikt nie może się mu oprzeć!

— Historia świata musi mieć swój sens — tłumaczył Feldmann czytając z kartki. — W przeciwnym razie nie stalibyśmy tutaj!

— Niezwykle szczęśliwe sformułowanie! — stwierdził uradowany Sandman. — Też pańskie? To wobec tego wiele panu wybaczam.

Wander kręcił głową, podczas gdy minister dalej perorował: — Nie można zapomnieć o interesach ludzi, którzy wbrew wszelkiemu prawu i wszelkiej moralności zostali pozbawieni ojczyzny!

— To rutynowe pustosłowie nie pochodzi ode mnie! — zastrzegł się Wander.

— To na pewno nie — potwierdził Sandman. — Tylko niech pan zwróci uwagę na ciąg dalszy!

— Tak duża determinacja, tyle wiary w lepsze jutro i tak wielkie zaufanie zasługują nie tylko na piękne słowa — krzychał już minister. — Potrzeba tu woli jednoznacznych decyzji, podejścia pozbawionego iluzji i wreszcie bezkompromisowego czynu!

Minister zbliżał się powoli do swojego ulubionego tematu, a mianowicie armii. Zaczął od zrozumienia interesów potrzebujących ochrony i wreszcie zagrział: — Wszyscy potrzebujemy silnej i niezawodnej ochrony, siły dającej

poczucie bezpieczeństwa, obdarzanej powszechnym zaufaniem. Oznacza to, że musimy dysponować armią przepelnioną nie sfalszowanym poczuciem odpowiedzialności. Ale pytam się teraz: czy tak jest w rzeczywistości?

Tak w rzeczywistości nie było, przynajmniej zdaniem ministra. Starał się swoje zdanie równie obszernie uzasadnić. Pochwalił wprawdzie „pełne dobrych chęci” morale żołnierzy, jak zaznaczył: wspaniałych ludzi, prawie wszystkich przepelnionych głębokim altruizmem, nie dysponujących jednak kompletną wiedzą o decydujących konsekwencjach. A dlaczego? — Nasi żołnierze nie mieli niestety szczęścia napotkać na swej drodze takich przewodników, na jakich zasłużyli!

— Darujmy sobie ciąg dalszy — powiedział Sandman i wyciągnął Wandera z kręgu huczących głośników. Zatrzymali się dopiero przy siatce ogrodzenia. — Co to znaczy? Czy Feldmann chce na gwałt zostać ministrem obrony?

— Nie wierzę w to — odparł z przekonaniem Wander. — W końcu obecny minister obrony jest długoletnim kolegą partyjnym Feldmanna.

— No i co z tego? Kto chce się przebić, musi się rozpychać łokciami, zostawić innych z tyłu, nawet jeżeli należą do tej samej partii. Nigdy pan o tym nie słyszał?

— Możliwe jest przecież, że chodzi tu o bezpośrednie zlecenie dane przez kanclerza — bronił się Wander. — Przecież chce on zmiany tych wątpliwych i nieprzejrzystych stosunków panujących w armii. Dlaczego miałbym się uchylać przed udzieleniem mu pomocy i stać z boku? Jak pan wie, jestem przekonany, że armia musi otrzymać wreszcie stabilny, duchowy fundament.

— A to piękne marzenie mógłby zrealizować akurat taki typ jak Feldmann?

— W obecnej chwili mało kto nadaje się do przeforsowania przełomu bardziej niż właśnie Feldmann. Przecież o to obecnie chodzi!

Peter Sandman oparł się o ogrodzenie. Prawie wyrozumiałym tonem powiedział: — A co będzie, jeżeli ten Feldmann wcale nie jest zainteresowany konstruktywnymi

zmianami? Niech pan sobie spróbuje wyobrazić, że chce mieć armię wyłącznie dla siebie! Nie sądzi pan, że to możliwe?

— Nie, nie wierzę w to — zapewnił z głęboką wiarą Wander.
— Działa przecież na zlecenie kanclerza!

— Mimo to niektóre fakty napawają mnie nieufnością. Z jednej strony to dzisiejsze przemówienie ministra zawierające sformułowania brzmiące przy tej okazji i w tych ustach co najmniej dwuznacznie. Z drugiej strony dość konkretne w swojej wymowie wywiady z generałem Keil-hacke zamieszczone w dwóch niedzielnych numerach tygodników o dużym nakładzie. Język tam jest naprawdę bardzo jednoznaczny. Ten pan próbuje się reklamować jako przysły inspektor generalny. I co dalej? Myśli pan, że doprowadza siebie i swoich ludzi ad absurdum? Byłaby to bardzo niebezpieczna gra... Uważa pan, że to na pana siły? Idźmy dalej. Prawie jednocześnie ukazuje się na rynku pięknie wydana broszura o wysokim nakładzie, z pięknymi ilustracjami: wszystko o Feldmannie, a w każdym razie to, co on uważa za godne uwagi. Jest przedstawiony jako perfekcyjny polityk, człowiek honoru, kochający ojciec rodziny, wysoce zasłużony, obiecujący, a jednocześnie nader skromny mąż stanu. A poza tym: Feldmann jako dzielny żołnierz frontowy, w ostatniej chwili oficer rezerwy, zdecydowany na opór przeciwko Hitlerowi, do czego w rzeczywistości wcale nie dochodzi. Jeżeli nie jest to wyrachowana próba sięgnięcia po władzę, to cóż innego?

— Och, Sandman! Postępuje pan zupełnie tak, jak to kiedyś opisał Alfred Polgar: wystrzelił pan strzałę i tam gdzie utkwiała, narysował pan tarczę, osiągając strzał w dziesiątkę! Spośród obecnych polityków Feldmann wydaje mi się najczystszy.

— Takie sprawia wrażenie łącząc powierzchowność dżentelmena z energią byka czyli decydujące cechy swoich poprzedników. Dodając do tego jego widoczną nie-przejrzystość i wieloznaczność otrzymuje się przytłaczającą mieszaninę. A jeżeli chodzi o jego czystość, którą pan tak ochoczo zakłada, to niewiele pan chyba wie o ludzkich

możliwościach. Także on, jak każdy zresztą człowiek, ma swoje mniej lub bardziej skrywane grzeszki.

— W to nie mogę uwierzyć.

— Usadowił się pan tak blisko źródła ewentualnych informacji. Mam na myśli Sabinę von Wassermann-Westen.

— Niech mi pan to bliżej wyjaśni.

— Nie w tej chwili — odparł mister Sandman z uprzejmą ironią. — Na razie będzie pan chyba musiał odbyć krótką lekcję historii współczesnej, z którą się pan raczej nie liczył — szerokim gestem wskazał poza plecy Wandera.

Ten obejrzał się i zobaczył tych samych ochroniarzy, którzy wcześniej odtransportowali dziennikarza telewizyjnego. Zbliżyli się teraz dostojnym krokiem w stronę Wandera. Wreszcie stanęli przed nim: tłuści, potężni i silni. W tym czasie zgromadzony tłum śpiewał hymn narodowy — a właściwie jego pierwszą zwrotkę.

Jeden z otaczających Wandera porządkowych zabulgotał: — Nazwałeś nas świniami!

— Powiedziałem tylko: „świństwo”.

— I nas miałeś na myśli! — otoczyli go ciasniej. — To podle oszczerstwo — chwycili go za ramiona. — Zakłóciłeś demokratyczny porządek, a my tutaj jesteśmy gospodarzami! — to mówiąc pociągnęli go w stronę bramy wyjściowej.

Jeden z nich spróbował tam wymierzyć Wanderowi potężnego kopniaka w tyłek, ale ten uchylił się, upadł na ziemię i potoczył się w bok. Uniosła się chmura kurzu.

Wtedy właśnie usłyszał głos Petera Sandmana: — Nie twierdzę, że pan na to zasłużył, ale coraz bardziej mnie kusi, żeby to jednak przyznać.

— No, jestem! — zawołał szofer Sobottke z właściwą sobie dobroduszną serdecznością. Uścisnął krzepko dłoń Wandera i sprawiał wrażenie jakby chciał właśnie rozgościć się w apartamencie 204. — Co mam robić, szefie?

— Jeżeli chodzi o mnie, to wszystko, na co ma pan ochotę, jeżeli pozwoli mi pan w spokoju pracować — Wander wskazał ręką zapisane kartki papieru i dodał z ostrożną

ironią: — Nie chce pan chyba przeszkadzać mi w pracy dla pańskiego pana Kruga?

— Nigdy w życiu! — zapewnił Sobottke. — Wręcz przeciwnie, chcę pana ubezpieczyć. Chodzi o to, żeby miał pan ułatwiony dostęp.

— Do czego?

— No, oczywiście do pańskich spraw.

Karl Wander odsunął na bok swoje papiery. Grubo ciosana przymilność Sobottkego budziła w nim nieufność.

— O ile pana dobrze rozumiem, panie Sobottke, nie poja wił się pan, żeby przekazać mi jakąś wiadomość czy może list, nie zamierza pan również niczego takiego ode mnie odbierać. Pańskim celem nie jest też prywatna wizyta.

— Jak najbardziej! Zgadza się! — stwierdził Sobottke i dodał z szacunkiem: — Tęga z pana głowa i trzeba bardzo uważać, żeby się jej nic nie stało. Pan Krug też tak uważa.

— Martwi się o mnie?

— Teraz już nie, bo jestem przy panu.

— Ale nie przypominam sobie, żeby pan wzywał.

— Wcale pan nie musi. Nasz pan Krug zawsze wie najlepiej, czego komu brakuje. Mówi do mnie: — Sobottke, nasz pan Wander ma do wykonania bardzo trudne i odpowiedzialne zadanie, musimy mu je ułatwić. I oto jestem!

Wander odsunął swoje krzesło do tyłu, pod ścianę, jakby szukał zabezpieczenia tyłów, a następnie zapytał: — Jak pan to sobie właściwie wyobraża?

— Normalnie, będę panu teraz towarzyszył przy wszy stkich pańskich przedsięwzięciach jako ochrona.

— Prawdopodobnie oznacza to, że ma mnie pan pilnować.

Sobottke spojrział teraz z nie skrywanym oburzeniem i w geście przysięgi podniósł obie ręce, wielkie jak szufle.

— Ależ panie Wander, co pan mówi! Nie może pan tego robić naszemu panu Krugowi, nie powinien pan tak w ogó le myśleć! Mam panu tylko towarzyszyć, na wypadek, gdy by pan mnie potrzebował.

— Gdy będzie to konieczne, wezwę pana.

— A co się stanie, jeżeli nie będę akurat osiągalny, jak pan będzie wyglądał?! Pan Krug nigdy by mi tego nie wy baczył. A może ma pan coś przeciwko mnie?

Wander uznał, że lepiej zaprzeczyć: — Pracuję indywidualnie i tylko na własną rękę. Moje metody mogę stosować jedynie wtedy, gdy jestem sam.

— Słowo honoru, że nie będę przeszkadzał. Nie będę doradzał, wtrącał się do rozmów, pozostanę całkowicie na uboczu, pan będzie tylko rozkazywał. Mogę przecież prowadzić pański samochód, nosić teczkę, rezerwować miejsca w restauracji, itd. Do tego sprawy prywatne: mogę załatwiać dziewczynki, mam parę adresów w Kolonii, wie pan przecież...

— Dziękuję, panie Sobottke, w dalszym ciągu nie odczuwam potrzeby- Poza tym najchętniej prowadzę sam, teczki nie posiadam i nigdy w życiu nie musiałem rezerwować miejsca w restauracji. Tak więc serdeczne dzięki za pańską uprzejmą propozycję!

— A co będzie, jak się panu coś stanie?

— Cóż takiego, na przykład?

— No, mogą pana napaść! To się przecież zdarza! I co będzie?

— A więc, o to chodzi — pomyślał głośno Wander. — Pan nie ma mnie pilnować, tylko przede wszystkim ochraniać! Krug wyznaczył pana po prostu jako mojego goryla. Czy on rzeczywiście myśli, że czegoś takiego potrzebuję? A jeżeli tak, to dlaczego, co go do tego skłoniło?

— Robi pan duży błąd! — zakrzyknął błagalnie Sobottke.

— Nie powinien pan tego robić, bo pan Krug naprawdę martwi się o pana! A pan go podejrzewa!

— Ja? A skąd pan wie?

— Ech, co tu dłużej będę mówił! — Sobottke starał się szybko zakończyć nieprzyjemną dla niego rozmowę.

— W końcu rozkaz to rozkaz, przynajmniej dla mnie, a szczególnie rozkaz pana Kruga! Sobottke, powiedział do mnie, od tej chwili zostajesz przekazany do dyspozycji pana Wandera, on jest teraz twoim szefem, koniec! Dlatego przyszedłem!

— W porządku — odparł energicznie Wander. — Jeżeli, zgodnie ze słowami pana Kruga, jestem teraz pańskim szefem, to wobec tego rozkazuję: Ma pan natychmiast zniknąć i nie pokazywać mi się na oczy. W razie potrzeby wezwę pana.

— Ale pan Krug...

— A jemu niech pan przekaże: pracuję wprawdzie według jego zaleceń, ale wyłącznie własnymi metodami. Albo w ogóle nie! To wszystko, żegnam, panie Sobottke. Serdeczne pozdrowienia dla naszego pana Kruga!

— Kiedy pana widzę, przestaje mi smakować moje irlandzkie piwo! — obwieścił nadinspektor Kołu na widok Wan-dera. — Mimo to zamówię trzeci kufel, bo piję teraz właśnie drugi. Do tego dzięki panu doszło!

— Niech się pan tylko nie upije — zalecił Wander dosiadając się. — Będzie pan jeszcze potrzebny, ponieważ wiem parę rzeczy, które poprawią panu humor.

— Mam potąd pańskich głupich historyjek! — oznajmił Kohl ponurym głosem. — Mam dosyć, bo wpakował mnie pan w cholerne gówno i ten smród działa mi na nerwy.

Siedzieli naprzeciwko siebie w knajpie matki Jeschke, przy nieforemnym stole w najdalszym kącie. Byli jedynymi gośćmi, a tuż nad nimi wisiała podobna do latarni lampa. Gospodyni zajmowała się polerowaniem szkła.

— Dla kogo pani właściwie pracuje, matko Jeschke? — spytał Kohl wyzywająco głośnym głosem.

— Dla moich gości — odparła spokojnie nie przerywając swojej czynności.

— A nie dla Urzędu Ochrony Konstytucji czy jakiejś służby specjalnej? Wszystko jedno jakiej, wszystkie mają brudne łapy! A może dostarcza pani informacji zakładom zbrojeniowym, centralom partyjnym czy agencjom prasowym?

— Bzdura — odparła energicznie matka Jeschke. — Pan chyba faktycznie nie znosi więcej niż jedno piwo.

— Zdziwicie się, jak się dzisiaj spiję! — ogłosił Kohl. — Ponieważ nie tylko muszę to zrobić, ale również mogę sobie na to pozwolić. Jestem na urlopie, i to bezterminowym, tak to się nazywa.

— Ma pan jakieś kłopoty? — zapytał Wander.

— Tak, od czasu, gdy zacząłem je sprawiać. Tak to w każdym razie wygląda.

Matka Jeschke wzięła szklanę, zupełnie bez potrzeby przetarła ją czystą ścierką, napełniła ciemnobrązowym irlandzkim piwem i postawiła przed Kohlem, mówiąc jednocześnie: — Jeżeli koniecznie chce pan wiedzieć, panie Kohl, to pracuję czasami jako donosiciel dla policji kryminalnej, ale wyłącznie dla inspektorów o nazwisku Kohl.

— Dobrze, dobrze — powiedział ten z ciężkim westchnieniem — przepraszam!

— Nasz przyjaciel skupił wprawdzie swoje podejrzenia na pani, miał jednak mnie na myśli — wyjaśnił Wander matce Jeschke.

— No właśnie — zawarczał potwierdzająco Kohl. — Powoli opanowuje mnie to fatalne przecucie, że tylko po to znalazł się pan w Bonn, żeby pozbawić mnie mojej zasłużonej emerytury. Bo co pan w końcu tutaj wyprawia?

— Dobrze — odparł Wander. — Jeżeli koniecznie chce pan wiedzieć, dlaczego miałbym to przed panem ukrywać? Krótko mówiąc: pracuję dla biura Konstantina Kruga, sekretarza partii. Na jego zlecenie mam zbierać materiały dotyczące armii.

— I chce mi pan wmówić, że to wszystko?

— Mnie to wystarczy.

— A co ma oznaczać ta sprawa, o którą się potknąłem? Co to miało znaczyć, to z Ewą Morgenrot?

— Z mojego punktu widzenia to czysty przypadek, nic poza tym!

Inspektor wypił do końca swoje piwo. — Jeszcze jedno! — zawołał do matki Jeschke. — I jeszcze jedno dla pana Wandera, żeby też mu się zrobiło niedobrze!

— Mam nadzieję, że bierze pan pod uwagę, iż mogłem mówić tylko to, co wiedziałem albo sądziłem, że wiem — powiedział Karl Wander.

— Jak najbardziej! — zapewnił policjant. — Jednak wydaje mi się teraz, że zadawałem panu niewłaściwe pytania. Powinienem być na przykład dokładniej wypytać pana o dyrektora Morgenrota.

— Czy to właśnie Morgenrot załatwił panu urlop?
Inspektor Kohl prawie zawstydzony skinął głową. — Po winienem być bardziej przewidujący!

- Nie uważałem pana właściwie za człowieka lekkomyślnego.
- Pozory mylą. Ja na przykład myślałem o panu: podstępny to on nie jest!
- Niech pan dalej myśli w ten sposób — zachęcił Wan-der. — Czy to takie trudne?
- Obiecał mi pan załatwić kontakt z tym doktorem Bergnerem — dlaczego pan tego nie zrobił?
- Ponieważ w międzyczasie stchórzyłem. Pracuję nad nim i myślę, że na dłuższą metę nie będzie mógł zaprzeczyć swojej uczciwości.
- Cholera jasna, panie Wander! — zawołał Kohl. — Co z pana za człowiek! Ciągłe ma pan chęć pchać się w setki spraw, które pana w ogóle nie dotyczą.
- To one mnie prześladują — odparł Wander wzruszając ramionami. — Ponieważ nie bardzo wiem, co z nimi począć, zdaję się na pana! To pan jest w końcu fachowcem!
- I to jakim! — potwierdził zrezygnowany Kohl. — Osłem uparcie ciągnącym kierat tak zwanej sprawiedliwości. Trudno! Tak więc z pewną starannością przeszukałem wszystko, co należało do tej Ewy Morgenrot. Było to naprawdę wszystko: sukienki, walizki, po prostu całe mieszkanie. Przy tym znalazłem coś, co pana na pewno zainteresuje. Był to klucz z wybitą liczbą 205. No i jak?
- Co pan chce przez to zasugerować?
- Nie od razu się zorientowałem, co z tym począć. Ale zaraz potem przypomniałem sobie Martina Morgenrota i jego twierdzenie, jakoby to właśnie z pana pokoju wychodziła Ewa.
- Czemu zdecydowanie zaprzeczam!
- Już pan nie musi. Obejrzałem sobie mianowicie dokładniej ten drugi korytarz, w którym znajdują się drzwi do pańskiego mieszkania. Teraz jestem prawie pewny: ten chłopaczyna pomylił drzwi! Ewa nie wychodziła wcale z pana pokoju, czyli 204, tylko z pokoju obok, z numeru 205!
- Kto tam mieszka?
- Zapewne nikt. Ten apartament oficjalnie nie jest w ogóle wynajmowany.

— Ale od czasu do czasu słyszałem dochodzące stamtąd odgłosy: lecącą z kranu wodę, zamykanie drzwi i tak dalej. Wszystko dość przytłumione, bo ściany są tam dość dobrze izolowane.

— Powiedziałem tylko, że nie jest wynajmowany, ale od czasu do czasu może być zamieszkiwany. Meble przecież są!

— Czy tylko Ewa miała klucze do niego?

— Jak wykryłem, klucze były albo są trzy. Dwa z nich administrator wydał Sabinie von Wassermann-Westen, zresztą na zlecenie wynajmującej agencji. Stało się to przed kilkoma tygodniami. Tylko jeden z tych kluczy był wśród rzeczy Ewy Morgenrot. Drugi miała owa Wasser-mann-Westen. Gdy spytałem ją o trzeci klucz, stwierdziła początkowo, że to nie moja sprawa, do której to opinii była z prawnego punktu widzenia upoważniona.

— O ile pana znam, nie popuścił pan.

— Oczywiście, że nie. W następnej rozmowie nasza baronowa stwierdziła, że nie wie, czy jakkolwiek trzeci klucz w ogóle istnieje i gdzie mógłby się znajdować. Być może po prostu zaginął. Niestety, zanim zdążyłem podążyć dalej w tym kierunku, wmieszał się Morgenrot.

— Bezpośrednio?

— Co pan! Taki głupi to on nie jest! Złożył tylko uprzejme, ale raczej wyraźne zażalenie, w dodatku dość wysoko! Napisał pewnie coś o braku poczucia taktu funkcjonariuszy policji, o brutalnym mieszaniu się w sprawy prywatne czy o ciągłym nachodzeniu nieutulonych w żalu krewnych i inne tego rodzaju bzdety. Jednak spłoszył w ten sposób całą gromadę przełożonych, zapewne także szyszki z jakiegoś ministerstwa. Na skutek tego moje metody zostały zbadane i oto siedzę tutaj! Jeżeli będę miał szczęście, do samej emerytury.

— I nic pan nie może zrobić?

— Bez doktora Bergnera, pana i porcji szczęścia, nic! A tego wszystkiego się raczej nie spodziewam.

— Może mógłbym trochę pomóc — odparł Wander. — Byłem mianowicie u matki Ewy Morgenrot. Według jej wyjaśnień, które uważam za wiarygodne, Ewa Morgenrot

musiałaby otrzymać po ukończeniu dwudziestego pierwszego roku życia połowę fortuny Morgenrotów.

— Niech pan powtórzy! — zawołał z niedowierzaniem Kohl.

— Dzięki egzystencji Ewy majątek Morgenrotów był praktycznie jak gdyby przepołowiony. Za niecałe dwa lata mogłaby odciąć swojemu opiekunowi dopływ powietrza i w tym stanie rzeczy zapewne by to uczyniła. Miałoby to jednak szereg konsekwencji: Dziedziczyłby w pierwszej linii nie syn, czyli Martin, a właśnie ona! A ewentualnej drugiej żonie Morgenrota miliony przeszłyby koło nosa. Czyż nie są to wystarczające motywy?

— A kto mógłby, pańskim zdaniem, zostać drugą żoną Morgenrota?

— Ta, o której pan myśli! Na biurku Morgenrota stoi jeden jedyny obrazek oprawiony w srebrną ramkę: zdjęcie Sabiny Wassermann-Westen.

Nadinspektor Kohl wlał w siebie Irish Stout jak lemoniadę. Następnie stwierdził po dłuższym zastanowieniu: — Jest pan cholernie uzdolnionym kusicielem, panie Wan-der! Uda się panu jeszcze doprowadzić do tego, że przestanę się czuć jak ktoś urlopowany. Tym bardziej, że sam też już widziałem takie zdjęcie, zupełnie gdzie indziej, ale również na honorowym miejscu. Muszę teraz pomyśleć i być może, doprowadzi to do tego, że coś zacznę robić. Tylko co?

Raport człowieka zwanego Jerome

— część szósta

O funkcji tak zwanej opinii publicznej, funkcjonowaniu aparatu władzy i wypadkach, do jakich obie te sprawy mogą doprowadzić.

Żadna armia świata nie jest oczywiście doskonała i każda z nich, w zależności od punktu widzenia, ma swoich bohaterów oraz łajdaków, karierowiczów i bydło rżeszne, mą-

czenników i sentymentalnych idiotów. Dlaczego w tym kraju miało być inaczej?

Minister Feldmann wiedział dość dokładnie, jak najpewniej wygrać swoją partię. Być może za pewien wzór posłużyło mu niegdyś usunięcie pierwszego ministra obrony Republiki Federalnej, chociaż ówczesne warunki były oczywiście zupełnie inne, a i w rozgrywce brali udział zupełnie inni ludzie. W obecnym pokerze Wander pozostał tylko kartą, nawet jeżeli był atutem. Zapewne, w różnych formach, udział w akcji brało jeszcze od trzech do pięciu innych informatorów.

Ustalić mogłem personalia dwóch z nich: pierwszy był dziennikarzem pracującym na rzecz zdecydowanie demokratyczno-niemieckiego koncernu prasowego, odpowiedzialnym za kwestię świadomości narodowej. Natomiast drugi to dawny pracownik gestapo, osobiście nie obciążony żadnymi zarzutami, wykorzystujący swoją nagromadzoną wiedzę fachową tylko za hojne honorarium.

Prawdopodobne jest, że Karl Wander nic nie wiedział o pozostałych współpracownikach, można jednak założyć, że domyślał się ich istnienia. Swoją część zadania wypełnił wzorowo, całkowicie zgodnie z założeniami Feldmanna, a jeszcze bardziej po myśli Kruga. Co to miało jednak oznaczać w końcowym rozrachunku, na razie nie wiedziałem, podobnie zresztą jak Sandman, nie mówiąc już o Wanderze.

Daliśmy się zmylić stosunkowo przejrzystymi układami tego przedsięwzięcia. Założenie wstępne było następujące: każda armia musi się liczyć z trudnościami i komplikacjami, które, jeżeli nie dają się ukryć ani zatuszować, dochodzą do wiadomości opinii publicznej. Ten fakt sam w sobie nie jest szkodliwy! Tak zwana opinia publiczna posiada mianowicie kiepską pamięć, ale za to niezwykle wydajny żołądek. Oznacza to mniej więcej tyle, że lud szybko zapomina, a trawi wszystko. Dzisiejsze, piękne słowa mogą już jutro brzmieć jak ponure wspomnienia z przedwczoraj. Najlepiej, gdyby możliwie szybko znikaly w otchłani zapomnienia.

Trik Feldmanna polegał na stworzeniu na krótko nieprzerwanego, silnego i możliwie jak najszybciej narastającego

niepokoju. Jednocześnie usiłował przeciwdziałać naturalnej skłonności do szybkiego zapominania, elektryzując lub szokując zmęczone mózgi skoncentrowanymi, alarmującymi wiadomościami.

Kiedy przedtem na przykład starfighterzy spadały na ziemię z monotonną regularnością, dezercerzy szukali azylu w Szwecji, prowadzono żmudne, śmieszne dochodzenia na temat marnotrawienia milionowych sum na zakup transporterów opancerzonych, kiedy pewien pułkownik wraz z doradcą rządowym i jednym z deputowanych zostali oskarżeni o przyjmowanie łapówek — wszystkie te sprawy traktowano jak powszednie, przypadkowe afery. Teraz stało się inaczej. Kiedyś opinia publiczna traktowała szykanowanie żołnierzy jako zjawisko mniej lub bardziej nieuniknione, nad którym niejednokrotnie przechodzono do porządku dziennego, chyba że nadawało się do koniunkturalnego wykorzystania przez dwóch lub więcej konkurentów.

Właśnie systematyczna eskalacja należała do taktyki informacyjnej Feldmanna. Wspólnie z Krugiem i kilkoma innymi politykami od dłuższego już czasu kładli nacisk na kontakty z wpływowymi dziennikarzami, które polegały na obopólnej korzyści. Jedna i druga strona otrzymywała wcześniejsze lub zastrzeżone informacje, wspólnie obmyślano celne ataki w prasie czy pozornie nie bezkrytyczne hymny pochwalne.

Tak zwana „robocza kolacja” w hotelu „Rheinhof” zjednoczyła Feldmanna, Kruga i pięciu innych partyjnych kolegów z siedmioma starannie dobranymi, chętnymi do współpracy dziennikarzami. To właśnie był wstęp.

Kiedy jednak za granicą zaczęły się szerzyć nie potwierdzone wiadomości o rzekomo utrzymywanych w tajemnicy wynikach pewnej ankiety, zgodnie z którą co trzeci żołnierz sympatyzował z neofaszystami, społeczne oburzenie z powodu tego oszczerstwa nie miało granic. Wtedy właśnie Feldmann ujął się za budeswerę, nie szczędząc jednak przy tym konstruktywnej krytyki, zanim odpowiedzialny minister zdążył w ogóle zareagować. Nie ów minister, ale właśnie Feldmann wygrał tę rundę w oczach zachodnio-niemieckiej opinii publicznej. Nigdy nie udowodniono, że

to właśnie sam Feldmann rozpowszechniał te dane, żeby móc im później wśród powszechnych owacji zaprzeczyć.

Feldmann zasłużył nie tylko na pochwałę kanclerza, ale i na pomoc ministra spraw wewnętrznych, również wybitnego taktyka, uradowanego faktem, że to nie na jego stołek Feldmann miał ochotę. Również aktualny minister spraw zagranicznych podobno odetchnął z ulgą i telefonicznie przekazał Feldmannowi wyrazy sympatii.

Tak więc początek był obiecujący.

Nie wpadliśmy jednak na to, żeby intensywniej zająć się życiem prywatnym jakiegoś tam Wandera. Tym bardziej przykre było późniejsze odkrycie, że losy tej kampanii rozstrzygnęły się prawdopodobnie nie w jakimś z pobliskich centrów władzy, ale po prostu w którymś łóżku.

***Pełni dobrej woli i najlepszych intencji
— wszystko jedno, kto w to uwierzy czy też
będzie musiał uwierzyć***

Generał Keilhacke starał się właśnie, zgodnie z zaleceniami, odgrywać wielkiego, zasłużonego wodza, stale gotowego do działania i osobiście troszczącego się o najmniejsze drobiazgi. Teraz obserwował zaprawę fizyczną.

Motorem tego przedsięwzięcia był znany magazyn ilustrowany, zainspirowany z kolei przez Wandera. Prawie sto zadów wypinało się w stronę generała, który spoglądał na nie z dobrotliwym uśmiechem. Właśnie w tej sytuacji został sfotografowany.

— Może być? — spytał towarzyszącego mu Karla Wandera.

— Niech pan spróbuje sprawiać wrażenie bardziej rzeczowego — zalecił Wander. — Inaczej ktoś mógłby wpaść na pomysł, że szczególnie interesuje się pan widokiem wypiętych tyłków.

— Niech pan z łaski swojej zaprzestanie tych świńskich aluzji — odparł oburzony generał.

— Panie generale, usiłuję tylko zwrócić pańską uwagę na fakt, że w swojej sytuacji musi się pan w każdej chwili liczyć z tego rodzaju insynuacjami — odparł Wander. — Moim zadaniem jest między innymi uodpornienie pana generała.

— Rozumiem — stwierdził generał. Ostatnio bardzo się starał przerosnąć samego siebie. — Na przykład mógłbym teraz powiedzieć: w zdrowym ciele zdrowy duch! Twórcza siła i krzepkie zdrowie! Wszyscy jak bracia! Słabeusze, pijacy, chorzy na serce, suchotnicy i inni kalecy zostawali nierzadko destruktywnymi literatami!

— No nie, panie generale, dokładnie w ten sposób bym tego nie mówił na pana miejscu, szczególnie wobec dziennikarzy, bo ci właśnie nierzadko miewają skrywane ambicje literackie. Mogliby się poczuć osobiście dotknięci, a tego trzeba unikać. Literaci są niebezpiecznie wrażliwi.

— Strasznie komplikuje pan sprawę, Wander — zawyrokował generał.

— To jest skomplikowane — zapewnił Wander. — Ale istnieje żelazna reguła: Niech się pan stara ciągle sprawiać pozytywne wrażenie! Niech się pan koncentruje na rzeczach, które pan popiera, powinien pan natomiast usuwać na dalszy plan wszystko to, czemu się pan sprzeciwia!

— Jestem człowiekiem szczerym! — wyznał Keilhacke. — Zawsze starałem się mówić to, co myślę!

— Chce pan być jednak generalnym inspektorem, a kto nim chce być, musi zostać także dyplomatą.

— No właśnie, nie jestem nim? — Keilhacke wskazał na swoją świętę, dyskretnie trzymającą się kilka kroków z tyłu. Towarzyszyła mu ona w leżącej między Moguncją i Wiesbaden sali gimnastycznej, wykazując wyraźne zainteresowanie. Dwóch było tak zwanych duszpasterzami wojskowymi: ewangelickim i katolickim. — Ostatnio bardzo coś takiego imponuje.

— Nie za bardzo bym na tym polegał. Nawet dobrze zamaskowany duch walki religijnej nastroja nieco nieufnie. Należałoby raczej zaakcentować, że armia oczywiście toleruje Kościół, traktuje go nawet z dużą dozą sympatii, nie jest jednak całkowicie zdana na jego pomoc.

— Duchowni mogą odejść! — zareagował energicznie generał.

Wander referował tymczasem dalej: — Dużo bardziej skuteczne jest ciągle demonstrowanie chęci zachowania czystości obyczajowej, co zawsze spotyka się z pozytywną reakcją szerokiej opinii publicznej.

— Z ust mi pan to wyjął!

— To właśnie powinien pan praktycznie zademonstrować.

— A w jaki sposób na przykład?

Generał dalej przechadzał się z miną znawcy wzdłuż szeregów półnagich męskich torsów, starając się tym ra-

zem spoglądać rzeczowo. Towarzyszący im fotografowie z uznaniem skinęli w stronę Wandera. Ludzie to kupią: półnadzy mężczyźni i zachodnioniemiecki majestat generalski. Keilhacke posiadał na szczęście profil wodza kwalifikujący się do podręczników szkolnych.

— Korzystna okazja nadarza się na przykład w Koblencji. Jest tam pewien major nazwiskiem Drau, na temat którego mogę dostarczyć szczegółowych danych. Jest on powszechnie nazywany „brudną świnia”, a to dlatego, że mówi i zachowuje się w sposób niebywale ordynarny. Jest to więc niezwykle szkodliwy osobnik, którego powinien pan usunąć w sposób możliwie nagłośniony.

— Zrobi się — przyrzekł ochoczo generał. — A może coś jeszcze?

— W pańskim okręgu znajdują się koszary imienia generała Hoepnera, które osobiście pan otwierał.

— Zgadza się! Hoepner był mianowicie rewelacyjnym dowódcą wojsk pancernych. Moim zdaniem zajmuje drugie miejsce po Guderianie!

— Ale ten Hoepner należał do spisku ludzi 20-go lipca — zauważył z uśmiechem Wander.

— Owszem, wiem — odparł wspaniałomyślnie generał Keilhacke. — Postępowanie tych ludzi, byli wszak godni szacunku, znałem wielu z nich, nie jest wprawdzie zgodne z moim rozumieniem obowiązku żołnierskiego, ale w ówczesnej, bardzo wyjątkowej sytuacji, niewątpliwie można uznać pewne rzeczy za konieczność wynikającą, że tak powiem, z racji stanu! Może być w ten sposób, Wander?

— W pańskiej sytuacji musi pan być przygotowany na wszelkie możliwe prowokacje. Szczególnie za parę dni, kiedy odwiedzi pana pewien amerykański dziennikarz o nazwisku Sandman. To szczwany lis, nie da się łatwo przechytryć!

— Ja przecież nie staram się nikogo przechytryć! — zaproponował żarliwie Keilhacke. — Staram się tylko wykorzystywać pewne niemieckie tradycje wojskowe. Wiem przecież, że ten 20 lipca to kompletny niewypał, daleko się na tym nie zajędzie! Ale co pan sądzi o wojnie wyzwolenczej przeciwko Napoleonowi? Dałoby się coś tym zwojować?

— Już się dało, w dodatku w tak zwanej przez pana NRD. Tamtejsi pańscy koledzy — generałowie uważają się za potomków Scharnhorsta i Gneisenau. Czy chce pan zaryzykować podejrzenie o współpracę?

— Oczywiście, że nie!

— Ale co poza tym? — pytał nieubłaganie Wander. — Chce pan może powołać się na Fryderyka Wilhelma I, „króla żołnierzy”, który bił swoich poddanych, a także swoich niby ukochanych wiarusów? A może na Wielkiego Elektora, którego generałowie dlatego wygrywali bitwy, że nie słuchali jego rozkazów?

— Co pan wobec tego zaleca? — zapytał jeszcze bardziej skołowany generał Keilhacke.

— Wszystko całkowicie od nowa! Kompletna godzina zero! Spróbujmy zacząć wszystko jeszcze raz!

Oniemiały i kompletnie zagubiony generał spoglądał teraz w dal, sprawiając jednak wrażenie pewnej monumentalności.

Fotografowie pracowali z zachwytem, pewni, że odkryli właśnie nowego geniusza pola walki, gdyż generał tak właśnie teraz wyglądał. Jego wzrok błędził z godnością ponad setką zadków.

— Wobec tego pójdziemy na całość! — zapewnił całkowicie już zdecydowany zawsze sprawiać wrażenie zdecydowanego Keilhacke.

— Pod warunkiem, że wie pan mniej więcej, co przez to należy rozumieć — dodał Wander bardzo cicho tonem uprzejmego doradcy.

— Pewnie jest pan cholernie ciekawy, nieprawdaż?

— zapytał Maksymilian Morgenrot powitawszy Wandera. Niespokojnie miotał się po klatce swojego biura. — A co pana ciekawi? Moje zachowanie, moja opinia, może jakaś propozycja?

— Przeszedłem wyłącznie dlatego, że mnie pan zaprosił — oznajmił Wander nie zajmując miejsca, szybkim spojrzeniem obrzucił biurko dyrektora: zdjęcie w srebrnej

ramce jeszcze tam stało. — Jeżeli dobrze pana zrozumiałem, chciał mi pan przekazać pewne materiały.

— Oto one! — stary Morgenrot wskazał na stosunkowo cienki plik papierów leżący w zasięgu jego ręki. — Nie więcej niż dwadzieścia stron, ale same fakty i liczby. Taktyczna bomba atomowa. Taki jestem!

— Przekażę te materiały panu Krugowi — odparł Wan-der nie ruszając się z miejsca. — Czy coś jeszcze?

Maksymilian Morgenrot sprawiał wrażenie, jakby chciał się pohuścić na ciężkich zasłonach okiennych. — Ostro się bierzecie do dzieła, przynajmniej ja tak to widzę.

— To dopiero początek — zapewnił Wander nie spuszczając Morgenrota z oczu. — Pańskie akcje idą w górę z dnia na dzień, może pan więc z nadzieją spoglądać w przyszłość. A może coś panu w tym przeszkadza?

— Niech pan siada! — zażądał niemal gwałtownie Morgenrot. — Przeszkadza mi, że pan tak stoi i czegoś wypatruje.

Karl Wander usiadł, ale nie przy biurku, tylko w fotelu stojącym koło drzwi. — Cóż mogę jeszcze zrobić, żeby pana uspokoić?

— To pan odwała całą robotę — zauważył Morgenrot przeskakując z jednej strony okna na drugą. — Muszę to uznać, zapewne pana nie doceniłem.

— Jeżeli to komplement, to może go pan sobie darować. Jestem zainteresowany wyłącznie uchwytymi rezultatami w naszej sprawie.

— Będzie pan miał rezultaty! Do materiałów dla Kruga i Feldmanna dołączyłem kartkę przeznaczoną wyłącznie dla pana. Niech pan to uważa za rodzaj prezentu.

— Prezentu? Z jakiej okazji?

— Założmy, że pana lubię, później powiem, dlaczego — Maksymilian Morgenrot przebiegł tym razem w stronę drzwi, zacierając ręce, jakby marzył. — Chodzi o pewnego dyrektora departamentu w bońskim Ministerstwie Obrony, niejakiego Ewertza. Na podstawie dostarczonych panu materiałów można mu dowiedzieć co najmniej dwukrotnego przyjęcia łapówki, raz na sumę dwudziestu tysięcy, a potem sześćdziesięciu ośmiu tysięcy marek.

— Czy to pewne?

— We wszystkich szczegółach! Musi się pan tylko obsłużyć, a o ile pana znam, uczyni pan to chętnie. Tym bardziej, że ów dyrektor dostał to stanowisko dzięki protekcji obecnego ministra obrony. Tak więc ma pan jedną pułapkę więcej.

— Dostarcza mi pan to bez żadnych warunków?

Maksymilian Morgenrot rzucił się do swego biurka, zagłębił w fotel, mechanicznym ruchem przysunął do siebie fotografię w srebrnej ramce i zauważył zasmuconym tonem: — Jeżeli jeszcze w dalszym ciągu muszę panu wyjaśniać, czego od pana naprawdę chcę, to nie jest pan chyba wart pieniędzy, które chcę w pana zainwestować.

— W jakiej ilości?

— Dziesięciu tysięcy marek.

Wander skinął głową i aby ukryć zaskoczenie udał, że się zastanawia. — O ile rozumiem, chce pan porozmawiać na temat Ewy.

— Co się z nią naprawdę stało?

— Wszystkie symptomy wskazują na samobójstwo — powiedział ostrożnie Wander.

— Czy istnieją inne podejrzenia?

— Oficjalnie najwyraźniej nie. — Wander opowiedział następnie o reakcji policji i przypuszczeniach doktora Berg-nera, jak również o diagnozie doktora Barranskiego.

— Jest to diagnoza w zasadzie nie do podważenia. Morgenrot siedział teraz w pozycji sowy, wciągając głowę coraz głębiej pomiędzy ramiona. — Dobrze, dobrze

— zasyczał. — Wszystko to jest możliwe! Zawsze mówią o samobójstwie, jeżeli nie mają kogoś, kto pomagał w ostatniej fazie. Ale co było przedtem, kto brał w tym udział?

— Czy to, czego pan oczekuje za te dziesięć tysięcy marek, to precyzyjna odpowiedź na pańskie pytanie? — zapytał Wander tonem zatroskania zmieszanego z ciekawością.

— Właśnie o to chodzi, panie Wander! — Morgenrot zerwał się i stanął za wysokim oparciem swojego fotela, zerkając stamtąd jak snajper z ukrycia. — Chcę wiedzieć możliwie jak najdokładniej, co się naprawdę stało i kto w tym maczał palce.

— Ewy pan w ten sposób nie ożywi.
— Niech mnie pan nie prowokuje takimi banałami!
— odpowiedział stary Morgenrot. — Nie mogę sobie pozwolić na żadną żądzę zemsty czy inne głupstwa. Chcę znać fakty i samemu się zabezpieczyć. Wiedząc, do czego ktoś jest zdolny, można się odpowiednio przygotować.
— Można również, dysponując odpowiednim materiałem dowodowym, profilaktycznie skierować go na odpowiednie dla pana tory.
— Zgadza się! — przyznał Maksymilian Morgenrot.
— Robi pan postępy, ma pan szanse zarobić swoje dzie sięć tysięcy.
— Nawet w przypadku, gdyby jako ewentualny sprawca wchodził w grę ktoś z pańskiego najbliższego otoczenia?
— Zwłaszcza wtedy! — odparł ostro Morgenrot. — Dopiero wtedy okazałoby się, że dobrze zainwestowałem!

— To, czego pan ode mnie wymaga, sprzeciwia się moim zasadom etycznym — stwierdził zmieszany doktor Bergner. — Nie mogę koledze podstępem wbijać noża w plecy.

— Przecież właśnie to chętnie by pan zrobił — zauważył Wander. — Widać to po panu!

— Źle pan reaguje, panie Wander — powiedział nadinspektor z przyganą w głosie. — A pan, panie doktorze, niewłaściwie rozumuje.

Karl Wander wypatrzył doktora Bergnera pod szpitalem i zawlókł go do knajpy matki Jeschke, gdzie oczekiwał już na nich Kohl. Zarezerwował stolik z tyłu w kącie, zamówił chłodne Chablis, niewinnie wyglądające, pachnące korzeniami i skutecznie pozbawiające zahamowań francuskie białe wino. Bardzo im smakowało, Kohl był niezwykle rozmowny, opowiadał o swojej pracy, o nie wyjaśnionych przypadkach. W końcu szybko zszedł na temat kryminalistów pomagających w powolnym uśmiercaniu innych ludzi, docierając w ten sposób do doktora Barranskiego.

— To nie ma nic wspólnego z właściwym rozumowaniem, tego się po prostu nie robi — bronił się Bergner. — A może pan, panie inspektorze, złożyłby donos na kolegę?

- Ależ oczywiście — odpowiedział ten z przekonaniem.
— Już to robiłem, nawet kilkakrotnie i zawsze z pełnym przekonaniem. Jak mógłbym jako uczciwy policjant tolerować obok siebie kryminalistów?

— Z lekarzami jest oczywiście inaczej — zauważył wyzywająco Wander. — W tym zawodzie nawet przy najlepszych chęciach każdemu się może zdarzyć, że wyprawi kogoś na tamten świat. Zapewne wyzwala to uczucie solidarności!

— Wcale tak nie jest! — zaprzeczył gwałtownie doktor Bergner. — Prawdą jest natomiast, że w tym zawodzie nie da się wielu spraw dokładnie udowodnić ani matematycznie wyliczyć. Właśnie zaufanie stanowi u nas fundament profesji!

— No, ładnie! — zawołał Wander, udając niezrozumienie. — On ma zaufanie do Barranskiego!

— Nie, panie Wander, nie mam. Wielokrotnie już o tym panu mówiłem.

— Ale nie chce pan wyciągnąć konsekwencji z tego stanu rzeczy!

Kohl wsłuchiwał się z lubością w kłótnię swoich rozmówców, ponieważ wszystko rozwijało się według wcześniej ustalonego z Wanderem planu. Pomyślał tylko: — Oby nasz partner nie rozwinął się za szybko i za daleko!

— Nawet co do Barranskiego można przypuszczać, że działa w dobrej wierze — stwierdził Bergner.

— O święta naiwności! — zawołał Wander z oburzeniem.

— Przecież sam pan w to nie wierzy.

— Bądźmy rzeczowi — wmieszał się Kohl, ponieważ dostrzegł nadarzącą się okazję, i nie mylił się! — O ile wiem, ma pan pewne, powiedzmy, zastrzeżenia, co do metod doktora Barranskiego. Czy są to po prostu przeczucia? Nie? Dlaczego? Na podstawie przypuszczeń innych kolegów? Też nie? Wie pan coś konkretnego?

— Jakie to ma teraz znaczenie?

— Tak więc zna pan konkretne szczegóły — podsumował z wyrachowaniem Kohl.

— Owszem! Ale wiedzieć i móc udowodnić to niestety dwie różne rzeczy!

— Komu pan to mówi! — westchnął Kohl ochoczo przytakując. Następnie wyrafinowanie łagodnym tonem, jakby zupełnie na marginesie, zapytał: — A kto, jeśli można wiedzieć, dostarczył panu tych wiadomości?

— To absolutnie poufne...

— Tajemnica zostanie oczywiście zachowana — obiecał bez zmruczenia oka Kohl. — O kogo chodzi?

— To moja wieloletnia, dobra znajoma — oznajmił po krótkim wahaniu doktor Bergner. — Od pewnego czasu pracuje w gabinecie doktora Barranskiego.

Wander z trudnością opanował radość, ale Kohl mocnym chwytem przytrzymał go za rękę. Następnie równie łagodnie kontynuował: — Pańska znajoma powierzyła więc panu te wiadomości, w takim razie nie muszę się chyba upewniać, czy ta młoda dama jest godna zaufania?

— W najwyższym stopniu! — doktor Bergner zapłonął entuzjazmem. — To, co zaobserwowała, zaalarmowało mnie! Ale co mogłem zrobić? Wtargnąć do gabinetu i interweniować? Może wspólnie z moją znajomą szukać dowodów?

— Tego pan oczywiście nie mógł uczynić — zapewnił z głębokim zrozumieniem Kohl. — Tylko że my właśnie to możemy! Nie chcę przed panem zatajać, o co przede wszystkim chodzi. O narkotyki! W moim biurze spoczywa wypchana teczka z aktami na ten temat, która jest w zasadzie bezużyteczna. Są to tylko podejrzenia, przypuszczenia, twierdzenia, spekulacje, ale nie dowody. Do tej chwili!

— Czy oczekuje pan ode mnie dowodów?

— Nie — odparł Kohl. — Nie chcę pana tym obciążać, a tym bardziej pańskiej znajomej. Nie weźmiecie państwo udziału w rozgrywce, pozostaniecie po prostu w tle. Potrzebuję jedynie konkretnej wskazówki we właściwym czasie. Może to być nazwisko, jakiś szczegół albo godzina. Wtedy my wkroczymy w akcję. Zgoda?

— Nie mam panu nic do powiedzenia — zapewniła Sabina von Wassermann-Westen spoglądając Wanderowi ponad głowę. — A to, co mi pan chce wyjaśnić, nie interesuje mnie.

— Jednak pani przysłała — stwierdził.

— Z najwyższą niechęcią — odparła Sabina z udawaną wyższością. — Prawie zablokował mi pan telefon i w zasadzie wymusił to spotkanie.

Spotkali się w Kolonii, w kawiarni „Pod dzwonem”. Otaczał ich blask chromowanej, wypolerowanej elegancji, a przytłumione światła odbijały się w ciemnym lakierze. Siedzący wokół ludzie zdawali się mieć na twarzach kosmetyczne maski i wyglądali jak zdjęci z okładek brukowych magazynów. Wszyscy wpatrywali się w szkarłatną suknię Sabiny.

— W każdym razie nie cierpi już pan z powodu dawnych osobistych wspomnień — powiedziała.

— Rozkoszuję się nimi. Jak dawno przezwyciężoną chorobą.

— Każdy musi sobie jakoś dawać radę sam ze sobą — zauważyła niedbale Sabina. — Ja w każdym razie wiem dość dokładnie, czego chcę. A jeżeli chodzi o nas, to nie wymagam od pana niczego i oczekuję, że nie będzie się pan wtrącał w moje sprawy. Wszystko jedno, kto...

— Kto będzie ich ofiarą — dokończył Wander.

— Niepoprawny! — stwierdziła niemal znudzona. Zamówiła dla siebie podwójną whisky z lodem i wodą sodową, nie interesując się Wanderem. — To wtrącanie się w cudze sprawy jest nie tylko natrętne, ale i głupie.

— Być może jestem głupi.

Sabina von Wassermann-Westen spojrzała na niego pogardliwie. — Kilka podstawowych reguł na użytek dnia codziennego nawet panu nie powinno być obce. Na przykład: to, co jeden wygrywa, drugi przegrał. Można spać z kim się chce, ktoś i tak zostanie przy tym zdradzony. Kto kocha, zawsze gdzieś budzi nienawiść. Trzeba się z tym pogodzić.

— Czy również z tym, że niektórzy uważają, iż mogłaby pani podnieść swój standard życia kosztem życia innych?

— Ciągłe ten natrętny, napuszony dramatyzm! — Sabina wpatrywała się spokojnie w ciemnoniebieską poświatę zmierzchu. — Z nudza mnie to zacierzwione, moralizujące zakłamanie, to prymitywne apostołstwo obyczajowe...

— Co zrobiła pani z Ewą Morgenrot? — spytał Wander ściszym głosem, pochylając się w jej stronę z upartą przenikliwością w oczach. — Moim zdaniem jest pani odpowiadająca za wszystko, co się z nią stało, a więc także za jej śmierć!

— Nic pan z tego nie rozumie! — Sabina von Wassermann-Westen sięgnęła po swoją szklankę z whisky i odstawiła ją z powrotem nie pijąc. — Wydawało mi się, że będzie dobrze, jeżeli ktoś się o nią zatroszczy.

— O nią? Czy o miliony, które miała odziedziczyć?

Sabina wyprostowała się, przekonywająco demonstrując swoją figurę, szkarłatny jedwab sukni opinał efektownie jej tułów. Wzięła głęboki oddech, co robiło jeszcze większe wrażenie. Cicho powiedziała: — Zapomnę o tej uwadze, która przed chwilą padła, bo jestem w pewien sposób wspaniałomyślna. Także wobec pana, o czym pan być może wcale nie wie. To przecież dzięki mnie może pan tutaj zarabiać.

— Czy oczekuje pani mojej wdzięczności?

— Wdzięczności nie oczekuję od nikogo, chodzi jedynie o spłatę zaległych rachunków. Przynajmniej to powinno być chyba jasne.

— A ile, pani zdaniem, jest warte życie ludzkie?

— Zagalopowuje się pan! — Sabina przestała się uśmiechać z wyrozumiałością. — Nie powinien pan tego robić, mając pracę, która nie tylko jest dobrze opłacana, ale i sprawia panu przyjemność. Chce ją pan stracić razem z paroma innymi rzeczami?

— Chcę wiedzieć, dlaczego Ewa Morgenrot musiała umrzeć. Z powodu milionowego spadku? Jeżeli tak, to z kim miał być podzielony. Z ojcem czy z synem? Którego z nich sobie pani wybrała?

— Niech pan przestanie — powiedziała Sabina prawie bezgłośnie.

— Co stało się naprawdę z Ewą Morgenrot? Kto dawał jej alkohol? Czy brała narkotyki? Kto ją pobił? Z kim spotykała się w apartamencie 205?

— Ani słowa więcej! — Sabina zacisnęła pięści. Nie pokryta makijażem skóra na jej szyi poszarzała.

— Systematycznie spychała pani Ewę w przepaść! Upijała ją pani, dawała jej narkotyki i w końcu ją pani sprzedała. Temu, kto ma klucz do apartamentu 205? Kto nim jest?

— Pan już sam nie wie, co mówi! — jej ręce drżały.

— Napuściła pani na Ewę jej przyrodniego brata? Czy może wystarczyło posłać tego Sobottke? Dlaczego Martin żyje w takiej zgodzie z tym playboyem Frostem? Na ile to pani zasługa i dlaczego? Chodziło o to, żeby Ewa wpadała z jednego kłopotu w drugi? Liczyła pani na to, że fantastycznie się to opłaci?

— Jest pan obrzydliwym, podłym szpiclem — odpowiedziała cicho Sabina. — Drogo pan za to zapłaci!

— Nie tak szybko! Jeszcze się okaże, kto za to zapłaci. Czy działała pani w porozumieniu z ojczymem Ewy czy na jego zlecenie. Na jego biurku stoi pani zdjęcie! Może chciała pani kryć kogoś, kto mógłby panią zniszczyć, kogo jednak również pani mogłaby zniszczyć, bo oboje za dużo o sobie wiecie? Kto to jest?

Sabina chwyciła swoją szklankę i jej zawartością chlusnęła Wanderowi w twarz. Następnie wstała i wyszła, krocząc dumnie i z pozorną godnością pomiędzy gapiącymi się ludźmi.

O tym wydarzeniu wypowiadał się później zgodnie tuzin świadków, z których żaden nie wziął strony Wandera.

— Jest pan już oczekiwany — powiedziała Marlena Wiebke, patrząc na zegarek. — Spóźnił się pan sześć minut.

— To możemy wobec tego jeszcze dziewięć minut poplotkować. — Karl Wander usiadł na krześle, które stało przed jej biurkiem. — Chyba mogę sobie na to pozwolić, żeby minister poczekał na mnie z kwadrans.

— Niekoniecznie minister Feldmann — odparła panna Wiebke chwytając za słuchawkę telefonu.

— Niech mnie pani jeszcze nie anonsuje — zaproponował Wander, kładąc rękę na jej dłoni, tak że słuchawka została z powrotem dociśnięta do widełek. — Chciałabym najpierw prosić o małą informację.

— Dlaczego nie — odpowiedziała cofając rękę. — Zwłaszcza gdyby chciał pan wiedzieć, kiedy odlatuje najbliższy samolot w pańskie rodzinne strony.

— Pani Marleno, chce się mnie pani koniecznie pozbyć?

— Tak, ponieważ wie pan już stanowczo za wiele. Zna pan nawet moje imię — odparła chłodno jednak z wesołymi iskierkami w oczach.

— Mnie to jeszcze nie wystarcza, chętnie bym z panią porozmawiał bardziej szczegółowo — stwierdził wpatrując się w nią.

— A o czym? Chyba nie o pańskich najrozmaitszych znajomościach z paniami? — zapytała kpiąco.

— Jeżeli tak dalej pójdzie, to będzie ich coraz mniej — Wander z wyrachowaniem silił się na żarty. — Na razie jednak nie upadam na duchu, zwłaszcza że jestem otaczany tak troskliwą opieką.

— Dobrze, że przypomniał mi pan o panu Sobottke — panna Wiebke nie traciła rezonu. — W tej sprawie mam panu przekazać, że pan Krug powiedział dosłownie rzecz następującą: Chodziło o zastosowanie pewnych środków ostrożności, ich odrzucenie przez pana zostało zaakceptowane i problem uznano za załatwiony.

— A co to oznacza dokładniej?

— Dokładniej nie można tego chyba wyrazić? — stwierdziła lekko rozweselona.

— Załatwiony oznacza zapewne w tym wypadku, że nie należy o tym wspominać ani słowem, a już w żadnym wypadku w obecności Feldmanna. Czy to właściwa interpretacja?

Marlena Wiebke prawie niezauważalnie skinęła głową i jakby z ulgą zapytała: — Czy coś jeszcze?

— No cóż, moglibyśmy na przykład porozmawiać jeszcze o kluczach, zwykłych kluczach do apartamentów. Wy daje mi się, że z łatwością mogłaby mi pani udzielić pewnych informacji, ponieważ, o ile wiem, to biuro ma bezpośredni wpływ na liczne firmy budowlane, do których należą z kolei agencje wynajmu mieszkań. Jedna z nich przekazała pani Wassermann-Westen pewną ilość kluczy, być może tylko dwa. Chciałbym wiedzieć, na czyje zlecenie i w którym posiadaniu znajduje się trzeci klucz.

— To nie moja sprawa — zareplikowała szorstko sekretarka.
— Nawet wtedy, gdyby było to dla mnie bardzo ważne?
— Zwłaszcza wtedy! — odparła. — Dużo ważniejszy byłby pański powrót do domu, zwłaszcza że pozwoliłyby uniknąć pańskich dalszych, nocnych odwiedzin. Niewątpliwie będzie pan do nich znowu zmuszony, kręcąc się tutaj jak słoń po składzie porcelany.
— Czy wie pani właściwie, że pięknie pani wygląda? — zapytał nagle Wander. — Nawet w pani okularach, w tej okropnej fryzurze i w tej workowatej sukience! Na pani względy trzeba sobie zasłużyć, a ja dopiero się do tego zabrałem.
— Ach Karl, znam kogoś, kto twierdzi, że jest pan całkowicie beznadziejnym przypadkiem, chyba nie bez racji!

— Nasza akcja wydaje się przebiegać planowo — oznajmił Krug po przyzwalającym skinieniu Feldmanna.

— To chyba nic dziwnego — zauważył Karl Wander. — Mentalność Niemców wygląda czasami jak czytanka dla szkoły podstawowej. Wystarczy tylko we właściwym czasie znajdować odpowiednie strony.

— Mimo to nie powinniśmy popadać w nadmierną pewność siebie — ostrzegł minister. — Wystarczy jeden błąd, żeby wyzwolić łańcuch nie kontrolowanych reakcji.

W celu rutynowego omówienia wyników akcji spotkali się tym razem w biurze Kruga. Zgodnie ze sprawdzoną praktyką siedzieli tylko we trzech, ponieważ układ ten był w zasadzie tym samym co poufna rozmowa w cztery oczy.

Między nimi spoczywały akta. Te zawierały jednak wyłącznie sprawozdania strony trzeciej, wycinki prasowe, kopie dokumentów i materiał statystyczny. Nie było tu żadnych dopisków pochodzących od Feldmanna czy od Kruga, żadnych uwag na marginesie, żadnych podpisów. Nawet okładki nie zawierały wskazówek świadczących o pochodzeniu dokumentów.

Również Wander przyswoił sobie te metody zabezpieczenia, które nie bez podziwu uważał za niemal doskonałe.

Nie dostarczał żadnych tekstów pisanych, a na naradach pojawiał się, podobnie jak Krug, wyłącznie z notatkami, które zaraz potem niszczył. Sam minister posługiwał się wyłącznie swoją godną podziwu pamięcią.

— Grupa zaprzyjaźnionych posłów zajmuje się właśnie urzędem pełnomocnika do spraw obrony — referował Krug.

— Właściwie nie urzędem, a jedynie samym pełnomocnikiem — skorygował z powagą Wander. — Nie można dopuścić, żeby przeprowadzono to w sposób tak nieudolny jak przed laty.

— Pełnomocnikowi należy z naciskiem uświadomić, że powinien się jasno opowiedzieć: po naszej stronie lub przeciwko nam — dodał Krug.

— Byłoby lepiej, gdybyśmy powiedzieli: próbujemy go przekonać — zalecił minister.

— Mogę w zasadzie zagwarantować powodzenie tego przedsięwzięcia — wyjaśnił Wander.

— Nie chciałbym się dopytywać, jakie metody zamierza pan zastosować, ponieważ rozumiem, że wszystko odbędzie się w sposób legalny — zauważył uprzejmie minister.

— Jak najbardziej — zapewnił Wander. — Założenie pętli na szyję ludziom jego pokroju nawet przy rygorystycznym przestrzeganiu zasad prawa nie jest zbyt trudne.

Krug zauważył, że jego minister nieco zeszywniał, chociaż jego twarz nie zdradzała najmniejszego poruszenia. Postanowił więc szybko przejść do następnego punktu. — Panie ministrze, pańskie przemówienie do Związku Wypędzonych okazało się bardzo efektywnym wstępem. Podobnie dobry efekt odniosły starannie przygotowane wywiady z generałem Keilhacke, co przyczyniło się do zwiększenia aktywności innych generałów. We właściwy sposób włącza się część naszej prasy, a do tego niektórzy komentatorzy radiowi i telewizyjni. Nawet przewodniczący komisji obrony zaczyna w sposób wysoce ostrożny działać.

— Można mu zresztą dopomóc — wtrącił Wander. — Mam wyjaśnić, w jaki sposób?

Minister uniósł ostrzegawczo dłoń. — Ewentualne szczegóły przekroczyłyby ramy dzisiejszego spotkania i są

wyłącznie pańską sprawą — wyjaśnił Wanderowi tonem pełnym zaufania. — Chodzi mi przede wszystkim o całość działań, które muszą być przekonywujące.

— Przejdźmy wreszcie do ministra obrony i jego generalnego inspektora — kontynuował Krug z wyraźną, choć ukrywaną satysfakcją będącą u niego odpowiednikiem radosnej euforii. — Obaj starają się wytrwać w powściągliwym milczeniu, co oznacza, że w ogóle nie zdają sobie sprawy, o co toczy się gra. Albo też nie dysponują żadnymi kontrargumentami.

— Przekonywać muszą oczywiście lepsze argumenty i koncepcje oraz ludzie o wyższych kwalifikacjach — oświadczył minister Feldmann ze śmiertelną powagą. — Wszystko powinno odbywać się przy ścisłym przestrzeganiu demokratycznych reguł.

— Wszystko powinno się teraz rozegrać bardzo szybko — dodał Krug. — Decydujący będzie najbliższy weekend, a zaraz potem parlament będzie mógł...

— ...o ile wcześniej nie nastąpi interwencja kanclerza, czego nie można wykluczyć — minister Feldmann wskazał na leżącą przed nim czerwoną teczkę. — Materiał, który napłynął od Morgenrota, wskazuje na ewidentne nadużycia inwestycyjne w obszarze przemysłu zbrojeniowego i jest wysoce alarmujący. Według niego roztrwoniono setki milionów marek, przeznaczając je na rozwój i próby nowych rodzajów broni.

— Jeżeli nie miliardy!

— Panie Wander, o ile wiem, podpisał pan oświadczenie o zachowaniu tajemnicy — powiedział minister Feldmann siłąc się na poufny ton. — Niech więc pan nie zinterpretuje tego jako wyraz braku zaufania, jeżeli przy okazji tych materiałów jeszcze raz przypomnę panu o bezwzględnej konieczności zachowania tajemnicy. Właśnie one należą do najbardziej tajnych...

— Kto właściwie coś takiego ustala? — zapytał Wander.

— Jest to często po prostu konieczne — stwierdził Kon-stantin Krug. — Z tym się zawsze trzeba liczyć.

— Mogą to być materiały dotyczące podstaw naszej obronności — dodał minister. — Gdyby dostały się do

wiadomości opinii publicznej, zinterpretowano by to zapewne jako zdradę stanu. A więc, panowie, do czasu mojej rozmowy z kanclerzem ani słowa! Żadnych aluzji, nazwisk! Nakazuje to interes państwa!

— No jak, zadowolony? — spytał Karl Wander starszego szeregowego Fünfingera.

— Zadowolony, to za mało — zapewnił ten niemal z wdzięcznością. — Jestem wręcz zachwycony!

— Czyli podobał się panu ten cyrk?

— Ten Keilhacke odstawił naprawdę niezłe przedstawienie i to przy pełnej widowni! — Fünfinger był rozmarzony.

— Prawie nie wierzyłem oczom i uszom. Gość wtoczył się do naszych koszar jak czołg, a zaraz potem strzelił taką mówkę, że mi łzy w oczach stanęły. Można było po prostu pęknąć ze śmiechu! O czci i godności człowieka, a zwłaszcza żołnierza. O moralności i obyczajowości! Wołał, że nie zamierza więcej tolerować w swoim otoczeniu żadnych świństw! A potem poprosił nas, żeby mu w tym dziele dopomóc, bo należy to do naszych obowiązków! Odzew był natychmiastowy i usłyszał właśnie to, co najwyraźniej chciał usłyszeć. W niecałe dwie godziny major Drau, ta brudna świnią, był na zawsze znowu w cywilu. Panie Wander, jakżeś pan to załatwił?

— Zupełnie przypadkowo pociągnąłem za właściwy sznurek — odparł.

Spotkali się znowu w tej samej knajpie, usiedli w kącie i zamówili szampana. Fünfinger stwierdził, że swoich przyzwyczajęń nie zmieni, a tym bardziej, że jest co oblewać.

— Dlatego dzisiaj ja stawiam! — oznajmił. Skłonił następnie dwie wypoczywające panienki wiadomej profesji do od dalenia się na co najmniej cztery metry, nie wykluczając późniejszego skorzystania z ich usług.

— Ja więc wypełniłem moją część zobowiązań — stwierdził Wander. — Teraz na pana kolej!

— Na mnie? — zapytał z ironicznym uśmiechem Fünfinger. — A co by się stało, gdybym powiedział: przykro mi, nic nie mam, wybrał pan sobie niewłaściwego kontrahenta! Co wtedy?

— Morde bym panu skuł — odparł Wander.

— Szkoda, że nie mógłbym panu zrobić tej przyjemności, bo jestem całkiem niezłym bokserem, mistrzem dywizji w wadze średniej. Nie wyglądam na takiego, co? Tak, na wiele rzeczy nie wyglądam, również na to, że udało mi się w tym brudnym świecie pozostać jak gdyby człowiekiem honoru. Czasem tego żałuję, ale nie w tym przypadku.

Fünfinger z namaszczeniem rozpiął bluzę munduru, sięgnął głęboko do kieszeni i wyciągnął gruby zwitek papierów związany gumką. Rzucił go Wanderowi i dodał: — Zawartość: pamiętnik, trzy poetyckie wyznania, pięć listów i do tego osiem adresów. Zadowolony?

Karl Wander wziął papiery do ręki i szybko przejrzał ich zawartość. Spojrzał ponuro i powiedział, naśladując Fiinfingera: — Zadowolony to za mało, ale tak strasznie zachwycony to jednak oczywiście nie jestem.

— Ja też nie — odparł Fünfinger. — Ale ujrzenie całkowitego upadku tej świni było dla mnie wiele warte. Użyje pan tego materiału?

— Tylko pośrednio, mam nadzieję, że to wystarczy.

— Tym lepiej — powiedział Fünfinger uśmiechając się znowu. — A może ma pan chęć na inne, podobne interesy? Może mógłbym wyświadczyć jeszcze jedną przysługę w zamian za następną paradę umoralniającą? Strasznie to lubię!

— Nie, dziękuję! — zawołał Wander. — Mam dość tych intymności, zresztą była to sytuacja wyjątkowa, nagła konieczność — wzruszył ramionami.

— Nie chodzi mi wcale o sprawy intymne — zaproponował Fünfinger. — Tyle jest innych możliwości, trzeba je tylko znaleźć!

— Jak pan to sobie praktycznie wyobraża?

— Potrzeba tylko trochę fantazji, a tę posiadam, jeżeli chcę — starszy szeregowy Fünfinger spojrzął przed siebie rozmarzony. — Na przykład niedawno zaginęła cała rakieta z głowicą magnetyczną. Po prostu zniknęła. Człowieku, ale się wściekali! A naród niemiecki zaczerwieni się wręcz ze wstydu, oczywiście tylko na krótko, że w ogóle mogło dojść do czegoś takiego.

— Ale skutkiem było wprowadzenie potrójnych i poczwórnych zabezpieczeń tego rodzaju obiektów!

— Jest pan fachowcem w sprawach wojskowych, kolego Wander, ale nie jest pan praktykiem dnia codziennego — stwierdził Fünfinger. — Zgoda, zabezpieczenia są ustawione koncentrycznie wokół obiektów. Tylko co z tego? Wystarczy przecież w zupełności, jeżeli taka rakietka czy coś w tym rodzaju, po prostu zniknie! A nie ma nic prostszego. Można ją po prostu zakopać albo wrzucić do wody! Na przykład do jakiegoś wykopu budowlanego. Tak łatwo nikt na to nie wpadnie, będą szukać aż do utraty tchu i wywołają zamieszanie, które łatwo wywęszą wszystkie gazety... No, co pan o tym sądzi?

— Jest pan geniuszem, panie Fünfinger — oświadczył Wander. — Niech pan to koniecznie zrobi, najlepiej jeszcze w tym tygodniu! Będziemy w stałym kontakcie!

— Czy nie miałem już przyjemności poznać pana?

— spytał uprzejmie przewodniczący komisji obrony.

— O ile się nie mylę, spotkaliśmy się u pani baronowej.

— Nie myli się pan — odparł równie uprzejmie Wander.

— Ale muszę niestety zakwestionować twierdzenie, że była to przyjemność.

Osobnik z twarzą belfra i świadczącym o wewnętrznej energii podbródkiem uśmiechnął się z wytrenowaną cierpliwością. — Piastując mój urząd muszę być przygotowany na wiele nieprzyjemności: uprzedzenia, pomówienia, intrygi a nawet próby szantażu... Oczywiście, z pewnością nie z pana strony, tym bardziej że zaanonsował pana przybycie mój wieloletni kolega partyjny Krug. Czy przybywa pan z określoną misją?

— Mam pana zaprosić na kolację — odpowiedział z uśmiechem Wander. — Dostarczę również pewnego in interesującego materiału do rozmowy.

Przewodniczący przyjął Wandera w siedzibie parlamentu, w oddanym mu do dyspozycji pokoju. Podłoga była pokryta jasnozieloną wykładziną, ściany kryły się pod boazerią z ciemnobrązowego drewna, zaś sufit i zasłony

błyszczały śnieżnobiało. Pomieszczenie nie kipiało więc przepychem, ale emanowało z niego dostojenstwo.

— Niech się pan rozgości — zaprosił przewodniczący wskazując na skórzany fotel.

Wander założył nogę na nogę i stwierdził: — Sprawia pan wrażenie człowieka beztróskiego.

— Taki rzeczywiście jestem — stwierdził przewodniczący nie bez pewnej dumy. — Powiedzmy: łut szczęścia. Nieszczęsna przeszłość niemiecka prawie nikogo nie pozostawiła bez skazy, ja jednak pozostałem, że tak powiem, czysty!

— Za wyjątkiem pewnego drobiazgu, który był zapewne przypadkowym błędem.

Przewodniczący zaśmiał się beztrósko. — Domyślam się, do czego pan zmierza. Chodzi zapewne o pewien fakt, który w swoim czasie został sztucznie rozdmuchany przez wschodnią propagandę, a następnie u nas całkowicie wyjaśniony — Wander został poczęstowany najlepszymi ha-wańskimi cygarami ze srebrnej szkatułki przeznaczonymi zapewne dla szczególnych gości. Za takiego niewątpliwie przewodniczący go instynktownie uznał. — W roku 1944 zostałem wpłątany w proces, w którym chodziło o domniemaną zdradę ojczyzny — wyjaśnił swojemu rozmówcy. — Moje zeznanie jako świadka nie mogło jednak zapobiec skazaniu oskarżonego na karę śmierci.

— Jest kilka wersji owych wydarzeń — wtrącił Wander.

— Rzeczywiście, jak już powiedziałem, istnieją takie. Zostały one nagłośnione przez wrogie państwu elementy, między innymi komunistów, w celu uniemożliwienia objęcia przezeń mnie stanowiska przewodniczącego. Dzisiaj nikt już tego nie traktuje serio.

— Ten skazany na śmierć podoficer nazywał się Kayser, Friedrich Johann Kayser, prawda?

— Tak. Starłem się zeznawać na jego korzyść, co on sam najlepiej mógłby potwierdzić. Niestety, nie żyje przecież!

— Jest pan pewny? — zapytał badawczo Wander.

Po raz pierwszy nastąpiła zauważalna reakcja. Przewodniczący otworzył usta i pozostał tak przez chwilę. Z pew-

nym wysiłkiem odpowiedział: — Przecież to, co pan sugeruje, jest całkowicie niemożliwe!

— Niech pan założy, że ten człowiek nie zginął, że udało mu się wtedy przeżyć. Załóżmy dalej, że chciałby on powrócić do tamtych wydarzeń i twierdzić, że do jego skazania doprowadziło jedno jedyne zeznanie świadka, pańskie!

— Błagam pana, to nie może być prawda! — zawołał przerażony przewodniczący. — To byłoby kłamstwo!

— Pana zdaniem!

— A dlaczego, pytam pana, ten człowiek, jeżeli rzeczywiście żyje, miałby opowiadać takie potworności?

— Może mu się nie podoba pański nos? — odparł Wan-der. — Może z czystego, dopiero niedawno odkrytego poczucia sprawiedliwości? A może ten osobnik chce objąć po prostu pewną obiecującą posadę, na przykład w zakładach zbrojeniowych, a ta została mu obiecana pod warunkiem ostatecznego wyjaśnienia niektórych faktów w jego życiorysie. Czy koniecznie chce pan się wdawać w te wyjaśnienia?

— Nie, tylko nie to! — przewodniczący zbladł jak ściana. — Pod żadnym pozorem. Tylko co mam robić?

— Kolacja o dwudziestej! — odparł Wander.

— Że też w ogóle ma pan jeszcze odwagę tu przychodzić, oszuście jeden! — zawołał na powitanie Peter Sand-man. — Jest pan jednym z najbardziej bezczelnych i chytrych łobuzów, jakich w życiu spotkałem!

— Tylko po to mnie pan zaprosił, żeby mi to powiedzieć? — Wander usiadł na krześle w biurze amerykańskiego dziennikarza. — Z przyjemnością zrezygnuję z komplementów tego rodzaju, przynajmniej z pana strony.

— Najwyraźniej próbował pan nawet mnie nabić w butelkę! Jest to chyba jedyna rzecz, na którą jestem wrażliwy.

— To jakaś bzdura, Peter! — zawołał zaskoczony Karl Wander. — To na pewno nieporozumienie, niech pan szybko powie, o co chodzi, zaraz to wyjaśnimy.

— Dobra, a więc karty na stół! — Peter Sandman sięgnął po przygotowaną już teczkę, zawierającą najwyraźniej stos

zdjęć. — Strasznie jestem ciekawy, jakież to wykręt pan teraz znajdzie.

— No dobra, Peter, a raczej mister Sandman! — Wan-der ze stanu kompletnego zaskoczenia wpadł w gwałtowne oburzenie. — Może pan sobie o mnie myśleć, co pan chce, być może nawet jest to częściowo prawdą! Z wyjątkiem dwóch rzeczy! Po pierwsze: nie oszukam nikogo, kto jest uczciwy w stosunku do mnie. A po drugie: nie będę traktował człowieka, z którym chcę się nadal przyjaźnić jak ostatniego idiotę! Czy wyraziłem się zrozumiale?

— Tak, Karl — odpowiedział Sandman, odzyskując swoją dawną serdeczność. Następnie jednak otworzył teczkę z poukładanymi jedno na drugim zdjęciami. — To jednak musimy wyjaśnić, bardzo nalegam! Jeżeli nawet nie z nieufności, to przez ciekawość.

— Zgoda, Peter, zaczynamy.

Sandman otworzył szufladę biurka i wyciągnął z niej butelkę whisky i dwie szklanki. — Napijmy się najpierw! Oby nie po raz ostatni! — Napełnił obie szklanki i jedną podsunął Wanderowi.

— Trzyma mnie pan w strasznym napięciu, Peter! Powoli sam się zaczynam zastanawiać, czy czasem rzeczywiście czegoś nie nabroiłem, o czym sam jeszcze nie wiem!

— To się zdarza! Tak więc niejednokrotnie zapewniał mnie pan, że chodzi panu jedynie o możliwie najbardziej radykalną reformę armii, ale niekoniecznie o to, żeby Feldmann został kolejnym ministrem obrony.

— Tak jest!

— Ja natomiast uważam go za człowieka, co do którego można przypuszczać, że sprzeda armię każdemu, kto mu zagwarantuje stanowisko kanclerza. Oznacza to, że chce sobie stworzyć instrument władzy i zdegradować go później do roli towaru, przy czym pan mu aktualnie pomaga.

— W żadnym wypadku! Do chwili obecnej jest mi jedynie wiadome, że Feldmann działa na zlecenie kanclerza lub za jego zgodą. Zapewnił mnie o tym i wierzę mu.

— Ja natomiast nie. Co więcej, jestem przekonany, że pomiędzy panem a Feldmannem istnieją pewne nieformal-

ne, żeby nie powiedzieć: osobiste związki. Związki, które zataczają podejrzenie szerokie kręgi.

— Przecież to absurd, Peter!

— Mogę tego dowieść — odparł Sandman. Niemal pieczołowicie otworzył swoją teczkę i wydobywszy z niej zdjęcie wręczył je Wanderowi. — Zaczniemy od tego: minister z rodziną! Pięknie zaaranżowana, malownicza idylla w ogrodzie: ona, typ sympatycznej, przeciętnej gospodyni domowej, do tego dwoje przymilnych dzieciaków, w tle najczystszej rasy owczarek niemiecki. Ponad tym, jak promienne słońce, dobrotliwy, łaskawy i niewątpliwie bogobojny ojciec rodziny, pan minister.

— Wspaniale! — stwierdził nieporuszony Wander. — Tylko, że ja w ogóle nie znam rodziny ministra, nigdy osobiście nie widziałem jego żony ani dzieci, nie mówiąc już o psie. To zdjęcie nic mi więc nie mówi.

— Chętnie na to przystanę — odparł Sandman. — Nie może mi pan z kolei odmówić pewnego wyczucia sytuacji. Otóż jestem pewny, że Feldmann tylko wtedy pokazuje się w całej okazałości, gdy coś sobie po tym obiecuje, jak na przykład tutaj.

Zdjęcie, które Wander ujrzał tym razem, przedstawiało pewne eleganckie towarzystwo, w typie określanym tutaj jako niewielkie, ale starannie dobrane. Było to mniej więcej dwunastu panów, prawie wszyscy we frakach, na piersiach orderzy, oraz panie, około sześciu, w sukniach wieczorowych. Pomiędzy nimi było dwóch ministrów, dwóch ambasadorów, jeden generał oraz inne osobistości z grona obecnej elity. Pośrodku stał Feldmann.

— Gospodyni tego dostojnego towarzystwa stoi po lewej stronie w pierwszym rzędzie — powiedział Peter Sandman.

— Nie omieszkałem jej zauważyć — odparł Wander.

— Właśnie z tego powodu mogę chyba założyć, że doskonale pan wie, jaką rolę odgrywa baronowa von Wassermann-Westen w tym towarzystwie.

— Obawiam się, Peter, że jest pan na fałszywym tropie!

— Może się pan obawiać wielu rzeczy, ale nie tego! Teraz właśnie nareszcie odkryłem, co tu jest grane! Mianowicie

Sabina, nasza baronowa, przypuszczalnie już od kilku lat jest, jak to się mówi, zaprzyjaźniona z Feldmannem. Oznacza to, że robi on dla niej pewne rzeczy, a ona z kolei w ramach wdzięczności jest gotowa zrobić to i owo dla niego.

— To niewykluczone — stwierdził po zastanowieniu Wander.

— Sabina ma głowę do interesów.

— Czy nie wyraziłem się wyraźnie? — zapytał Sandman nieco zdziwiony. — Oni sypiają ze sobą!

— Naprawdę? — wyraził nie mniejsze zdziwienie Wander.

Przez chwilę patrzyli na siebie, potem Sandman roześmiał się tubalnie. — Chłopie — najlepszy z pana pokerzysta, jakiego spotkałem! Ciągłe pan próbuje blefować!

Sandman wyjął z teczki następną fotografię i tryumfalnie podniósł ją do góry pokazując Wanderowi. — Właśnie to znalazłem podczas porządkowania starych papierów, które dziesięć lat temu dostały się za pana pośrednictwem w moje ręce. Oto niegdysiejszy enfant terrible bundeswery prywatnie!

Jak atutową kartę rzucił następnie na stół zdjęcie przedstawiające Wandera. Ten spojrzął na nie krótko. Był w mundurze oficerskim na balu prasy w Monachium. Wyraźnie wesoło nastrojony młody człowiek, szczupły i przystojny. Z uśmiechem wpatruje się w dziewczynę u swojego boku. Była to Sabina!

— Zgodzi się pan, że to zdjęcie to osobliwe znalezisko? — Gdy Wander skinął głową, pytał dalej: — Zgodzi się pan również, że mogłem na jego podstawie wysnuć pewne wnioski? — Wander skinął znowu.

— Tak więc, mój drogi, pętla się zaciska i to na pańskiej szyi. Dowodzi to, że pomiędzy Sabiną, Feldmannem i panem istniały dużo bardziej ścisłe związki, niż to można było przypuszczać. Jest to więc przedsięwzięcie powiązane z niezwykle intymnymi, prywatnymi inwestycjami. A może pan temu zaprzeczy?

Karl Wander energicznie potrząsnął głową. — Owszem, przyznaję, że znałem Sabinę Wassermann, jak się wówczas

nazywała. Następnie jednak nasze drogi rozeszły się w niezbyt ładny sposób, może przy jakiejś okazji opowiem panu o tym. Sądziłem potem, że skończyłem z nią bez żalu i definitywnie. Spotkałem ją dopiero tutaj, najpierw osobiście, a potem na oprawionej w srebrne ramki fotografii na biurku Maksymiliana Morgenrota. Powinien pan sam to sprawdzić, Peter.

— Nie omieszka — odparł z ulgą, wyraźnie ożywiony. — Z tej sytuacji zaczynają wynikać zupełnie nowe aspekty.

Raport człowieka zwanego Jerome

— część siódma

O problematyczności ustalania wiążących reguł — stale trzeba się liczyć z tym, że nie wszyscy się będą do nich stosować.

Kiedy rozpoczęło się wielkie przedstawienie, dla laików wyglądające niezwykle przekonująco, zabrałem się za przywleczone przez któregoś z naszych młodych pracowników tak zwane oświadczenie jednego z szefów policji kryminalnej. Zapewniał on w nim co następuje: „Muszę zaprzeczyć twierdzeniu, że w moim wydziale kiedykolwiek doszło do odsunięcia któregoś z funkcjonariuszy od prowadzenia jakiegokolwiek sprawy”. Chodziło przy tym o Kohla. A dalej: „Jeżeli jednak powstało takie wrażenie, to mogło być one jedynie wynikiem administracyjno--technicznie uwarunkowanej konieczności zmiany stosunków kompetencji”.

Zbyt wiele mi to wówczas nie mówiło, tym bardziej, że odnoszę się z wyraźną niechęcią do biurokratycznej niemczyzny. Poprzestanie na tym było oczywiście błędem. Za równie mało znaczące uznaliśmy wówczas doręczone mi sprawozdanie na temat pewnej rozmowy z przewodniczącym komisji obrony nagranej w „późnych godzinach nocnych” na taśmę magnetofonową. Zawierała ona między innymi następujące sformułowania: „pani baronowa wydawała

mi się więc osobą o wysokiej pozycji towarzyskiej... tym bardziej, że należący do jej najbliższych znajomych pan minister... co stwarzało atmosferę zaufania..."

I tak dalej. Zwykła luźna rozmowa, pomyślałem. Zauważyłem jednak, że Feldmann i Wassermann-Westen jadą jak gdyby na tym samym wózku. Poza tym: oboje obrabiają, zapewne wspólnie, przewodniczącego komisji obrony. Kogo poza tym? Dlaczegoż by nie? Polityka i interes nigdy nie były dla mnie skłóconymi braćmi. Ludzi pokroju Wan-dera na szczęście nie ma za dużo.

Na jego temat miałem wkrótce stopy materiałów, które jedynie pobieżnie przeglądałem, ponieważ nie można się już było z nich dowiedzieć niczego zdecydowanie nowego. Jego portret rysował się jednak coraz wyraźniej.

Najwidoczniej mieliśmy do czynienia z egzemplarzem lekkomyślnie apolitycznym, dla którego osobiste uczucia zawsze miały pierwszeństwo. Zaproponowałem Sandmano-wi, żeby sobie z nim dał spokój, jednak Sandman w tym punkcie nie dawał się przekonać. Twierdził, że większość tych zgromadzonych „ocen” to bezczelne insynuacje, ponieważ ich doręczyciele mieli czelność podsumowywać całe życie człowieka w kilku liniijkach.

Jedna z tych ocen pochodziła od niejakiego Unterpoin-tera, profesora gimnazjum, byłego nauczyciela Wandera. Pisał on: „...wszystko trzeba widzieć w należytych uwarunkowaniach, ...był niewątpliwie zdolnym uczniem, ...mimo to jakby czymś obciążony, ...najwyraźniej nigdy nie czuł się dość uhonorowany ...pochodząc z prostego środowiska ... ojciec ślusarz czy coś w tym rodzaju ... matka chorowita ... nie przyznając się do tego cierpiał z powodu swojego pochodzenia..."

Wander miał silną skłonność do literacko brzmiących komunalów. Być może powinien raczej zostać poetą, pisał przecież wszelkie możliwe rzeczy. Krótko mówiąc — idealny dostawca tekstów. Od czasu do czasu pozwalał sobie na sformułowania typu: „Struktury organizacyjne każdej władzy są pewne swojej egzystencji tylko wtedy, gdy uda im się wyhodować możliwie jak największą liczbę głupich, naiwnych i poslušnych poddanych". Jest to oczywiście pra-

wda, jednak emocjonalne uniesienia z tego powodu dowodzą żalostnej nieżyciowości.

Podobnie zresztą jak stwierdzenie: „Jedyny testament naszych ojców to totalna plajta”.

No i co z tego?

Taki właśnie był ten pocziwina, miał w sobie coś ze światowego rewolucjonisty w wersji kieszonkowej. Nie było to w sumie nic szkodliwego, ponieważ nawet średnio mądrzy władcy tolerują nadwornych błaznów. Kłopoty zaczynają się dopiero, gdy zaczynają oni napływać stadami, początkowo nawet niewielkimi.

Tak właśnie teraz się stało.

8

W środku tajfunu może być strefa ciszy. Na nią właśnie trzeba uważać!

Co mogę dla pana zrobić? — zapytał uprzejmie pełnomocnik do spraw obrony. — Nic! — odparł siadając Wander. Lekceważącym spojrzeniem obrzucił wnętrze. Było to przeciętne biuro górnej klasy średniej, wyściełone potężnym, seryjnie tkany dywanem, zastawione niezgrabnymi, tanimi meblami.

— A czemu zawdzięczam pańską wizytę? — równie grzecznie drążył pełnomocnik.

— Chciałbym pana zaopatrzyć w lekturę.

Obecny pełnomocnik do spraw obrony, były deputowany, podobnie jak i poprzednicy z wykształcenia prawnik, do tego oficer rezerwy, najwyraźniej umiał już sobie poradzić ze swoją niełatwą, a obecnie wręcz bardzo trudną rolą. Jego zmęczone oczy spoglądały cierpliwie, a męska twarz emanowała demonstracyjnym przemęczeniem. Wszystko to budziło uczucie głębokiego zaufania.

— Cóż więc zamierza mi pan zaoferować? — zapytał jeszcze raz, spoglądając na Wandera z wyraźną przychylnością.

— Jestem tu właściwie tylko w roli listonosza — oznajmił Wander. Rozsunąwszy zamek błyskawiczny swojej aktówki, wydobyl z niej zwitek papierów i podsunął je swojemu rozmówcy. — Są to tylko kopie, ale bez trudu rozpozna pan, że istnieją również oryginały. Będzie pan to chyba mógł potwierdzić w ciągu najbliższych dziesięciu sekund.

Pełnomocnik wziął papiery do ręki: pamiętnik, wiersze, listy i adresy. Pospiesznie przekartkował zawartość i zacisnął zęby, a jego twarz zabarwiła się na szaro. Wanderowi

przypominało to scenę z hollywoodzkiego filmu, kiedy za chwilę ma zabrzmieć przejmująco głośnie muzyka. Motyw katastrofy.

— Co pan zamierza? Czego pan chce ode mnie? — zapytał pełnomocnik.

— Chciałbym panu przekazać zaproszenie na kolację w małym gronie! Dzisiaj o dwudziestej w hotelu „Rheinhof”. Pan Krug zaprasza!

— Jestem człowiekiem ostrożnym, takim się stałem — to niezwykle wiarygodne oświadczenie pochodziło od niejakiego Jamesa Leinbergera, dziennikarza, korespondenta licznych gazet o nakładzie średniej wielkości. — Znam się na tej branży i trudno mi wcisnąć kit!

— Przed naszym spotkaniem podałem panu rodzaj referencji, a mianowicie nazwisko pana Kruga — Wander otworzył stojącą w jego apartamencie szafkę z napojami. — Porozumiał się pan z nim?

— Oczywiście — odrzekł James, którego prawdziwe imię brzmiało Jakob. Był on człowieczkiem chudym, bladym i poruszał się jakby z pewnym wysiłkiem. Teraz posuwał się właśnie w stronę butelek. Wybrawszy oczywiście najdroższą markę, zwrócił się znowu do Wandera: — Co mi pan zaoferuje poza tą whisky?

Ten wręczył mu kartkę, na której pismem maszynowym podane były różne informacje na temat Ewertza, dyrektora departamentu w ministerstwie obrony. Chodziło o przyjęcie łapówek na sumę dwudziestu i sześćdziesięciu ośmiu tysięcy marek. Podano także daty, nazwy banków i numery kont.

James Leinberger przeczytał i z nie zmienionym wyrazem twarzy stwierdził: — Użyteczne, jeżeli uda się udowodnić!

— Może się pan upewnić w zakładach Morgenrota w Essen, u pewnego upoważnionego księgowego, którego nazwisko figuruje jako ostatnie na pańskiej kartce.

— A ten powie, że to wszystko prawda? — zapytał z wyraźnym niedowierzaniem James.

— Oczywiście, nie bezpośrednio. Jest on jednak przygotowany na ewentualne pytania i najpierw będzie oczywiście odmawiał potwierdzenia czegokolwiek, co jest tutaj jedną z reguł gry. Musi pan wobec tego spytać, czy jest w stanie zaprzeczyć tym faktom. Zamilknie wtedy na chwilę w zakłopotaniu, a potem odpowie z ociąganiem: „nie”. Będzie to praktycznie rzecz biorąc potwierdzenie.

— A czy otrzymam je na żądanie także na piśmie?

— Nawet to zostało przewidziane — potwierdził Karl Wander.

— Piękne, podstępne łajdactwo — pochwalił James. — Całkowicie w stylu Kruga. To oczywiście duży komplement. Ile to ma kosztować?

— Nic.

— Niechętnie przyjmuję prezenty — oznajmił ponuro James Leinberger. — To wbrew moim zasadom i ogólnie obowiązującym w branży zwyczajom. Jakich informacji oczekuje pan wobec tego ode mnie?

Karl Wander spojrział na opróżnioną już prawie w jednej trzeciej butelkę i ostrożnie powiedział: — Chciałbym wiedzieć coś więcej na temat ministra Feldmanna, a zwłaszcza jego życia prywatnego.

— Z przyjemnością — zapewnił ochotczo James. — Co prawda nie wiem zbyt dużo na ten temat, ale parę ciekawych szczegółów zawsze się znajdzie. Zna pan niejaką Erikę Ritter?

— Nie.

— No to niech się pan cieszy. — Kartkę z informacjami na temat Ewertza schował do portfela, a butelkę z whisky przyciągnął jeszcze bliżej. — Owszem, sam muszę przyznać, posiadała ona pewne specjalne zdolności.

— Także w związku z Feldmannem?

Na bladym, wyniszczonym obliczu Jamesa zakwitł grymas uśmiechu. — Niezależnie od tego, w którym miejscu jej spokojnego mieszkańka się stało, siedziało czy leżało, dostrzegało się jego. JEGO — wielkimi literami. Na jej stoliku nocnym stało JEGO zdjęcie paradne: ON jako obiecujący mąż stanu i potencjalny ojciec narodu. W poprzek zdjęcia, na brzuchu i piersi, widniała wypisana przez

niego potężnymi literami dedykacja: dla Eriki Ritter, mojej zawsze wiernej współpracownicy, z podziękowaniem za wzorowo wypełniane obowiązki.

Karl Wander z uwag[^] napełnił szklankę gościa. James spojrział na nią pod światło, uśmiechnął się znowu i kontynuował: — Cieszyła Feldmanna wiernym wypełnianiem obowiązków przez ponad rok. Potem pozbył się jej, chyba najlepszą z możliwych metod: poprzez awans i mianowanie na urzędnika państwowego.

— Opłaciło się jej więc.

— Nie tylko to. Ten stosunek wiele dla niej znaczył i nie mogła o nim zapomnieć. Uświadomiłem sobie to przy okazji jednej z jej intymnych specjalności. W stanie silnego podniecenia miała zwyczaj gryźć. Wgryzała się we wszystko, co było akurat w jej zasięgu.

— Był pan na to oczywiście przygotowany?

— Nie zawsze — odparł James. — Zazwyczaj udawało mi się zasłonić poduszką. Raz tylko nie miałem innego wyjścia, jak dać jej porządnie po pysku.

— Przypuszczam, że na tym państwa znajomość się zakończyła.

— Wręcz przeciwnie, dopiero się zaczęła! Ona była wręcz zachwycona, po prostu wyła z zachwytu. Potem wyjęczała z uwielbieniem: — Jesteś zupełnie taki sam jak on!

— Muszę natychmiast porozmawiać z naszym chlebobawcą — zażądał Karl Wander.

— Pan Krug jest teraz zajęty i nikogo nie przyjmuje — wyjaśniła Marlena Wiebke.

— Ała ja muszę wyjaśnić ważną sprawę, która nie cierpi zwłoki!

— Jedyną rzeczą nie cierpiącą zwłoki jest pański wyjazd — odpowiedziała, przypatrując mu się uważnie.

— Niech pani da spokój! A może pojechałaby pani ze mną?

— Niech pan nie udaje takiego dowcipnisia! Należy pan do zupełnie innego gatunku.

— Przejrzała mnie pani, podobnie zresztą jak mój przyjaciel Peter Sandman i Bóg jeden wie, kto jeszcze! Tak, jestem czymś w rodzaju sępa! Troszczę się jedynie o mój żołądek i usiłuję sprzedawać swój mózg. Resztki charakteru oddałem do przechowalni bagażu na lotnisku Kolonia Wahn. Nie jest to jednak przyczyną, dla której nie mogła by mnie pani zaanonsować szefowi.

Niewzruszona odparła: — Ja mam swoją pracę, pan ma swoją — nasze zadania wcale nie muszą być zgodne. W każdym razie w dniu dzisiejszym nie ma dla pana wolnego terminu.

— Nawet, jeżeli muszę porozmawiać z Krugiem o ważnym telegramie? Oto on!

Podał jej telegram, ale panna Wiebke dała mu do zrozumienia, że nie chce go wziąć do ręki. Wobec tego położył go na biurku i przesunął w jej stronę. Marlena udawała, że nie zwraca na niego uwagi, ale szybkim spojrzeniem zarejestrowała treść:

RÓŻA ZASADZONA ZGODNIE Z UMOWĄ STOP KWITNIE ŁADNIE ALE W UKRYCIU STOP OCZEKUJĘ SZYBKIEGO POTWIERDZENIA STOP

Z POZDROWIENIAMI FÜNFINGER

— Co to ma znaczyć? — zapytała z widocznym zakłopotaniem. — W zasadzie brzmi to podobnie idiotycznie jak wszystko, czym się pan zajmuje.

— Podejrzewam, że nic pani na ten temat nie wie — stwierdził rozweselony.

— Oczywiście, że nie — zapewniła prawie gwałtownie Marlena. — Mnie w każdym razie nie płacą za wtrącanie się w sprawy innych ludzi, zostawiam to takim, którzy czują się do tego powołani. Zaraz zamelduję panu Krugowi, że prosi pan o natychmiastową rozmowę.

Konstantin Krug wyszedł mu naprzeciw aż do przedpokoju podając nawet rękę. Jego twarz nie wyrażała jednak żadnej emocji poza przylepionym lekkim uśmiechem.

— Czy ma pan dla mnie coś ważnego?

— Z magazynu bundeswery w okolicach Koblencji zniknęła przed dwoma lub trzema dniami pewna skrzynka.

— Dlatego chciał pan ze mną rozmawiać? 4* zapytał z niedowierzaniem Krug. — Czy to wszystko?

— To wszystko, ale to wystarczy! Był to bardzo dokładnie strzeżony ładunek. Ta skrzynia zawierała trzy głowice raket krótkiego zasięgu z magnetycznym systemem naprowadzania. Jest to ściśle tajny prototyp, świeżo sprowadzony z USA.

— I to się stało już przed dwoma lub trzema dniami? — zapytał zaciekawiony Konstantin Krug.

— Owszem! I to właśnie teraz, kiedy ministerstwo obrony jest ostrzeliwane ze wszystkich możliwych stron, na krótko przed finałem. Nie podano tego jednak do wiadomości publicznej!

— Kto wstrzymał informację?

— Miejscowy dowódca, bez wątpienia na polecenie ministerstwa obrony. Od razu zorientowali się, że ta sprawa może narobić dużo szumu i uruchomili cały system zabezpieczeń. Całą sprawę uznali za tabu i otoczyli klauzulą ścisłej tajności. Cały teren został zamknięty dla osób postronnych, przy czym odizolowano również nieświadomych niczego żołnierzy. Wzmocniono patrole, ustawiono dodatkowe posterunki i punkty kontrolne. Zaangażowani są nawet oficerowie, do stopnia kapitana włącznie.

— A informacje są nadal niedostępne?

— Niektórzy dziennikarze podejrzewają, że to jakaś śmierzcząca sprawa. Nie udziela im się żadnych odpowiedzi, nic nie wiedzą o szczegółach, a w oparciu o domysły nie da się wiele zrobić. Zostali ponadto ostrzeżeni, że może na nich paść podejrzenie o szpiegostwo. Pośród nich kręci się zresztą pełno ludzi z Urzędu Ochrony Konstytucji i różnych innych tajnych służb.

— A skąd pan to wszystko tak dokładnie wie?

— Nie sądzę, żeby chciał pan zrewidować zasady naszej dotychczas tak owocnej współpracy. Przecież ważne są tylko materiały, metody ich uzyskiwania nie interesują pana. Mogę pana jednak uspokoić: wszystko wiem dosłownie z pierwszej ręki.

Konstantin Krug chwycił za słuchawkę telefonu. — Proszę natychmiast połączyć mnie z ministrem!

Minister Feldmann przyjął Wandera, samego, w Kolonii. W dodatku, jak powiedział, pomiędzy dwiema ważnymi naradami. Spotkali się w domu, który był Wanderowi znany, ponieważ należał do Sabiny Wassermann.

Ona sama nie pojawiła się. Minister, okryty wygodną bonzurką, siedział w dużym salonie i gestem zachęcił Wandera, aby podszedł bliżej. Wskazał na stojący wózek barowy zastawiony butelkami, pojemnikami na lód i szkłem. — Niech się pan częstuje, co panu odpowiada! Tylko, z łaski swojej, niech pan zostawi trochę wódki, będzie koniecznie potrzebna na następnej naradzie.

Minister zerknął w bok, jakby przed chwilą padła niezwykle poufna uwaga, coś jakby wyróżnienie dla Wandera. Następnie powiedział jednak chłodnym i spokojnym tonem: — Krug doniósł mi w skrócie, o co chodzi. Jeżeli wszystko jest prawdą, zaskakująco wypadek! Proszę o szczegóły.

Karl Wander siedział na tym samym miejscu, gdzie jeszcze kilka dni temu rozmawiał z Sabiną. Prawie tymi samymi słowami, co wobec Kruga, były wszak dobrze przemyślane, zrelacjonował jeszcze raz całe zajście. Minister przysłuchiwał się z wielką uwagą, a na jego twarzy ukazywał się coraz szerszy uśmiech zadowolenia.

— Doprawdy, niezwykle — powiedział jeszcze raz, gdy Wander skończył opowiadać. — Oczywiście zauważy pan, że cała sprawa ma jednak dla nas pewien trudny aspekt.

— Zgadza się — potwierdził Wander. — Ministerstwo Obrony zabezpieczyło się skutecznie klauzulą tajności ze względu na podejrzenie szpiegostwa, zapewne bezzasadnie, w tej chwili nie odgrywa to jednak większej roli. To jest właśnie ów sznurek wiążący obecnie ręce naszemu nader czciwemu generałowi Keilhacke i jego kolegom. Naprawdę szkoda takiej dobrej okazji.

— A nie znalazłby się jakiś człowiek z prasy — zaczął ostrożnie minister — który mógłby dotrzeć do tych wydarzeń? Wie pan przecież, że jeżeli pojedynczy dziennikarz o czymś się dowie, po dwudziestu czterech godzinach wiedzą to już wszyscy.

— Jednak w obecnym stanie rzeczy żaden dziennikarz nie może się tym zająć, nie ryzykując wyłączenia w więzieniu. Dokładniej mówiąc: żaden niemiecki dziennikarz.

— O kim pan więc myśli?

— O pewnym Amerykaninie.

— O kim dokładnie?

— To mister Sandman.

— Dobrze go pan zna?

— Tak — przyznał Wander.

Minister odczekał chwilę, następnie wziął szklanę, nalał sobie wody mineralnej i oznajmił: — Zgoda! Może pan przekazać temu Sandmanowi swoje materiały, tylko proszę mu zwrócić uwagę, że tylko pan ma na nie wyłączność. Niech za wcześniej nie wysnuwa pochopnych wniosków.

— W porządku. — Karl Wander prawie automatycznie chwycił za butelkę z wódką, nalał sobie pół szklanki i wypił. Następnie powiedział: — Byłem już w tym pomieszczeniu.

— Wiem, wiem — zapewnił grzecznie minister.

— Piękny dom — zauważył Wander, patrząc do wnętrza swojej szklanki. — Bardzo atrakcyjnie urządzone i jak przypuszczam, potwornie drogi.

— Ma pan rację — powiedział minister. Można było odnieść wrażenie, że czekał jakby na ten zwrot w rozmowie. Temat nie był mu w każdym razie niemiły.

— Na moim stanowisku trzeba niejednokrotnie świadomie ukrywać się przed opinią publiczną — wyjaśnił następnie. — Są sprawy, które nie dają się załatwić ani w ramach urzędu, ani w gronie rodzinnym. Są to na przykład różnego rodzaju rozmowy poufne: z czołowymi przedstawicielami życia gospodarczego, tymczasowo wrogimi politykami czy też pracownikami ambasad krajów, które nie są z nami sprzymierzone, przynajmniej na razie. Wtedy przydają się przyjaciele, tacy jak na przykład pani von Wasser-mann-Westen.

— Słyszałem o tej przyjaźni.

— Zapewne z intymnymi szczegółami. — Minister mówił o tym, jak o różnicach jakościowych w niemieckim przemyśle samochodowym. — Na pewno słyszał pan, że z gos-

podynią tego domu łączy mnie pewna zażyłość, to, co w naszych kręgach rozumie się pod tym pojęciem. To prawda. W każdym razie była to prawda, jeszcze parę tygodni temu.

— Są to więc twierdzenia nieaktualne?

— Tak by to można określić — powiedział minister jakby w zamyśleniu rzucając Wanderowi z ukosa krótkie spojrzenie. — Wie pan, mój drogi, jestem w wieku, który dla mężczyzn bywa dość niebezpieczny, jeśli nadarzają się dogodne okazje, a z taką mam właśnie teraz do czynienia, co oczywiście nie jest moją własną zasługą, wiem o tym. Poza tym mam kochającą żonę, dwoje wspaniałych dzieci. Mógłbym być więc zadowolony.

— O ile dobrze rozumiem, nie jest pan!

— Ściśle mówiąc: nie byłem! Spotkałem panią von Wassermann-Westen, którą pan przecież zna.

— Tylko przelotnie — zapewnił Wander. — Kogóż właściwie znamy naprawdę?

To oświadczenie minister przyjął z przyjacielską niedbałością. — Przyjaźń z Sabiną wydawała mi się zawsze wielkim, cudownym darem losu, w każdym razie dla mnie. Jednak w gruncie rzeczy od początku było to dla nas obojga beznadziejne, z czym musieliśmy się pogodzić. Nigdy przecież nie mógłbym się rozstać z moją rodziną. Zrozumiałby pan to, drogi panie Wander, gdyby pan ich poznał. Może nadrobimy to zaniedbanie?

— Chętnie!

— Tak, koniecznie! — obiecał minister. — Pani Sabina i ja jesteśmy w każdym razie już tylko dobrymi przyjaciółmi. Wkrótce wyjdzie za mąż, jak sędzę, za kogoś ze sfer przemysłowych.

— Nie omieszkać życzyć jej wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia — zapewnił Wander.

— Gdzież się pan do diabła podziewa! — zawołał oburzony nadinspektor Kohl. — Czekam na pana bite dwie godziny!

— Chyba może sobie pan na to pozwolić, w końcu jest pan na urlopie — zareplikował Wander.

— Tylko do jutra, potem znowu będę prawowitym członkiem tego stowarzyszenia wołów roboczych w służbie prawa — Kohl sprawiał wrażenie niespokojnego, prawie nerwowego. — Dlatego dzisiaj nadarza mi się ostatnia okazja załatwienia tego Barranskiego tak, jak bym sobie tego życzył. Doktor Bergner dostarczył informacji, a właściwie jego dobra znajoma. Teraz kolej na pana!

— Człowieku, jestem cholernie zmęczony, wszystkim — odpowiedział Wander Kohlowi, który blokował wejście do kamienicy.

— Co tam! Słowo się rzekło! — nalegał natrętnie Kohl.

— Szybko, musimy natychmiast jechać do Kolonii.

— Właśnie stamtąd wracam — Wander próbował ostatniej deski ratunku.

— No to świetnie, drogę zna pan wobec tego na pamięć!

— Kohl pełen nadziei spoglądał na swojego partnera. — Przyniosłem coś, co poprawi panu humor — z kieszeni płaszcza wyciągnął płaski przedmiot wielkości talerzyka, zawinięty w szare płótno. — Coś w rodzaju prezentu ode mnie.

— Co pan tym razem wymyślił? — spytał nieufnie Wander.

— Pistolet! Zupełnie nowy, jeszcze nie używany. Walter, kaliber 7,65, sześć naboń w magazynku. Przecież umie się pan nim posługiwać. O ile wiem, był pan w wojsku całkiem dobrym strzelcem. Chyba nie należy się obawiać, że trafi pan w dziesiątkę oddając strzał ostrzegawczy.

— Dlaczego mi pan to daje?

— Szczerze mówiąc, nie wiem. Mogę tylko powiedzieć, że nie znamy dnia ani godziny! Poza tym nie podejrzewam pana o nadużycie w tej dziedzinie, a już od paru dni mam przecucie, że może pan się znaleźć w niebezpieczeństwie.

Podał Wanderowi broń. Ten wziął ją i schował. Potem burcząco i przeklinając Kohla, co było tak czy owak bezskuteczne, wsiadł ponownie do swojego wypożyczonego samochodu.

Po drodze do Kolonii jego pasażer miał wystarczająco dużo czasu na wyjaśnienia i urządził mu coś w rodzaju krótkiego kursu dla początkujących. — Decydujące zna-

czenie ma właściwie funkcjonujący świadek — tłumaczył Kohl. — To podstawowa reguła! Co mianowicie twierdzą jednomyślnie dwie osoby, tego trzecia nie jest w stanie skutecznie podważyć. Dlatego też będzie pan moim świadkiem, a ja pańskim!

— Naprawdę nie mógł pan znaleźć innego frajera?

— Ależ bardzo proszę, mój drogi, to kwestia zaufania!

Następnie inspektor wyjaśnił dalsze aspekty swojego planu. Słuchając szczegółów Wander zwolnił, jakby obawiając się, że straci panowanie nad pojazdem. Kręcąc głową przypatrywał się potężnemu mężczyźnie u swego boku. — Przecież to zahacza o gangsterskie metody! A ja naprawdę uważałem pana za stróża prawa!

— Stróże prawa są niejednokrotnie niedoszłymi gangsterami, i odwrotnie. Jedni i drudzy mają pewną wspólną cechę, jeżeli oczywiście wybijają się ponad przeciętność, znają się na rzeczy. Często zresztą posługują się podobnymi metodami różniącymi się jedynie celem.

— Dlaczego musiałem tu trafić akurat na pana! — zauważył Wander.

Kohl zaśmiał się i dalej opowiadał o tym, jak spędzał urlop: dzięki wstawiennictwu doktora Bergnera nieomal zaprzyjaźnił się z ową rejestratorką Barranskiego. — Kobieta, która mnie nie rozczarowała! — mówił. Twierdził, że obecnie zna najróżniejsze nazwiska, godziny, zastosowanie różnych preparatów, sposób ich przekazywania, jak również ceny.

— Dzisiaj, punktualnie o dziewiątej wieczorem, jedna z dam ze sfer, które uważają się za wyższe, podda się specjalnej kuracji Barranskiego. Jest to żona jednego z południowoamerykańskich ambasadorów. Dodaj pan gazu, że byśmy zdążyli na czas!

Na miejscu byli na dziesięć minut przed podaną godziną. Stali pod bramą jednego z domów, w jednej z przecznic z tyłu katedry. Na pierwszym piętrze znajdował się gabinet doktora Barranskiego. Ruch był niewielki. Staroniemieckimi idyllicznymi uliczkami przemykali się nieliczni przechodnie, najczęściej parami. Latarnie spokojnie roztaczały światło.

Zgodnie z umową Wander zajął stanowisko w jasno oświetlonej bramie. Kohl czekał koło drzwi. Po pewnym czasie zjechała winda, zatrzymała się łagodnie, drzwi się otworzyły i kabiną opuściła roślą, koścista blondynka w szarym kostiumie. Inspektor skinął głową.

Wander zbliżył się do kobiety, prawie się z nią zderzył, powiedział donośnie: „pardon, madame!” i chwycił za jej torebkę. Ta wypuściła ją, najwyraźniej niesamowicie zaskoczona wpatrywała się w jego twarz, która wydawała jej się wręcz sympatyczna. Następnie jakby bezwiednie otworzyła usta i zdawało się, że zacznie krzyżeć. Wander, rzuciwszy okiem do wnętrza torebki, skinął z kolei w stronę Kohla.

Ten podbiegł uradowany i zapytał: — Czy źle się pani czuje?

— Zostałam napadnięta! — wykrztusiła.

— Ależ skąd! — zaprzeczył Kohl. — Źle się pani poczuła, zapewne chwilowe osłabienie, a ten pan pośpieszył pani z pomocą. Sam dokładnie widziałem, jestem zresztą z policji. Czy mogę spytać, co zawiera ta paczuszka w pani torebce?

— To pana nie powinno obchodzić! — wykrzyknęła energicznie dama histerycznym tonem.

— Morfina — zawyrokował Kohl. Tego właśnie się spodziewał. Urzędowym tonem pytał dalej: — Skąd pani to ma?

— To moja sprawa! — wysapała osaczona dama.

— Niestety, nie tylko — zareplikował inspektor. — Chyba że posiada pani receptę na tę ilość morfiny. Nie? Czyli zdobyła ją pani w sposób niezgodny z prawem. Chciałbym wobec tego powiadomić panią, że nie musimy wszczynać postępowania, jeżeli od tej chwili podejmie pani z nami dobrowolną i bezwarunkową współpracę. Musi więc pani podać nazwisko tego, kto pani dostarczył tę morfinę.

— Nigdy! — sprzeciwiła się energicznie.

— Błędnie ocenia pani swoją sytuację — wyjaśnił Kohl. — Zapewne na paczuszce znajdują się odciski palców, zarówno pani jak i Barranskiego. Jeżeli przyzna pani, że to on dał pani tę morfinę, to wtedy jego obciążymy całą od-

powiedzialnością! Jeżeli nie uczyni pani tego, powstanie jednoznaczne podejrzenie, że przywłaszczyła sobie pani to opakowanie, czyli, krótko mówiąc, ukradła je. Domyśla się pani chyba, jakie to może mieć skutki. Musiałbym panią natychmiast aresztować. A więc?

Kobieta rozglądała się jak zwierzyna w potrzasku. Dla Wandera był to nieprzyjemny widok, jednak Kohl wydawał się nim delectować: miał Barranskiego w rękę. Tylko o to przecież chodziło. — Tak — wyszeptała. — To on mi to dał.

— To wszystko! — stwierdził inspektor. — Udało się!

— Rzeczywiście chyba się panu udało — Peter Sandman stwierdził to bez specjalnego uznania. — Nie posądzałem pana o to, Karl, miałem o panu dobre zdanie.

— Przykro mi, że muszę pana rozczarować, Peter. Ale znalazłem się w pędzącym pociągu, trudno było z niego wyskoczyć.

— Wcale pan nie zamierzał. A może jednak?

— Być może — Wander szedł u boku Sandmana w stronę winiarni na stoku wzgórza. — Ale tak to już jest: najpierw wysokie honorarium, potem rozbudzona żyłka myśliwska, do tego zwykła ludzka głupota. W końcu wszyscy jesteśmy lekkomyślnymi graczami, gdy tylko mamy ku temu okazję. Może coś jeszcze?

— Jeszcze mały drobiazg, ale o tym później.

— Widzę, że grozi nam bardzo miły wieczór.

Właściciel małej gospody na stoku wzgórza podbiegł do nich. Niewątpliwie znał Amerykanina już od dłuższego czasu. Ściszone głośnie, jakby była to tajemnica niedostępna dla innych gości, zaczął relacjonować: — To bordo, które pan tak lubi, Chateau Coufran, ma już właściwą temperaturę. Pieczone prosię będzie gotowe za mniej więcej trzydzieści minut, a lody śmietankowe, specjalnie sprowadzone od Higginsa z Nowego Jorku, są w wystarczającej ilości.

— Na koniec szampan, najlepszy, jaki pan ma — powie dział Peter Sandman. — Mój przyjaciel płaci za wszystko, na razie może sobie jeszcze na to pozwolić. Najpierw to, co zwykle, jak zawsze na tarasie.

„To, co zwykle" oznaczało dla Sandmana nalewkę malinową ze Schwarzwaldu, jego zdaniem najbardziej dopasowany do miejscowego klimatu pięćdziesięcioprocentowy aperitif. Podano go na kompletnie o tej porze roku pustym tarasie, bez krzeseł i stołów, nadciągała wczesna surowa zima. Kieliszki stały przed nimi na balustradzie, poniżej, w ciemnościach nocy, leniwie i spokojnie płynął Ren.

— Moje ulubione miejsce — powiedział robiąc szeroki gest Sandman.

— Rozumiem pana — stwierdził Wander. — Tu, na górze, człowiek ma nieodpartą chęć naplucia tym na dole do zupy. Tylko co by to dało? Zapewne w ogóle by nie zauważyli albo, co gorsza, pomyśleli, że właśnie tak ma być.

— Nie wygląda pan na specjalnie szczęśliwego, a przecież ma pan powód — Peter Sandman spoglądał na smugi światła, rozświetlające teraz miasto. — Zorganizowane dzięki panu zawody strzeleckie wydają się odnosić pełny sukces.

Wander potwierdził skinieniem głowy: — Wszystko jak po maśle! Pełnomocnik do spraw obrony zapowiedział właśnie sprawozdanie o alarmującym stanie dowództwa. Przewodniczący komisji obrony zamierza przedłożyć kanclerzowi szczegółowy raport na temat rażących błędów inwestycyjnych w programach rozwoju przemysłu zbrojeniowego. Prezydent wezwał do siebie ministra obrony, z pewnością nie na przyjacielskie pogaduszki. Jednocześnie obradują już: prezydium partii rządzącej, przewodniczący związków krajowych i frakcja parlamentarna. Wszyscy mają wysłuchać sprawozdania ministra Feldmanna.

— No to może pan sobie pogratulować, panie Wander! — Sandman podniósł kieliszek i wypił do dna. — Panie gospodarzu! — zawołał przez cały taras. — Jeszcze raz to samo, bo nastrój się robi okropny!

— Stracił pan może apetyt? — spytał Wander.

— Słabo mnie pan zna — stwierdził Amerykanin. — Innymi słowy: to ja znam pana lepiej, niż pan przypuszcza. Przynajmniej trochę znam pański kraj. Kiedy byłem tutaj pierwszy raz, pan jeszcze chodził do szkoły. Byłem młodzieńcem, beztróskim żołnierzem, do tego w zwyczajnym

nastroju. Ale nawet ja uświadomiłem sobie wtedy, że wdepnęliśmy w największe rumowisko w historii świata. A co z niego powstało?

— Nic — powiedział Wander. Kupa betonu, szkła, blachy, chemikaliów i pieniędzy. Niektórzy maniacy twierdzą, że jest to serce Europy. Moim zdaniem, to pozłacana dupa Europy!

— Wiem, należy pan do ludzi głęboko oburzonych kierunkiem rozwoju tego kraju. Dlatego, że jest to pana kraj i chciałby go pan widzieć inaczej.

— Jest to dla mnie obrzydliwe! — zawołał porywczo Wander. — To, co ma miejsce i to, na co nie ma miejsca! I to, na co się pozwala!

— Biedna Ameryka, jakby nie miała już dość wrogów na świecie! — zauważył Sandman. — Zostanie za wszystko obciążona odpowiedzialnością, tylko dlatego, że kiedyś chciała być wspaniałomyślna i pomocna, ale jak zwykle niewłaściwie zabrała się do rzeczy. A do tego być może uczyni się ją odpowiedzialną za stan pańskiej ulubionej armii.

— A kogóż by innego?

— Nasz drogi ambasador powiedziałby o tej instytucji: to wewnętrzna sprawa Niemiec! To prawda, Amerykanie dość wytrwale pomagali postawić wszystko znowu na nogi. Ale czy mogli wiedzieć, jakie będą tego konsekwencje?

— Nie? Naprawdę nie mogli? Nawet wiedząc, co tu miało miejsce parę lat temu? Czy nie wystarczyła krwawa lekcja Tysiącletniej Rzeszy? Czy te pięć czy sześć milionów Żydów było jedynie przykrym wypadkiem przy pracy, nieuniknionym pyłem pod kołami historii? To wszystko teraz ma się stać przewyciężoną i możliwie szybko zapomnianą, mroczną przeszłością, w dodatku przy pomocy Ameryki?

— Właśnie — powiedział Sandman cicho. — Domyślałem się tego: pan nienawidzi tych Niemiec!

— Być może. Tylko że nienawidzę tych Niemiec, ponieważ kocham moje Niemcy.

— To, co pan nazywa „swoimi Niemcami”, w rzeczywistości nigdy nie istniało.

— Ale mogło zaistnieć. Nadarzała się korzystna okazja: godzina zero, absolutna depresja, najlepszy punkt wyjścia. Do tego ludzie, którzy przeżyli i potwierdzili swoją wartość w czasach ciężkiej próby. Dalej ludzie młodzi, którzy nie wybierali Hitlera i zostali wpędzeni w wojnę przez pokolenie rodziców, a teraz spostrzegli, jak bardzo ich oszukano! Jaka masa ludzi, z którymi można było zacząć od nowa!

— Dlatego wstąpił pan do wojska?

— Nie wiem. Pewne jest tylko, że obecnie wiem więcej niż wtedy, kiedy miałem niecałe dwadzieścia lat. Chciałem chyba móc się za czymś opowiedzieć, w coś wierzyć, taki już jestem. Może powinienem raczej zostać pielęgniarzem albo zamiataczem ulic, sam już nie wiem. Zostałem jednak oficerem i zorientowałem się, że w gruncie rzeczy naprawdę niewiele się zmieniło, a także nie miało zamiaru się zmieniać. Wszędzie starzy, przegrani wojskowi, beznadziejne trepy, nie nadążający za rozwojem techniki i ograniczeni umysłowo. Jedni byli duchem jeszcze w czasach wielkoniemieckich, drudzy w epoce Starego Fryca! I tacy mają czelność zapewniać, że stoją na straży wolności!

— Takie przesłanki wystarczyły do zwerbowania pana? Postanowił pan dopomóc w ruszeniu bundeswery z posad?

— To absolutnie wystarczyło!

— No to niech Bóg ma pana w swojej opiece, gdyby miało się okazać, że nie chodziło tu o żaden radykalny przełom, lecz że był pan jedynie naganiaczem dla sprytnej, pozbawionej skrupułów i zasad moralnych kliki?

— Teraz koniec z tobą! — ogłosił Martin Morgenrot. — Raz na zawsze!

Karl Wander opuścił gospodę, pozostawiając w niej Sandmana, który, jak twierdził, miał jeszcze ważne spotkanie z człowiekiem zwanym Jerorne. Noc była gwiazdzista, wilgotna i chłodna. Pobliska latarnia uliczna słabo oświetlała parking.

Martin dopadł go właśnie tutaj. Trzymając w prawej ręce jakiś metalowy przedmiot, zapewne korbę podnośnika, zbliżał się jakby mechanicznymi krokami.

Za nim posuwał się Feliks Frost, niegdysiejszy, rzekomy narzeczony Ewy Morgenrot. Z jego twarzy nawet teraz nie znikł cyniczny uśmieszek. — To pańska ostatnia szansa! — stwierdził pojednawczym tonem.

— Szansa, na co? — spytał Wander, cofając się krok po kroku.

— Na złożenie zeznania, najlepiej na piśmie — odparł Feliks.

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Dlaczego w ogóle z nim jeszcze gadamy! — wtrącił się Martin. — On chyba w ogóle nie rozumie, co zrobił, trzeba mu wyjaśnić.

— Głupi to on nie jest, może tylko za wolno myśli — stwierdził Feliks.

Karl Wander, jak gdyby szukając pomocy rozglądał się dookoła, nie przestając ostrożnie się wycofywać. Wokół nie było żywej duszy. Gdzieś z oddali dochodziły dźwięki grającego radia, jakąś położoną niżej ulicą przejechał samochód, poza tym kompletna pustka. — Naprawdę nie rozumiem, czego panowie ode mnie chcecie!

— On nic nie wie! — kiął młody Morgenrot. — Chodząca niewinność! Baranek boży! Wpędza Ewę w panikę, napuszcza na mnie mojego starego, szantażuje Sabinę i chce mnie wysłać do mamra. O niczym nie wie!

— A gdybyśmy panu darowali to zeznanie i poprzestali na pewnych dokumentach, należących do Ewy, które musiałby pan nam zwrócić? — zaproponował Frost, powstrzymując na chwilę Martina.

— Jakich dokumentach? — Karl Wander oparł się z lekką ulgą o swój samochód. Ponieważ prawe okno było otwarte, schowek, w którym znajdował się otrzymany od Koh-la pistolet, był w zasięgu jego ręki. — Macie chyba nie po kolei w głowie! — zawołał teraz wyzywająco.

Feliks Frost cofnął się, a Martin Morgenrot ruszył znowu naprzód. — Trzeba mu będzie pokazać, co o nim myślimy.

— Lepiej panowie nie próbujcie! — ostrzegł Wander. Udało mu się wymacać ręką pistolet, objął go mocno i wyciągnął. — Niezależnie od tego, o co wam chodzi, po myliliście adresy. Wasze podejrzenia są bezsensowne.

Prawdopodobnie ktoś wam to wszystko wmówił, domyślam się nawet, kto. Poza tym obaj próbujecie wykręcić się sianem, a w dodatku moim kosztem.

— Starczy! — wrzasnął Martin Morgenrot. — Załatwię go!

Feliks Frost natomiast szybko wycofał się jeszcze dalej i znikł w ciemnościach, wołając z daleka: — Uwważaj! Ma pistolet!

Wander odbezpieczył i wycelował. — Uwważają mnie za dość dobrego strzelca, może ktoś ma ochotę to sprawdzić? A jeśli tak, to czym mogę służyć? — Przed nim stał już tylko Morgenrot. — Może podziurawić palce u nóg? Wytrącić pałę z ręki? Mamy sporo możliwości!

Po Froście nie było ani śladu. Morgenrot opuścił swoją broń, wykrzywił twarz, jakby cierpiał na bóle żołądka. Nagle jednak, jak wystrzelony z katapulty, rzucił się na Wandera. Rozległ się wystrzał. Wytrysnęła mała fontanna błota, kamyków i kurzu. Martin zatrzymał się znowu jak wryty.

— Wystarczy? — zapytał twardym głosem Wander. — Może spróbuje pan jeszcze raz, mogę celować wyżej. Chyba jednak da pan sobie spokój, podobnie jak pański przyjaciel. A na przyszłość: nie każdy prowadzi takie życie, jakie pan ubzdurał sobie w swojej brudnej wyobraźni.

Wander wszedł do samochodu, zapalił i odjechał. Uśmiechał się z ulgą. Poczuł strach swojego przeciwnika i to go uspokajało. Zamaszyście pokonując zakręty zjeżdżał w stronę Bonn.

Nagle w lusterku dostrzegł dwa samochody podążające za nim na długich światłach. Z przodu stabilny, szeroki i ciężki mercedes, dwumiejscowa szafa pancerna starszego typu 220 SE, ciemnokrwistego koloru z Martinem Morgenrotem za kierownicą. Za nim śnieżnobiały jaguar Feliksa Frosta

Jechali tak parę kilometrów ze średnią prędkością i na długich światłach, co nie zwróciło jednak niczyjej uwagi. Po północy ulice były prawie puste. Wander dodał gazu. Jadący za nim również przyspieszyli, zwolnił, tamci zrobili to samo. Czaili się jak drapieżcy.

Wander starał się opanować, miał na to prawie dwadzieścia minut. Czasami z tyłu rozlegał się klakson — Wander odbijał w prawo, zwalniając. Nikt go jednak nie wyprzedzał.

Znowu wcisnął mocniej pedał gazu, ale rasowe samochody nie dały się zostawić z tyłu. Z osiemdziesiątką na liczniku wpadł na most na Renie i w tym momencie błyskawicznie zbliżył się mercedes Morgenrota, przez ułamek sekundy Wander widział jego wykrzywioną twarz.

Będąc dokładnie na wysokości samochodu Wandera, Morgenrot szarpnął kierownicą w prawo. Jego szafa pancerna z całą siłą uderzyła w cienką blachę samochodu Wandera, zgmiotła go, wyrzuciła poza wąski chodnik dla pieszych, rozerwała barierkę i zepchnęła pozostałą kupę złomu prosto w ziejącą lukę.

Wanderowi wydawało się, że znajduje się wewnątrz eksplodującego fajerwerku. Potworny huk o mało nie rozerwał mu bębenków, widział błyski i czuł następujące po sobie bezlitosne uderzenia. Prawie podświadomie otworzył drzwi i wypadł na asfalt, usiłując odczołgać się na bok. Jego samochód początkowo powoli i bezgłośnie zsuwał się na bok, by w końcu z głośnym trzaskiem wpaść w nurty Renu.

Odzyskawszy przytomność Wander leżąc na ziemi ujrzał długi sznur reflektorów. Otaczał go tłum ludzi o obcych twarzach, pomiędzy nimi policjanci. Dotykał go jakiś mężczyzna, zapewne lekarz. Jedna z kobiet spoglądała zafascynowana na jego pokrwawioną i brudną twarz jednocześnie nie kryjąc odrazy. Wokół rozlegał się niezrozumiały gwar rozmów.

Zamknawszy oczy usłyszał znajomy głos i usiłował zrozumieć treść wypowiedzi. Głos mówił: — To wyłącznie jego wina. Złośliwie blokował ruch. Mogę zaświadczyć. Zajmował pas ruchu i kiedy ten mercedes przede mną chciał go wyprzedzić, dodał gazu. Poza tym zaczął jechać zygzakami, na pewno był pijany albo niespełna rozumu. Po prostu sprowokował to zderzenie.

Tym świadkiem był Feliks Frost.

- Muszę stąd wyjść — Wander podniósł się na łóżku.
- Mam coś bardzo pilnego do załatwienia.
- Jeszcze panu mało! — pokręcił głową doktor Bergner.
- Niech pan raczej spróbuje zasnąć.
- Ale nie mogę — odparł Wander. — Sądzę, że znalazłem wynik pewnego bardzo skomplikowanego obliczenia i chcę sprawdzić, czy jest prawdziwy.
- Najwcześniej jutro — stwierdził Bergner.
- Natychmiast — odpowiedział Wander wstając. Znajdował się w szpitalnym ambulatorium. Zaraz po dostarczeniu go tam zażądał widzenia z doktorem Bergnerem, który stał teraz przed nim nieruchomo czujnie go obserwując.
- Jak pan widzi, doktorze, stoję już w miarę pewnie na nogach.
- Mógł pan wylądować w kostnicy — zauważył Bergner.
- Ale dojechałem tylko do pana, a pan powiedział wyraźnie: malutki, leciutki wstrząs mózgu, kilka stłuczeń, otarcie nogi i to wszystko. To chyba prawda?
- Tak, to prawda — Bergner nie spuszczał Wandera z oczu. — To wystarczy, żeby zatrzymać pana na parę dni.
- Ani godziny, w przeciwnym wypadku może być za późno!
- Ma pan lekką gorączkę.
- Ale za to końskie zdrowie!
- Mam nadzieję, że również rozum. Dlaczego nie chce pan zostać parę dni? Mógłbym bez trudu ochronić pana przed ciekawskimi. Na przykład przed policją, która ma mnóstwo pytań na temat tego wypadku. Albo przed pańskim wybawcą, który już kilka razy pytał telefonicznie o pańskie zdrowie.
- Mój wybawca? A któż to taki?
- Martin Morgenrot — powiedział lekarz odwróciwszy się do umywalki, zerkając jednak w lustro, aby zaobserwować reakcję Wandera. — Twierdzi, że w ostatniej chwili, kiedy był pan nieprzytomny, wyciągnął pana z samochodu, który właśnie wpadał do wody.
- Niech mnie pan wypuści, doktorze! — Wander starał się stać prosto i sprawiać niedbałe wrażenie, ale jego dłonie zacisnęły się w pięści.

— A gdybym odmówił, drogi przyjacielu, podając odpowiednie, medyczne uzasadnienie?

— Istnieje również inne uzasadnienie. Wiem, że mógłby mnie pan z czystym sumieniem zatrzymać, ale nie zrobi pan tego.

— Dlaczego nie?

— Ponieważ pana proszę, powiedzmy, jak przyjaciela. Obliczenie, którego rezultat chyba znam, wygląda następująco: Jeżeli podejrzane są cztery osoby i dwie z nich podejrzewają o to trzecią, a ta trzecia jest przekonana o swojej niewinności, to winna jest na pewno ta czwarta. Z tą panią chciałbym właśnie porozmawiać, zanim mnie ktoś ubiegnie.

— Miejmy nadzieję, że się pan nie przeliczył i że nie będzie pan żałował swojej decyzji. Nie będę panu stawiał na drodze. W końcu to ja jestem panu zobowiązany, nie mówiąc już o naszych przyjacielskich układach.

— Dziękuję, doktorze!

— Jest już dość późno, po pierwszej w nocy. Dam panu jeszcze zastrzyk i trochę lekarstw. Żądam tylko jednego: gdyby pański stan się pogorszył, proszę mnie zawiadomić. Tego jednak nie przewiduję, bo tęgi z pana chłop. Poza tym reakcje są znowu normalne, poziom pańskiej agresywności bynajmniej nie spadł.

— Wręcz przeciwnie, podnosi się!

— Nie widzę jednak powodu. — Doktor Bergner rozerwał opakowanie jednej z ampulek i przygotował strzykawkę, dodając jednocześnie: — O pańskim tak zwanym wypadku musi pan wiedzieć jeszcze to, co mówili między sobą policjanci. Jest pan mianowicie uważany za jedyne winnego, co potwierdza dwóch świadków, a mianowicie: Martin Morgenrot i Feliks Frost. Próba wykazała 1,1 promila alkoholu we krwi. Policjanci szukali pańskiego prawa jazdy, żeby je zabrać, ale nie miał pan przy sobie żadnych papierów.

— Dobra robota, ale nie do końca — mruknął Wander podwijając lewy rękaw. — Niech pan nie zwleka, spiesz mi się. A gdyby jeszcze raz zadzwonił ten mój rzekomy wybawca, niech mu pan powie, żeby się nie martwił, bo jestem zapewne kompletnie załatwiony.

Raport człowieka zwanego Jerome

— część ósma

O ciężącym fatum wciąż możliwych nieporozumień i iclji negacji przez rzekomo realistyczne poznanie.

Później dopiero zorientowałem się, jakim szczęśliwym trafem był dla Wandera ów starszy szeregowy Fünfinger, przynajmniej początkowo. Fünfinger potrafił przejrzeć metody działania współczesnych mechaników władzy. Stanowiły one dla niego radosne wyzwanie. Mając przed sobą marionetki chciał, żeby tańczyły! A któż mógłby wpaść na pomysł, żeby podczas wojny ministrów patrzeć na szeregowców!

Jeszcze później, w zasadzie zbyt późno, widoczna stała się druga strona tej osobliwej, małej wojny. Ten początkowo tak beztroski bojownik moralności zdemaskował się wkrótce jako żołnierski działacz społeczny, obrońca wdów i sierot. Tego nawet Wander się nie spodziewał. Fünfinger zadowalał się początkowo ogólnikami, dopiero potem się rozkręcił. Okazało się, że zna zaskakujące szczegóły, orientuje się w prowokujących detalach, wymienia chętnie liczby. Liczby prawie zawsze przekonują, bo któż lubi dokładnie sprawdzać obliczenia?

Na przykład: „Ta armia mimo wielomiliardowych nakładów stoi na krawędzi bankructwa; dzięki wątpliwej jakości samolotom, błędnie zaprojektowanym wozom bojowym i lekkomyślnym zakupom amunicji, jest najdroższą i największą narodową kupą złomu.”

Tylko kto przejmuje się tego rodzaju stwierdzeniami? Zacietrzewieni pacyfiści, niewydarzeni literaci i zawodowi kontestatorzy, wszyscy oni to w sumie biedni szaleńcy! Ich słownictwo jest ogólnie znane, a polityczni praktycy już dawno odkryli, że najlepiej w ogóle nie zwracać na nich uwagi.

— „Marnotrawstwo!” — krzyczą na przykład. Domniemane marnotrawstwo kosztem dzieci, ubogich, chorych, uczniów i starców. Każdy starfighter, ten felerny bombo-

wiec, kosztuje tyle, co pół szkoły wyższej albo cztery podstawowe, ewentualnie od dwunastu do dwudziestu przedszkoli — argumentują.

Który z grubsza normalny człowiek liczy w ten sposób?

Funfinger jednak robił to, a Wander mu sekundował. To sprzysiężenie domniemanych idealistów natłukło wspólnymi siłami sporo nowo-narodowoniemieckiej porcelany. Wander poszedł przy tym na całego: Chciał widzieć jak Niemcy rozkwitają, jego Niemcy, stąd wszystkie swoje poczynania traktował jak zwalczanie chwastów. Fünfinger sprawiał raczej wrażenie niewydarzonego kaznodziei. Kiedyś powiedział, że marzy mu się „życie warte życia”.

Wszystko to w jednej armii! W dodatku w kraju, gdzie umundurowanym bliźnim wmawiano, że są obrońcami narodu, a więc istotami niezwykłymi, wybrańcami w służbie tego ludu obdarzonymi szczególną godnością, a jednocześnie świadomymi europejskiej współodpowiedzialności stróżami kultury Zachodu. Do tego mieliby być obrońcami tego wolnego świata, ba, wolności jako takiej. Znamy tę gadkę!

Faktem jest, że akurat Niemcy nie są w łatwej sytuacji, sami ją sobie jednak chętnie utrudniają. Powinni tylko na chwilę zamknąć oczy i pomyśleć, a rzeczywiście przekonywająca gruba kreska byłaby do pomyślenia.

Jednak właśnie na to ten naród nie mógł się zdecydować. Nie przyjął z powrotem tylko hitlerowskich oficerów, ale również ich tak zwanego „ducha”, razem z ich „doświadczeniami” i „wiedzą”, krótko mówiąc — ich ciasnotę umysłu wraz ze ślepym posłuszeństwem i nie-wyuczalnością.

Prawie nikt nie odczuwał wstydu, kiedy wyszło to znowu na jaw. Bo niby dlaczego? Tacy już byli i trzeba ich było wykorzystać — realistyczni politycy Zachodu wykazywali zresztą gotowość do tego. Wielu nie okazywało zbyt wielkiej radości, ale pogodzili się z tym. Pozwolili cieszyć się pozostałym Niemcom z ich „tradycji”, z których ci byli tacy dumni. Woda na młyn dla Wandera i spółki!

Otrzymali doskonale potwierdzenie swojej obsesji. Byli to przecież nowi naziści — nie jakiś wstydlivy wypadek

przy pracy, nie jakiś wytwór wyobraźni lewaków, jak wówczas chętnie utrzymywano, lecz samodzielny, typowo niemiecki produkt. Towar ten nie ma jednak w najbliższym czasie szans na opanowanie rynku.

Jednak Wander, podobnie jak wielu innych, został zaalarmowany przez owego neonazistowskiego ducha, co doprowadziło do licznych spięć. Niewydarzeni poeci od polityki powinni się trzymać z daleka, ponieważ w swojej żalösnej naiwności nie są w stanie nic dobrego zdziałać.

9

Również teorie mogą rodzić czyny, jednak początkowo tylko niewielu w to wierzy

Na pewno mnie pan oczekiwał — powiedział nadinspektor Kohl, gdy Wander uchylił drzwi swojego apartamentu. — Podejrzewam nawet, że cieszy się pan, że to właśnie ja pana odwiedzam, a nie kto inny.

— Jeszcze się nie obudziłem — odparł ziewając Karl Wander, a następnie odsunął się i wpuścił go. — Jestem zmęczony niczym chart po sezonie wyścigowym i do tego czuję się jak podziurawiona tarcza strzelecka.

— Tak też pan wygląda — potwierdził Kohl. — Miał pan chyba męczącą noc.

— Koszmar! Najpierw rzekomy przyjaciel dręczył mnie dobrymi radami, a potem o mały włos nie wykończył mnie tak zwany wypadek. Słyszał pan już o tym?

Inspektor skinął głową. — Jestem tutaj z innego powodu.

— Z jakiegoż to? Też chce pan spróbować w dowód serdecznej przyjaźni skrócić mi kark?

— Owszem, jeżeli nie będę miał innego wyjścia.

Kohl z czystego przyzwyczajenia ustawił się tyłem do okna, chciał mieć możliwie najlepszy przegląd sytuacji. Wyraźnie niewyspany, blady, poobijany, starający się zebrać myśli Wander siedział owinięty w płaszcz kąpielowy na brzegu łóżka. Kohl w zamyśleniu obmacywał kanciaste żeberka znajdującego się za swoimi plecami kaloryfera.

— Nie najgorzej — oszacował Kohl urządzenie mieszkania. — Pełny komfort: parkiety, na których można się pośliznąć i dywany, o które łatwo się potknąć. Czy zawsze gnieździ się pan w takich luksusowych przybytkach?

— Może pan spokojnie zrezygnować ze swojej nędznej, policyjnej zawiści — odparł ponownie ziewając Wander i zaczął dotykać swoich pooblepianych plastrem ran na twarzy i głowie.

— Jestem tu jedynie gościem, kto wie, jak długo jeszcze.

— Być może tylko do dzisiaj — wycedził Kohl.

— Być może, być może — zgodził się Wander. Dopiero teraz zaczął się zastanawiać nad tym, co właśnie powiedział Kohl. — Co to właściwie miało znaczyć: salonowa konwersacja czy jakaś aluzja?

— Tego jeszcze nie wiem — odpowiedział ostrożnie. — W ogóle niewiele wiem, na przykład o panu. Może opowiadał mi pan te historyjki, ale tylko po to, żeby mi zamydlić oczy. Muszę zaznaczyć, że wobec takiego postępowania cholernie trudno zdobyć mi się na wyrozumiałość. Mogę pana tylko ostrzec, jestem policjantem, a nie opiekunem społecznym.

— Zmień pan z łaski swojej płytę! — wtrącił odzyskując powoli sprawność umysłu Wander. — Tak wcześniej rano mam mało zrozumienia dla tego rodzaju knajpianych pogawędek. Czego pan właściwie chce?

— Gdzie był pan w nocy?

— Czy to przesłuchanie?

— Na razie nie. Nazwijmy to prywatną informacją!

— Panie Kohl, co się stało? Coś się musiało stać, to po panu widać!

— Jeżeli pan to już wie, to nie muszę tego opowiadać, a jeżeli nie, to dowie się pan odpowiednio wcześniej — teraz z kolei Kohl sprawiał wrażenie zmęczonego i rozbitego. — Powinien mi pan opowiedzieć, jak pan spędził minioną noc.

— Na rozmowach i spekulacjach, zakrapianych alkoholem! Wszystko zakończyło się tym cholernym wypadkiem.

— Dokładniej, proszę! To bardzo ważne!

— Dobrze. Wczoraj wieczorem, około dwudziestej, spotkałem się z mister Sandmanem. Pojechaliśmy do pewnego lokalu, który opuściłem krótko po jedenastej. Mniej więcej po dwudziestu minutach, czyli o wpół do dwunastej, miałem ten wypadek, mówiąc innymi słowy: zafundowano mi go.

— Niech pan mówi tylko to, co się da udowodnić.

— Właśnie próbuję — obiecał Karl Wander. — Tuż po północy zostałem przewieziony do miejscowego szpitala, gdzie zajmował się mną doktor Bergner. Na własną prośbę zostałem zwolniony koło drugiej.

— Nie później?

— Czy to ważne? Dlaczego?

— Kiedy przybył pan do swojego mieszkania?

— Mogła to być mniej więcej trzecia nad ranem albo jeszcze później.

— Droga ze szpitala do Koblenzer Strasse zajmuje piętnaście do dwudziestu minut. Dlaczego potrzebował pan aż godziny? — wtrącił Kołu.

— Odpoczywałem w okolicach cmentarza pomiędzy Dietzstrasse a Hertzstrasse. Było to konieczne, ponieważ po drodze zasnąłem. Oparłem się o jakąś kratę i osunąłem się po niej. Byłem kompletnie wykończony.

— Kto może to zaświadczyć?

— Czy kryje się za tym jakieś podejrzenie?

— Na razie nie. To raczej przyjacielska wskazówka, rodzaj rady, nawiasem mówiąc: być może pierwsza i ostatnia, jakiej mogę udzielić w tej sprawie.

— Do diabła ciężkiego, do czego pan zmierza?!

— Dzisiejszej nocy, między godziną drugą a trzecią, zmarła w tym domu, za ścianą pańskiego apartamentu Sabina von Wassermann-Westen. Przyczyną śmierci było uderzenie potylicą o żeberka kaloryfera. Nie wyklucza się wypadku, jeżeli może to pana uspokoić.

Karl Wander spojrzął na inspektora z głębokim niedowierzaniem, wyraz twarzy Kohla był nieprzenikniony i chłodny. Wydawało mu się, że znalazł się w zimnym, ciasnym i pozbawionym powietrza pomieszczeniu. — I co dalej? A jeżeli ta śmierć nie była dziełem przypadku? — zapytał.

— Ma pan na myśli morderstwo albo zabójstwo? Tak, to niewykluczone, być może nawet prawdopodobne. Za pewne jednak trudne do udowodnienia. Do każdego czynu konieczny jest sprawca, a przy aktualnym stanie dochodzenia jego istnienie nie zostało jeszcze jednoznacznie stwierdzone.

— Nie wyklucza to jednak faktu, że ma pan już własne teorie w tej sprawie.

— Jest ich aż za dużo — odparł zamyślony Kohl.

— Chciałbym pana w każdym razie prosić o nieopuszczanie miasta przez kilka najbliższych dni, nawet na krótko.

— Czy to urzędowe polecenie?

— Na to chwilowo nie mogę sobie pozwolić, wie pan przecież. Założmy więc, że nie mogę zrezygnować z pańskiej współpracy i proszę o to! Czy to pana przeraża?

— Już tylko kilka godzin do osiemnastej trzydzieści! — zawołała do Wandera Marlenu Wiebke, gdy ten wkroczył do przedpokoj. — Odlatuje wtedy samolot z Kolonii do Monachium, ostatni, w którym są jeszcze dzisiaj wolne miejsca. Zarezerwować panu ten lot?

— W żadnym wypadku, moja droga! Nie w tym momencie, kiedy wszystko staje się tak interesujące! — Karl Wan-der silił się na dowcip, co jednak nie robiło na pannie Wiebke absolutnie żadnego wrażenia.

— Co jeszcze ma się wydarzyć, żeby pan wreszcie zrozumiał, iż na to wesele nikt pana nie zapraszał?

— Ale za to na pogrzeb! — uśmiechnął się z lekkim wysiłkiem.

— Co się panu stało? — dopytywała się Marlenu Wiebke. — Znowu pobicie, czy może samochód pana przejechał? A może jedno i drugie? Dlaczego?

— A dlaczego pani tutaj pracuje? Dla kochanego i szanowanego pana Kruga?

— Nie kocham go i nie szanuję, pracuję tylko u niego! Jestem lojalna, jeżeli wie pan, co to może oznaczać!

— Nie, nie wiem — Wander usiłował zajrzeć do papierów leżących na biurku.

— Proszę zabrać ręce! — zawołała energicznie Marlenu.

— Nasze biuro to nie objazdowy antykwariat, gdzie można grzebać do woli. Tym bardziej że zarządzono dla pana przerwę aż do odwołania.

— Co to ma oznaczać? — Wander znieruchomiał.

— To, co powiedziałam: dłuższa przerwa dla pana!

— Tylko dla mnie czy dla całej akcji? Co planuje pan Krug? Chce mnie wyłączyć?

— Nic z tych rzeczy! Mam to panu wyraźnie i uprzejmie przekazać, zgodnie z poleceniem pana Kruga.

— Chce mnie odstawić na boczny tor! — zawołał Wan-der.

Panna Wiebke spojrzała na niego z z troskaniem. — Pan Krug o niczym podobnym nawet nie wspomniał. Zostałam jedynie zobowiązana do przekazania panu, że na razie, aż do odwołania, może pan odpocząć. Akcja przebiega zgodnie z planem. Korzystne wydaje się oczekiwanie bez podejmowania dodatkowych działań.

— Muszę rozmawiać z Krugiem!

— W tej chwili to niemożliwe, bez przerwy bierze udział w wewnętrznych naradach. Nie życzy sobie, żeby ktokolwiek mu teraz przeszkadzał.

— Tak łatwo mu nie pójdzie, nie jestem z takich, których można według życzenia zapraszać albo wypraszać! Niech mu pani to powie!

— Miał pan rzeczywiście ciężki wypadek, Karl.

— Niech mu pani powie, że nalegam na niezwłoczne spotkanie — zażądał z uporem Wander. — Jeżeli nie, to musi się liczyć ze wszystkimi konsekwencjami. Niech mu to pani przekaże słowo w słowo!

— Niech się pan nie upiera! Za mało go pan zna! — powiedziała błagalnie Marlena.

— Najwyraźniej on mnie również! Najwyższy czas, żeby to zmienić!

— Ale dlaczego pan nie wyjedzie? — zawołała Marlena Wiebke. — Przecież pański zleceniodawca nie ma nic przeciwko temu! Poza tym został dla pana przygotowany czek opiewający, na polecenie pana Kruga, na sumę trzykrotnie wyższą niż uprzednio ustalone honorarium miesięczne. Czego pan tu jeszcze szuka?

— Chciałbym pogadać z Krugiem i zapewne wyplakać się w pani ramionach. No dobra, jest ktoś jeszcze, kto przywiązuje wagę do mojej obecności, a mianowicie policja kryminalna. Nie mogliby się beze mnie obejść.

— Karl, czy ma pan coś wspólnego ze śmiercią tej osoby?

— Nie, a właściwie: niestety, nie! Niestety, nie mam wyrobionej skłonności do stosowania przemocy. Moich niecnych czynów dokonuję korzystając wyłącznie z mózgu!

— Muszę pana ostrzec, że wszystko, co pan powie, może być użyte przeciwko panu — oświadczył nadinspektor Kohl z surową rzeczowością.

— Chwileczkę! — zaprotestował Wander. — Przecież to formuła, której używa się podczas przesłuchań podejrzanych lub obwinionych.

— Zgoda. Ale została ona pomyślana jako ochrona osób poddawanych przesłuchaniom. Ponieważ żyjemy w zdeklarowanym państwie prawa, niech się pan nie uśmiecha, panie Wander, ministerstwo sprawiedliwości zarządziło niejako profilaktyczne stosowanie tej formuły w wypadkach, kiedy nie wyklucza się możliwości, że dana osoba może być w przyszłości zaliczona do podejrzanych lub obwinionych.

— Jeżeli tak, to odmawiam jakichkolwiek zeznań! — zareplikował Karl Wander.

— Przecież jeszcze pan nie wie, na jaki temat ma pan zeznawać.

— Jest mi to całkowicie obojętne! Wezwanie policyjne nie jest w końcu żadnym prawnym środkiem przymusu, podobnie zresztą jak wezwanie prokuratora. Tę rozmowę uważam za zakończoną.

Kohl podszedł do zakratowanego okna. Siedzący z nimi w pomieszczeniu drugi funkcjonariusz, który miał sporządzić protokół przesłuchania, ślęcząc nad pustym stenogramem, miał nieco głupią minę.

— Potrzebuję papierosów — zwrócił się do niego Kohl.

Ten zrozumiał, że nic tu po nim i oddalił się ochoczo.

Rozmowa, którą właśnie usłyszał, wydawała mu się zupełnie niejasna. Kogoś takiego jak Wander nigdy jeszcze nie spotkał na tym skromnym komisariacie. Jednocześnie pytał sam siebie, czy Kohl aby da sobie radę z tym pyskaczem. Tylko jeżeli nie on, to kto?

— Moje uznanie! — stwierdził wdychając głęboko nadinspektor. — Usiłuje mnie pan wywieść w pole, właśnie mnie!

— A dlaczego pan ciągle się upiera, żeby właśnie mnie rozłożyć na łopatki?

— Bo sprawia pan dziwne wrażenie, od naszego pierwszego spotkania.

— To niczego pan się w międzyczasie nie nauczył?

— Panie Wander, narobił mi pan sporo kłopotów — powiedział Kohl, poufale siadając koło niego. — Jednocześnie kilka razy mi pan dopomógł. Sprawia pan na mnie sympatyczne wrażenie, i być może wykorzystuje to. Pańska rzecz!

— Bądźmy konkretni, panie Kohl! Jest pan w jakimś potrzasku i zapewne zadaje pan sobie pytania. Po pierwsze: kto mnie w to włądował, po drugie: kto mnie z tego wyciągnie? Zgadza się?

— Jak najbardziej!

— Nie powinien pan jednak próbować wiązać mnie w jakikolwiek sposób ze śmiercią Sabiny Wassermann — stwierdził Wander.

— Jakikolwiek? Dobre sobie! — inspektor Kohl zaśmiał się tubalnie. — Pańska kandydatura sama się nasuwa! A jeżeli chce pan wiedzieć dokładnie: tylko pańska!

Karl Wander zacisnął powieki, jakby oślepiło go jaskrawe światło. — Mógł mi pan tego oszczędzić, sobie też! W końcu ma pan instynkt!

— Owszem, mam! I mój instynkt mówi mi, że jest pan lekkoduchem, spryciarzem i hazardzistą. Gra pan jednak fair, niemal po koleżeńsku.

— To ostatnie niech pan sobie daruje, ten wyraz w moim słowniku już nie istnieje. Dalej!

— Proszę bardzo. Zacznijmy od pańskiego brakującego, a w każdym razie marnego alibi na czas popełnienia przestępstwa.

— Niech się pan nie wygłupia — zawołał Wander niemal agresywnym tonem. — Równie dobrze mógłby pan podejrzewać każdego w Bonn, kto nie mógłby jednoznacznie udowodnić, gdzie znajdował się owej nocy między drugą a trzecią.

— Skąd pan wie, że chodzi o tę godzinę?

— Goni pan w piętke, panie Kohl, sam pan mi podał wczoraj przed południem tę godzinę, gdy kierował się

pan zapewne jeszcze swoim instynktem, oo- bym panu w dalszym ciągu zalecał.

— Nie tak szybko! Jest pan nie tylko jednym z wielu, ale po pierwsze tym, który mieszka w najbliższym sąsiedztwie denatki. Po drugie: bardzo dobrze ją pan znał. A w końcu usiłował ją pan zaatakować w publicznym lokalu.

— Skąd pan o tym wie? — Wander zerwał się z miejsca. — Kto na mnie donosi?

— Wiem, kto, i to panu powinno wystarczyć. W Kolonii jest prawie tuzin świadków, którzy widzieli, jak owa dama chlusnęła panu whisky w twarz. Zgodnie z ich zeznaniami dostała białej gorączki ze złości.

— Powiedziałem jej wtedy tylko, czym była w moich oczach: ostatnią swołoczą! Nic poza tym. Morderstwo nie znajduje się w moim repertuarze.

— A powiedzmy, żeby ująć to inaczej: zabójstwo w afekcie?

— Przykro mi, panie Kohl, ale w to mnie pan nie wrobi!

— To jeszcze nie wszystko, panie Wander, jeszcze nie skończyłem. Nienawidził pan więc tej osoby...

— Powiedzmy dokładniej: pogardałem nią.

— Zapewne podobnie mocno, jak ją pan kiedyś kochał.

— Ten typ kobiety nie daje się kochać. Może to być co najwyżej chwila nierozwagi!

— W każdym razie miał pan romans z Sabiną von Wassermann-Westen.

— Ale było to dziesięć lat temu! Niech pan wreszcie przestanie bawić się ze mną w chowanego! Zapewne tylko po to, żeby się nie poparzyć gdzie indziej, trudno. A co z naszymi nocnymi markami: Morgenrotem i Frostem? Czy są czyny, do których byliby niezdolni?

— Nie przeoczyłem ich, ale obaj znajdowali się w tym czasie w Kolonii — odparł Kohl.

— Wzajemnie to sobie poświadczają, tak?

— Mają nawet świadków.

— Dowodzi to jedynie, że stać ich na kupienie wszystkiego!

— Być może — powiedział zmęczonym głosem Kohl. — Tylko że zanim dobiorę się do takich świadków, minie tro-

chę czasu, na razie trzymam się pana i danych, które mi zostały dostarczone, mniejsza o to, przez kogo. Wszystko to z pewnego drobnego, ale brzemiennego w skutki powodu: będzie się pan musiał bronić, panie Wander! A najlepszą obroną będzie pomoc w odnalezieniu prawdziwego winowajcy.

— Chce mnie pan w ten sposób zdegradować do roli pańskiego psa policyjnego? Nic lepszego nie przychodzi panu na myśl? A nie lepiej byłoby poprosić mnie o współdziałanie na starych, sprawdzonych zasadach?

Kohl nabrał powietrza, zamknął oczy, potem znowu je otworzył i głośno powiedział, jakby składał ważne wyznanie: — Tak, proszę pana!

— Zgoda — powiedział z ulgą Wander. — Pod warunkiem udzielenia mi odpowiedzi na pewne pytanie.

— Znowu pan zaczyna się targować?

— Muszę postawić to pytanie z powodów osobistych, niezwykle dla mnie ważnych. Może pan odpowiedzieć na to pytanie na trzy sposoby: „tak”, „nie”, albo poprzez milczenie. Poza tym bez wymówek i ogólnych komentarzy. Pytanie brzmi: Czy wiadomość na temat moich wcześniejszych stosunków z Sabiną Wassermann otrzymał pan od amerykańskiego dziennikarza Petera Sandmana?

— To naprawdę wszystko? — powiedział Kohl z wyraźną ulgą. — Odpowiedź brzmi: nie!

— To dobrze — powiedział Wander. — Wobec tego znowu możemy wspólnie wkroczyć na arenę! Jaki następny numer zamierza pan wykreślić przy mojej pomocy?

— Przede wszystkim konieczne zabezpieczenie, niech się pan głupio nie krzywi, to mi przeszkadza! Sporządzą więc notatkę, że odmówił pan udziału w przesłuchaniu, do czego z prawnego punktu widzenia jest pan upoważniony. Następnie w innej notatce przytoczę inne znane mi na pański temat informacje, czego i tak się nie da uniknąć. Zaopatrzę je krytycznymi, polemicznymi uwagami.

— Serdeczne dzięki! — odparł ironicznie Wander. — Gdybym miał otrzymać okoliczności łagodzące, pomyślę o panu z wdzięcznością. A co z moimi faworytami?

— To drażliwy punkt, drogi przyjacielu! Te adresy już znam. Żeby się do nich dostać, muszę dysponować niepodważalnym, konkretnym materiałem. Może go pan dostarczyć?

— W tej chwili, nie.

— No właśnie. Jak pan myśli, co się stanie, jeżeli w którymś z moich raportów ukaże się nazwisko jakiejś tak zwanej wysoko postawionej osobistości? Co wtedy? Zapewne sprawa zostanie mi błyskawicznie odebrana.

— Tego trzeba oczywiście uniknąć — stwierdził Wan-der. — Tylko jak?

— Musi mi pan pomóc i to bez zastrzeżeń! Wiele sobie po tym obiecuję.

— Drogi przyjacielu, pan mi nie tylko ufa! Pan mi się wręcz powierza! Cóż jest tego powodem? — zapytał Wander.

— No cóż — po naszym wspólnym występie z Barran-skim mógł mnie pan szantażować — wyznał Kohl. — Byłby to dla mnie ostatni gwóźdź do trumny. Pan tego jednak nawet nie próbował.

— Może nie jestem wzorowym uczniem, ale na każdej lekcji czegoś się jednak uczę — odparł Wander z przyjaznym uśmiechem. — Zapewne właśnie to uznałem za najwłaściwsze.

Tego dnia znajdujący się w podróży, jak to sam określił „dla rozrywki” starszy szeregowy Fünfinger zawitał u Wandera. Do picia zażądał szampana, do którego, jak twierdził, bardzo się przyzwyczaił, miał nadzieję, że nie spotka go zawód.

— Czy moim kosztem też chce się pan zabawić, proszę bardzo! — oznajmił Wander. — Niech pan sobie jednak za dużo nie obiecuję, ponieważ sam siebie zaczynam uważać za głupca.

Fünfinger poprawił w fotelu swoją nieforemną postać.

— Pan jest w porządku — zapewnił. — Przyjechałem tylko po to, żeby złożyć następne, nie mniej lukratywne oferty.

— Obawiam się, że moje potrzeby zostały zaspokojone — oznajmił Wander.

— A więc niech się pan stara inwestować w zapasy -r poradził Fünfinger.

— Przecenia pan moje możliwości, panie Fünfinger. Nie jestem tym, za kogo mnie pan uważa.

— A cóż nie pozwala panu być zadowolonym i to w chwili, kiedy nasza sprawa tak ładnie się rozwija? — zapytał starszy szeregowy.

— Naprawdę takie pan odnosi wrażenie?

Fünfinger uniósł kieliszek i z przekonaniem przytaknął. — Wreszcie jest jakiś ruch w tym stadzie świętych krów! Nawet egzemplarze uważane powszechnie za niewzruszone wykazują pewne ożywienie. Niektórzy zaczynają już trząść tyłkami o swoje posady, a to oznacza, że dostrzegli wreszcie, iż za coś biorą pieniądze.

— To tylko chwilowy popłoch.

— I właśnie dlatego trzeba się stale troszczyć o nowe porcje niepokoju! Nie jestem wcale sam. Jest sporo młodych ludzi, także młodych oficerów, którzy są zaniepokojeni i niezadowoleni. Chcą krytyki, przynajmniej możliwości dyskusji, ale jak tu dyskutować z generałami! Nasze umundurowane śpiochy chcą dalej spokojnie drzemać. Najważniejsze, żeby broń i pojazdy były czyszczone i konserwowane. Poza tym marzą tylko o galonach, wypolerowanych guzikach, połyskujących pagonach, epoletach, do tego orderach, medalach, odznaczeniach i o wielkiej sławie, uznaniu i wpływach, w tym realizuje się ich byt.

— Wiem, blask i chwała — powiedział Wander. — Również po dwóch katastrofalnie przegranych wojnach nie chcą sobie tego wsadzić tam gdzie trzeba, czyli w dupę, ewentualnie wywalić na śmietnik historii.

— No właśnie. Trzeba uświadomić to tym specjalistom od sztafażu, bo sami nigdy na to nie wpadną! Właśnie pan zabrał się za to w sposób obiecujący, a ja chciałbym pomóc.

— Nie sądzi pan, że to bez sensu?

— Moim zdaniem całkowicie bez sensu są w tej branży rzeczy następujące: gwardia honorowa, orkiestra dęta, specjalne boże błogosławieństwo, haftowane sztandary, śmietnik tradycji, gadanina o istocie dyscypliny, podziw

dla bomby atomowej i pogawędki w kasynie. Do tego ten niezniszczalny, koszarowy katechizm trepów! A ponieważ właśnie pan spróbował coś z tym zrobić, jestem na pana usługi.

— Ciągłe te oczekiwania! — powiedział wyczerpany Wander. — Mogę robić, co się da, albo i nie robić, ciągle wynikają z tego nowe oczekiwania. A pan jest chyba najgorszy! Nie chce pan nic w zamian, oferuje się tylko jako bezinteresowny zwolennik. Czy jest to na takim świecie postępowanie fair?

— Nie chce pan chyba uderzać w sentymentalną strunę? — zapytał zdziwiony Fünfinger. — Chce pan chyba wymieść ten gnój, nie? Poza tym jest pan typem człowieka, który narobi smrodu właśnie tam, gdzie jest to zabronione.

— Niech mi pan nie przyprawia gęby, panie Fünfinger! W głębi duszy jestem tak zwanym „prawdziwym Niemcem”, co oznacza, że wszelka rewolucja kończy się dla mnie w momencie, kiedy na skrzyżowaniu zapala się czerwone światło. Owszem, zaczynałem kiedyś jako tak zwany „uszcześliwiacz” ludzkości, ale być może chcę właśnie teraz zacząć obcinać z tego kupony. Co, nie do wiary?

— Wtedy też wchodzę w ten interes.

— Nawet gdyby miał nie przynieść żadnych bezpośrednich korzyści?

— Wystarczy mi sama radość!

— A co może mi pan tym razem zaoferować?

— Mnóstwo rzeczy — zapewnił Fünfinger. — Można by na przykład sprokurować zniknięcie następnych przedmiotów: nie tylko głowic, ale i całych urzędzeń naprowadzających, nawet tajnych akt. Ten trik z zatapianiem w wykopach budowlanych byłby za drugim razem zbyt nudny. Co by pan sądził o uprowadzeniu całego wozu bojowego, najnowszego typu?

— Zapewne może pan sobie pogratulować — powiedział Peter Sandman bez cienia serdeczności. — Rzeczywiście udało się panu mnie zmylić! Dotychczas byłem uznawany za dobrego znawcę wielkich zakulisowych intryg.

— Niech tam, może mi pan zarzucać, co się panu podoba! — zawołał Wander niemal ze wstrętem. — Może to i prawda? Jestem głupcem, kłamcą, intrygantem i kto wie czym jeszcze! Może nawet pośrednio mordercą!

— Niech pan nie próbuje przedstawiać się w interesującym świetle! — Peter Sandman sprawiał wrażenie rozdrażnionego. — Całkowicie mi wystarcza, że udawało się panu blefować jak staremu pokerzyście.

— Kiedy mianowicie, przy której partii?

Peter Sandman sam zaprosił Wandera na tę rozmowę. Spotkali się w winiarni w Bad Godesberg, niedaleko Römerstrasse, tuż nad Renem. — Może pan zaprzeczy, że zdarzyło się teraz dokładnie to, co uprzednio uważał pan za całkowicie wykluczone?

— Wybacz pan, Peter, ale ostatnio pytam czasami sam siebie, co ja tu właściwie narobiłem. Trochę z niewiedzy, trochę niechcący. O co chodzi tym razem?

— Oczywiście o Feldmanna! Jest na najlepszej drodze do tego, żeby zostać ministrem obrony, pan natomiast bardzo istotnie przyczynił się do sprzedania mu armii. Właśnie jemu!

— Chce mnie pan sprowokować?

— Czy to w ogóle możliwe? — Amerykanin uderzył otwartą dłonią w dębowy stół, co zabrzmiało jak wymierzony policzek. Sam się przestraszył tego odgłosu, robiąc ciągle wrażenie zdenerwowanego. — Czy pan nie widzi, co się dzieje, czy może nie chce pan już się temu przyglądać?

— Być może — odparł Wander. — Wydaje mi się, że jestem piłką kopaną ze wszystkich stron. Jeżeli chodzi o Feldmanna, to nadal jestem zdania, że został wyznaczony bezpośrednio przez kanclerza.

— Jest to całkowicie możliwe! Tylko jeżeli taki typ jak on raz dostanie się na świecznik, już z niego nie zejdzie, niezależnie od tego, kto go tam posadził. Domyślałem się tego, ale pan mi to wyperswadował, z pewnością wiedząc o wszystkim, tak blisko obiektu nie był przecież nikt.

— Być może za blisko — Wander jak gdyby prosił o wyrozumiałość. — Niewątpliwie stykałem się z pewnymi sprawami, nie zauważając ich. Naprawdę wierzy pan, że Feldmann chce dostać ministerstwo obrony?

— Jest to prawie pewne — wyjaśnił Peter Sandman. — Ludzie Feldmanna, a wśród nich pan, odwalili całą robotę. Zwłaszcza Krug nieźle się przyczynił. Jego frakcja wprawdzie nie wzięła bezpośredniego udziału w akcji, ale jej działania były bardzo skuteczne. Wsparcia udzielali prawie wszyscy, mając nadzieję, że to właśnie ich interesy są załatwiane. Przyłączali się wszyscy: zainteresowani obronnością przedstawiciele opinii publicznej, najróżniejsze stowarzyszenia, miłujący wolność ludzie polityki, nauka i sztuka, a do tego tak zwana opozycja... Zgoda, nie był pan w stanie wszystkiego przejrzeć. Ale właśnie pan powinien zauważyć, co w trawie piszczy. Człowieku, zadając się z Feldmannem trzeba się zabezpieczyć *ze wszystkich* stron!

— Zaufałem mu — wyznał cicho Karl Wander.

— Idiota — podsumował serdecznie Peter Sandman. — Z kimś takim się przyjaźnię!

Obaj zaśmiali się, potrząsając głowami. Obaj dostrzegli swoją śmieszność.

— Ileż brzemienych w skutki i przykrych przypadków na raz! — zawołał Sandman. — Krug dorwał właśnie pana! Kanclerz zaufał Feldmannowi! Minister obrony ćwiczy się w godnej podziwu powściągliwości. Na tym tle przepychanki między generałami o lepsze stołki są tylko oczywistością.

— Tylko nie Feldmann — powiedział jakby do siebie Wander. — On nie może zostać ministrem obrony, nie jest wystarczająco czysty. Jestem głęboko przekonany, że jedynie ktoś moralnie bez zarzutu może uprawiać czystą politykę.

— Niesamowite! — wykrzyknął Peter Sandman z ironicznym przerażeniem. — Uprzednio też pan miał tego rodzaju moralizatorskie napady? To by wiele wyjaśniało!

— Człowiekowi bez skrupułów, bez prawdziwego poczucia odpowiedzialności nie można oddawać władzy nad innymi.

— Wspaniale! Czy mogę panu powiedzieć, mój biedny przyjacielu, jak będzie wyglądało w praktyce? Kolejny inspektor generalny będzie się nazywał Keilhacke, komi-

sję obrony w parlamencie dostanie Krug, a Feldmann będzie wodzem naczelnym pańskiej bundeswery.

— To się nie może stać! — zawołał z powagą Karl Wan-der.

— Chce pan temu zapobiec? Feldmann nie może się już wycofać! Powiedział dzisiaj na posiedzeniu swojej frakcji: „Nigdy się nie narzucam, jednak kiedy jestem wzywany, wywiążę się z moich zobowiązań!” Kto może temu jeszcze zapobiec? Może pan?

— No, jest pan wreszcie! — zawołał Karl Wander do nadinspektora Kohla, który stał właśnie przed drzwiami. — Nie wygląda pan na szczęśliwego. Co się panu stało?

— Zostałem w międzyczasie komendantem policji w Neubergu. Nie zna pan Neubergu? Ja też nie. To podobno piękne, malownicze miasteczko, wprawdzie nieco na uboczu, ale z pewnymi perspektywami, około dziesięciu tysięcy mieszkańców, szpital, trzy kościoły, prawie trzydzieści stowarzyszeń i ponad czterdzieści knajp. To będzie dopiero życie!

Wander spojrział zdruzgotany. — Jak pan znalazł tę chałturę?

— Zawdzięczam ją niewątpliwie panu, chociaż nie powinien pan oczekiwać ode mnie specjalnych podziękowań! Przyszedłem tylko, żeby się pożegnać, być może na zawsze.

— Czy to znaczy, że pan kapituluje?

— To niewłaściwe określenie. Muszę jedynie wyciągnąć konsekwencje z faktu, że nie dość dokładnie przestrzegalem zasad naszych gier towarzyskich. Nie mogłem albo nie chciałem dostarczyć oczekiwanego ode mnie materiału. Materiału na pański temat, panie Wander! Załatwi to pewnie ktoś inny i na to właśnie chciałem pana przygotować.

— Nie tak szybko! Czy naprawdę nie znalazł pan nic użytecznego, co mogłoby wskazywać na ewentualnego sprawcę w sprawie Sabiny Wassermann, a do tego Ewy Morgenrot?

— Nic, żadnych uchwytnych wskazówek. Ani śladu nawet załączka dowodu. Żadnych bezpośrednich, obiecujących poszlak, z wyjątkiem tej, która prowadzi bezpośrednio do pana.

— Ale przecież sam pan dobrze wie, że to fałszywy trop!

— Ja tego nie wiem, ja to tylko zakładam. Zadaję sobie jednocześnie pytanie, w jakich okolicznościach możemy się jeszcze spotkać, być może przed ławą przysięgłych, gdzie pan wystąpi jako oskarżony. Będę musiał wtedy powiedzieć wszystko, co wiem, a będzie to przemawiać przeciwko panu.

— Tylko przeciwko mnie? — zapytał natarczywie Wan-der, nie bez rosnącego strachu. — A co z innymi?

— A przeciwko komu jeszcze? — inspektor spojrział ze smutkiem na Wandera. — Nie zaniedbałem pańskich pośrednich i bezpośrednich wskazówek. Dokładnie je nawet zbadałem.

— I co, bez skutku? — Wander był załamany. — Niech mi pan nie próbuje tego wmawiać! To, co powiedziałem, miało ręce i nogi.

— Moje dochodzenie nie przyniosło żadnych uchwytnych rezultatów — kontynuował zrezygnowany Kohl ze spokojem. — Nie pomógł ani pan, ani młody Morgenrot, ani Frost, ani nawet owa Marlena Wiebke...

— Przecież ona nie ma z tym nic wspólnego! Poza tym, to nie moja dziewczyna! Oświadczam to jednoznacznie! — wyjaśnił Wander.

— Niewątpliwie z żalem? Trudno! Nie pominąłem jak sądzę nikogo, kto był, czy mógłby być w jakikolwiek sposób związany ze zmarłą. Nie wykluczyłem nawet Kruga i Feld-martna, zapewne zrobiłem to zbyt pośpiesznie i nieostrożnie. Moja przyszła kariera w Neubergu jest tego niewątpliwym następstwem. Krug w każdym razie odbywał w interesującym nas czasie naradę z kolegami partyjnymi, co niektórzy z nich potwierdzają.

— A Feldmann?

— Dowcipniś z pana, Wander! — burknął niechętnie Kohl. — Myśli pan, że mógłbym świeżo upieczzonego ministra po prostu wezwać do siebie na komisariat? Po pierw-

sze, chroni go, podobnie jak Kruga, immunitet. Poza tym jesteśmy związani pewnymi zaleceniami, które mówią, że my, niżsi rangą urzędnicy, musimy w niektórych przypadkach postępować z najwyższą ostrożnością. Na przykład jeżeli istnieje tylko przypuszczenie, że członek rządu, korpusu dyplomatycznego, parlamentu, rady federacji czy ministerstwa obrony jest w cokolwiek zamieszany, nawet w zwykły wypadek samochodowy, to natychmiast należy zameldować o tym fakcie przełożonemu. Oficjalnym uzasadnieniem jest możliwość uzyskania przez nas wszelkiej dostępnej pomocy. W praktyce oznacza to jednak, że jesteśmy wyłączani, a za tę kupę gówna zabierają się zaufani specjaliści.

— O ile pana znam, zwykle nie stosuje się pan do tych zaleceń.

— Robi się, co się da — stwierdził zamyślony Kohl. — Zazwyczaj nie jest *to* zbyt wiele. Minister Feldmann w każdym razie twierdzi, że owej nocy pracował w swoim biurze, gdzie również spał. Tego zeznania nie jestem w stanie podważyć. Nawet nie zdążyłem podać go w wątpliwość, gdy nastąpił awans. Awansowali mnie aż do Neubergu. Czego pan jeszcze chce?

— Tylko jednej informacji! Kto dostarczył panu danych o moich wcześniejszych stosunkach z Sabiną Wassermann?

— Oczywiście, że Krug — odparł inspektor. — Wiedział o panu wszystko, to też oczywiście. W jego obszernych aktach znajdują się najdziwniejsze szczegóły na temat Sabiny i pana. Jest tego nawet więcej niż trzeba, żeby narobić panu kłopotów.

— Może to oznaczać tylko jedno! — wykrzyknął Wander. — Krug od początku spekulował tymi danymi!

— Niewykłuczone. Całkiem możliwe, że w jego oczach był pan od początku tylko użytecznym obiektem, dość pewną pozycją w przyszłym rachunku, gdyby był zmuszony do wystawienia takowego.

— Czyli najpierw coś jakby papier do pakowania, a potem już tylko makulatura!

— Niech się pan wreszcie z tym pogodzi — zalecił ochryłym głosem Kohl. — Czy ma pan jakiś inny wybór?

Raport człowieka zwanego Jerome

— część dziewiąta

O niebezpiecznym bezsensie ciągłego oczekiwania racjonalnych procesów myślowych — zawsze lepiej jest liczyć się z nie kontrolowanymi reakcjami.

Me jest bynajmniej tak, że w naszym fachu nie liczymy się z prywatnymi powiązaniem różnego stopnia. Jednak w praktyce rzadko okazują się one czymś więcej niż sprawami drugorzędnymi. Obojętne jest, kto z kim śpi, i tak ma to niewielki wpływ na kwestie władzy, wpływy publiczne czy wreszcie zyski natury finansowej.

Bardzo rozpowszechnionym w naszej branży błędem jest przecenianie rozmów łóżkowych. Odgrywają one niewątpliwie dużą rolę w podrzędnej literaturze, jednak w codziennej, rozsądnej pracy agenta nie ma na nie miejsca. Nie wyklucza to faktu, że wiedza o pewnych sprawach intymnych, jak na przykład homoseksualizmie, może być niekiedy wykorzystywana jako dodatkowy, skuteczny środek nacisku.

To, co nazywano „życiem prywatnym Feldmanna” już od lat było znane mojej placówce. W żadnym wypadku nie był to jakiś niezwykle wyjątek. Faktem jest również dyskrecja Feldmanna i jego swoiste poczucie taktu. Inni nie zadawali sobie aż tyle trudu.

Feldmann świadomie dbał o swój wizerunek, był wręcz ulubieńcem czasopism kobiecych. Pomimo że jego zażyłość z Sabiną von Wassermann-Westen wyszła na jaw, udawało mu się przedstawiać ją jako rodzaj przyjaźni.

Z kolei Wassermann-Westen była na tyle mądra czy wręcz sprytna, że nie wykorzystywała tego romansu publicznie, unikała nawet jakichkolwiek sugestii w tym względzie. Jednak odpowiednio kręgi wiedziały, co jest grane.

Efektom tego był jej dom w Kolonii, potężne konto bankowe, a także oplacalne kontakty w interesach. Feldmanna nie kosztowało to ani feniga, a opłaciło mu się w niezwykle przyjemny sposób.

W ostatnich miesiącach Sabina wykazywała jak gdyby mniej chęci do pracy. Być może dlatego, że zaczęto uważać ją za mniej przydatną do działań w sferze intymnej. Zatrzaszczyła się jednak o dobre zastępczynię, do których zapewne należała Ewa Morgenrot.

Efektu tego stanu rzeczy nie był początkowo świadomy nawet Feldmann. Zależało mu wyłącznie na tym, żeby nie angażować własnych uczuć, nie czynić niepotrzebnych obietnic i na czas zapobiegać grożącym nieprzyjemnościom! Na Wandera oczywiście nie zwracał uwagi.

W tym układzie szczególny kłopot sprawiała Sandmano-wi, a początkowo również mnie, następująca kwestia: Feldmann zadał się z nieobliczalną, nadpobudliwą i nieodpowiedzialną Ewą Morgenrot... A może tylko ten jeden raz? Być może, podniecony, dał się zwabić w ten miękko zamykający się potrzask? Ale to była córka wpływowego Mor-genrota! Potrzebował go przecież koniecznie do przeprowadzenia swojej akcji, niczym nie mógł zakłócić tej obiecującej współpracy. To dziwny i niezwykle skomplikowany epizod, zupełnie nie w stylu Feldmanna.

Wreszcie znalazłem prawdopodobne wytłumaczenie, które było jednocześnie kluczem do wyjaśnienia wszystkich innych dotychczas niezrozumiałych wydarzeń. Dopomógł mi w tym dostarczony nam pamiętnik pani Was-sermann-Westen, wyrachowany, dość wyrafinowany skalkulowany dokument uwalniający od zarzutów.

Wynikało z niego, że przy pierwszym spotkaniu Feldmann rzeczywiście nie wiedział, kim była naprawdę Ewa Morgenrot. Zapewne uważał ją za jedną z wielu. Dopiero później dowiedział się, o kogo naprawdę chodziło. Efektem mogły być, choć zapewne nie w bezpośredni sposób, próby wywierania nacisku.

Jednak najważniejszym osiągnięciem był dla mnie wniosek końcowy: Akcja w sprawie armii mogła być pomysłem Feldmanna, ale inspiracja pochodziła zapewne od Kruga. To właśnie Krug operował w sposób przewidujący wspólnie z dyrektorem Morgenrotem i Sabiną Wassermann-We-sten. To ci troje byli właściwym źródłem dla wszystkich wydarzeń.

Mc dziwnego, że zgodnie ze sprawozdaniem Sandman-na Wander stał się nieufny, po tym jak widział u Morgen-rotą zaskakującą chęć współpracy. Mimo to oczywiście nie zorientował się, w jaki spisek został wplątany.

Kiedy wreszcie rozpracowałem ten podstawowy układ, sprokurowałem pewne działania wywiadowcze. Ich wynik był już mniej zaskakujący: o ile między Feldmannem a Wassermann-Westen istniał wieloletni, intymny związek, pomiędzy nią a Krugiem rozpoczęły się nader intensywne kontakty natury handlowej.

Gdy następnie Sabina dorwała się do starego Morgen-rotą — czy też on do niej, zapewne w wyniku manipulacji Kruga — rozpoczęła się współpraca obiecujących partnerów, a wraz z nią wielka nagonka wokół wielomiliardowego projektu.

Wciągnięcie do wszystkiego Wander a było chyba pomysłem tylko Sabiny. Widziała w nim, najzupełniej słusznie, „prostodusznego głupca”, śmieciarza o idealistycznych zapatrywaniach, ale również, w razie potrzeby, użytecznego kozła ofiarnego.

Nigdy nie udaje się uniknąć błędów w tego typu planach. Angażując Wandera ściągnęli sobie na kark człowieka wyraźnie pozbawionego owej zdolności wyczuwania różnicy między postępowaniem celowym a zgodnym z prawem, prawdą a marzeniem, rzeczywistością a fantazją, teorią a praktyką.

Nic na tym świecie nie może być bardziej beznadziejne.

10

Prawda wygląda zawsze na niepodzielną - niewielu chce jednak wiedzieć, co to może oznaczać

Nie wyobraża pan sobie, panie Wander, jak bardzo cieszy mnie pana widok — zapewnił stary Maksymilian Morgenrot zacierając ręce. — Już kilka razy nosiłem się z myślą, czy nie poprosić pana o odwiedzinę, ale obawiałem się, że odczyta pan to jak zwykłe wezwanie po odbiór należności.

— A za cóż to? — spytał Karl Wander. Spojrzał na biurko dyrektora, ale tego, czego szukał wzrokiem, już tam nie było. Srebrna ramka ze zdjęciem Sabiny zniknęła. — Czyżbym rzeczywiście zrobił coś, co przedstawiałoby dla pana jakąś wartość?

— Nawet bardzo wiele! Przede wszystkim nasza wspólna akcja, która przecież rozwija się doskonale! Przy tym ta przez pana, przez Kruga i jego współpracowników rozpoczęta kampania jest wprawdzie niezłym majstersztykiem, ale ministrem obrony zaledwie potrząśnie. Obali go dopiero dostarczony przeze mnie materiał.

— Przypuszczam, że zainwestował pan w ten projekt mnóstwo pieniędzy.

— Mówiąc między nami, ani feniga! — rozbawiony Morgenrot krążył tanecznym krokiem po pokoju. — Kiedy naciągnął pan ze swoją ofertą, dysponowałem już całym, potrzebnym materiałem. Następnie przeprowadziłem rokowania z Feldmannem, kazałem sobie zwrócić wszystkie koszty i zapewnić pewne gwarancje na przyszłość.

— A ile wyniesie moja prowizja?

Stary Morgenrot zaśmiał się demonicznie. — Te rzeczy, mój drogi, należy zawsze ustalać z góry. Może i inteligent-

ny z pana gość, ale ode mnie może się pan jeszcze sporo nauczyć.

— Też się tego obawiam — potwierdził Wander. Z trudnością udawało mu się utrzymać skaczącego Morgenrota w polu widzenia, ponieważ ten zmieniał co chwila kierunek ruchu.

— Ale dlaczego wezwał mnie pan jeszcze raz?

— Dlaczego pan pyta? Przecież dobrze pan wie! — Morgenrot przebiegł od okna do biurka. — Wie pan przecież, że przywiązuje dużą wagę do poznania szczegółów pewnych wydarzeń.

— Związanych ze śmiercią pańskiej pasierbicy Ewy oraz pani Sabiny von Wassermann-Westen. A które szczegóły interesują pana najbardziej?

— Wszystkie, które pan zna! Interesują mnie także pańskie przypuszczenia. Być może tylko ze względu na to, że chciałbym otrzymać potwierdzenie tego, co sam wiem albo przypuszczam.

— Za to oferował mi pan ostatnio dziesięć tysięcy marek?

— Ta oferta jest ciągle ważna — zapewnił stary Morgenrot. — Przede wszystkim dlatego, że zawdzięczam panu w sposób pośredni mały mająteczek, a wkrótce dojdzie do tego jeszcze jeden, znacznie większy. Poza tym chciałbym pana jakoś przywiązać do siebie, ludzi z pańskim talentem nie można lekkomyślnie zostawiać konkurencji.

— Pańska zapłata zobowiąże mnie jedynie do pełnej informacji, tu i teraz! Do niczego więcej! Zgoda? — Wander ujrzał, jak Morgenrot niecierpliwie skinął głową. — Wobec tego niech pan wypisze czek i połóż go na stole, w zasięgu mojej ręki.

Tak też się stało. Stary Morgenrot szybkimi ruchami napisał kilka słów i cyfr na podłużnym, jasnoblękitnym kawałku papieru, a następnie zamasyżycie podpisawszy podsunął go Wanderowi. Ten przeczytał i skinął głową.

— A więc, kto ma Ewę na sumieniu! — zawołał natarczywie Morgenrot.

— Zapewne pan, ale ponieważ interesuje się pan tylko ostatnią fazą wydarzeń, ograniczę się tylko do nich. Mógł to być pański syn Martin. Zaskakuje to pana?

— Dlaczego, młody przyjacielu? Tego się spodziewałem.

Zabrzmiało to, jakby powiedział: „Taką miałem nadzieję”. Obojętnie kontynuował: — Ten osobliwy stosunek między nimi musiał się kiedyś zakończyć katastrofą — ochoczo wyjaśnił Morgenrot swemu gościowi. — Gdyby Ewa była bardziej rozsądna albo przynajmniej wyrachowana, uległaby jego popędowi zyskując w ten sposób oddanego sobie niewolnika.

— Jest więc sama sobie winna, że została pobita przez Martina, być może przy pomocy niejakiego Sobottke, prawie na pewno pod kierunkiem pańskiej Sabiny. Również Feliks Frost mógł brać w tym udział, przynajmniej pośrednio.

— A pański udział, panie Wander?

— Nic mi o nim nie wiadomo. Słowo! Jeżeli pan chce mogę przysiąc na ten czek — zażartował bez specjalnej przyjemności Wander. Następnie zapewnił prawie z pośpiechem: — Naprawdę nie wiem, jaki wpływ wywarłem na to wszystko. Ja po prostu chciałem pomóc, nic poza tym. To jednak może już okazać się niebezpieczną ingerencją. Zwłaszcza w przypadku Ewy, która zrobiła na mnie wrażenie niezrównoważonej.

Morgenrot czyhał za swoim biurkiem. Prawie bezgłośnie powiedział: — Musiał ją pan wystraszyć i wpędzić w panikę! W jaki sposób? Co pan o niej wiedział? Żądał pan od niej jakiegoś dokumentu? Groził jej pan?

— Niby dlaczego? Zapewne zasugerowała to panu Sabi na von Wassermann-Westen. Martin i Frost podążali chyba tym samym tropem. Czy Ewa była w posiadaniu jakichś niebezpiecznych materiałów?

Morgenrot zerwał się z miejsca i jak gdyby w ucieczce wycofał się do najdalszego kąta swojego dyrektorskiego gabinetu, gdzie plecami nieomal wczepił się w zawieszony tam kilim. Stamtąd zawołał z ukrywanym tryumfem: — Nic pan więc o tym nie wie! Nie jest pan wart tych pieniędzy, może pan je sobie jednak zabrać!

— Jako rodzaj napiwku, jak przypuszczam. Śmierć Ewy zaoszczędzi panu podziału majątku i automatycznie podwoi spadek Martina. Sabina wiedziała o tym. Ale czy pan wie dział, że to właśnie ona wciągnęła pańską córkę Ewę w szybką, niepewną i zapewne niezbyt przyjemną przygodę z Feldmannem?

Stary Morgenrot odwrócił się, podniósł wzrok na wiszący na ścianie kilim i powiedział: — Jeżeli to prawda, zapłaci mi za to!

— Nawet na tym chce pan zrobić interes?

— A cóż mi innego pozostaje?! — Morgenrot zostawił w spokoju kilim przedstawiający tłustą boginię w niedbałej pozie. — Myśli pan, że zacznę teraz ronić łzy, i to nad tym, co nieodwracalne?

— Czy ma pan tu na myśli również Sabinę? Podczas mojej ostatniej wizyty dostrzegłem na pańskim biurku jej fotografię w srebrnej ramce.

— No i co z tego? — Morgenrot zdawał się teraz sprawdzać stan czystości szyb w oknach. — W końcu jest to niezwykle szanowana osobistość, o przepraszam, była! Z pewnością wie pan o tym, że tak powiem, z autopsji. Skąd o tym wiem? Od niej samej. Opowiedziała mi o wszystkich szczegółach swojego życia. Była na tyle rozsądna, żeby to uczynić.

— Była również na tyle rozsądna, żeby zaprzyjaźnić się nie tylko z panem, ale i z członkami pańskiej rodziny. Następnie sprzedawała Ewę, skorumpowała Martina, a tego Feliksa Frosta zachęciła do osobliwej przygody.

— Zapewne widzi pan to wszystko w niewłaściwym świetle — skorygował niemal z troską Maksymilian Morgenrot. — Sabina początkowo załatwiła mi kilka interesów, co doprowadziło nas do pewnego rodzaju przyjaźni, a w końcu nawet do myśli o małżeństwie.

— I również do pewnego rodzaju paktu zawartego między nią a Martinem, ponieważ dla nich obojga egzystencja Ewy oznaczała utratę grubych milionów. Połączyli się więc. Tymczasowa wspólnota interesów we wspólnym czynie, zapewne także w łóżku.

— Tutaj poniosła pana fantazja, panie Wander — stwierdził z uśmiechem stary Morgenrot. — Nie rozumie pan mentalności kobiet takich jak Sabina. Jeżeli dobrze przemyślana inwestycja obiecuje takiemu człowiekowi duży zysk, jest on gotów ponieść każdą ofiarę. Od chwili, kiedy z rozmysłem zaproponowałem Sabinie małżeństwo, stała się dystyngowaną damą. Jestem tego absolutnie pewny.

— Ale wie pan, że była kochanką Feldmanna?

— Oczywiście, od niej samej. Sypiała z Feldmannem robiąc interesy z Krugiem. W końcu z tego powodu niejedno jej zawdzięczam. Również znajomość z panem.

— Chyba nie tylko jej nie doceniałem, najwyraźniej jej po prostu nie rozszyfrowałem — stwierdził Wander w zamyśleniu.

— Była nieoceniona, nie tylko umiała wynajdywać wartościowe kontakty, miewała również dobre pomysły, w pewnym sensie należy do nich również nasza akcja. Potem musiała popełnić jakiś decydujący błąd... Tylko jaki?

— Może nie dostrzegła tego Feliksa Frosta, a może nie traktowała go dość poważnie?

— Panie Wander, jeżeli uda się panu wykończyć tego typu, podwoją albo potroją sumą na pańskim czeku — zadeklarował Morgenrot. — Tyle jest dla mnie wart skalp tego podstępного hazardzisty.

— Jak on w ogóle znalazł dostęp do Ewy? Dlaczego zadawała się właśnie z nim? Czy była to tylko prowokacja? Kogo chciała prowokować? Pana? A może Martina? Może Sabinę?

— Zachwyca mnie pańska ignorancja! — oświadczył Maksymilian Morgenrot. — Dowodzi ona, że nawet pan, łądując w samym środku wydarzeń, nie ma zielonego pojęcia, co tu się naprawdę stało.

— Może pański syn Martin zna właściwą odpowiedź?

— Możliwe. Ale nie zamierzam go o to pytać, zakłóciłoby to niezbędny nam, oparty na zaufaniu wzajemny stosunek. Jest teraz w końcu moim jedynym dziedzicem. Najwyraźniej konsekwentnie dążył w tym kierunku i osiągnął swój cel! — stwierdził stary Morgenrot niemal z podziwem.

— Niech pan tylko uważa, żeby pewnego pięknego dnia i pana nie usunął z drogi! <

— Ja zawsze uważam! Liczę się z faktem, że Martin nie jest idiotą, teraz właśnie wyraźnie to udowodnił! — Mor-genrot przebiegł do szafy przy ścianie. — Dobrze wie, że jego miliony są zainwestowane w kierowanych przez mnie fabrykach, bez mnie byłby skończony.

— Na pana miejscu nie byłbym taki pewny, panie Mor-genrot — Wander spojrzął mu odważnie prosto w oczy.

— Być może śmierć Ewy była rzeczywiście wspólnym dziełem, ale dlaczego musiała umrzeć także Sabina Wassermann-Westen?

— Może Martin tego chciał?

— Zostało udowodnione, że nie mógł brać w tym udziału abstrahując od wersji, że byłby to rzeczywiście wypadek. Dochodzą do tego niezwykle skomplikowane układy. Na przykład niejaki Feldmann, obawiający się o swoją władzę i autorytet, do tego Krug, którego interesy wydają się zagrożone, nawet niejaki Sobottke, jeśli nie widział innej możliwości, a w biciu zwykle znajdował przyjemność. Dopiero w dalszej kolejności pański syn Martin i Feliks Frost, pański zięć. Obaj jednoznacznie zainteresowani ewentualnymi milionowymi zyskami. Niech pan również nie zapomina o mnie.

— Przecież pan chciał tylko zainkasować swoją działkę

— stwierdził Maksymilian Morgenrot. — Za to jest pan go towy możliwie najefektowniej oczernić mojego syna.

— Wcale nie muszę, to tylko efekt uboczny — wyjaśnił Wander. — Pański syn Martin wraz z Feliksem Frostem mogą udowodnić, że w momencie popełnienia przestępstwa byli w Dusseldorfie. Razem. W dodatku w lokalu dla homoseksualistów.

Morgenrot wykonał gwałtowny zwrot w stronę drzwi. Nerwowym ruchem chwycił za klamkę i jakby błagalnym wzrokiem spojrzął na Wandera.

Ten wstał, wziął czek i starannie złożony schował go do kieszeni. Następnie oznajmił: — Kto w rzeczywistości zabił tak przez pana kochaną, przyszlą małżonkę, jeszcze dokładnie nie wiem. Mam jednak nadzieję graniczącą

z pewnością, że wkrótce będą mógł dostarczyć panu nazwisko sprawcy. Uczynię to bezpłatnie, bo może się zdarzyć, że ta sprawa i tak będzie pana dużo kosztować.

— Nie ma pan chyba kłopotów? — spytał Konstantin Krug. — Przyszedł pan, żeby się pożegnać?

Emanując ostentacyjną uprzejmością przyjął Wandera w swoim biurze. Panna Wiebke przetała szlaki. Siedział jak na tronie ze swoim biurkiem podobny do posążków Buddy z katalogu wysyłkowego. Na jego ustach błąkał się lekki uśmiech, oczywiście przyjacielsko-zobowiązujący.

— Chciałbym pana prosić o wyjaśnienie mi pewnych spraw.

— Ależ z miłą chęcią, mój drogi, jeżeli to oczywiście konieczne.

— Powiedziałbym, że to wręcz niezbędne.

— Mniejsza o słowa — zapewnił Krug. — Proszę jednak, abyśmy w miarę możliwości ograniczyli się do spraw najważniejszych. Mam bardzo mało czasu, co zawdzięczam między innymi także panu.

Konstantin Krug początkowo żartował dalej tym samym beztroskim tonem, wspomniął o tak skutecznie, dzięki niezawodności Wandera, rozpoczętej kampanii i wyraził nadzieję, że będzie ona nadal przebiegać w tym samym tempie oraz kierunku.

— Niemala jest zapewne i pańska zasługa na tym polu! Wraz z panem ministrem doceniamy to. Nawiasem mówiąc, właśnie od niego chciałbym panu przekazać serdeczne podziękowania wraz z wyrazami uznania. Pańskie specjalne honorarium, jak pan zapewne wie, już na pana oczekuje.

— Czymże sobie na nie zasłużyłem? — zapytał otwarcie Karl Wander. — Moja działalność w żadnym wypadku nie miała na celu wykreowania Feldmanna na przyszłego ministra obrony.

— Ach, to widocznie jest powodem pańskiego niezadowolenia! — w głosie Kruga zabrzmiała ulga. — Drogi przyjacielu, przejęcie ministerstwa obrony przez pana Feldmanna nie było również w ogóle przewidziane.

— Tak w każdym razie sądziłem!

— I całkowicie słusznie! — Krug podniósł rękę jak do przysięgi. — Chodziło rzeczywiście, jak pana wielokrotnie zapewnialiśmy, o konieczne z politycznego punktu widzenia działania, na przekazane wewnętrznymi kanałami zlecenie samego kanclerza. To zadanie lojalnie staraliśmy się wypełniać, zmuszeni poczuciem odpowiedzialności do rezygnacji z pewnych zastrzeżeń natury osobistej. Całkowicie bezinteresownie...

— Co rozumie pan pod tym pojęciem? — wykrzyknął Wander.

Twarz Konstantina Kruga zastygła w bezruchu. Jego głos nie stracił jednak uprzejmego tonu. — Nie powinien pan przedwcześnie ulegać emocjom, a raczej przyjąć całą sprawę z zadowoleniem. Właśnie panu powinno być na rękę, gdyby pan Feldmann miał zostać ministrem obrony, co bynajmniej nie jest pewne i czemu stanowczo się opiera.

— Znamy to, początkowo nieco się kryguje. W końcu nie może natychmiast otwarcie przyznać, że tylko dlatego na-tłukł tyle porcelany, żeby tanim kosztem wejść w posiadanie całego sklepu. Chce, żeby go jeszcze przosili!

— Panie Wander — powiedział cicho, lecz niezwykle wyraźnie Konstantin Krug. — Jest pan najwyraźniej przepracowany. To zrozumiałe. Zbyt wiele usiłował pan wziąć na swoje barki. Doceniamy to, bo w końcu działał pan w naszym interesie. Teraz jednak powinien się pan odprężyć, dać sobie kilka dni wypoczynku i uspokoić pańskie stargane nerwy. A jeżeli wszystko dobrze pójdzie, to, powiedzmy za kilka tygodni, wróci pan — najlepiej prosto do ministerstwa obrony. Na przykład do działu kadr...

— Do ministra Feldmanna? Z Keilhacke jako generalnym inspektorem? Pod pana nadzorem jako przewodniczącego komisji obrony? Za kogo mnie pan uważa!

— Dotychczas, panie Wander, nie uważałem pana przynajmniej za głupca, niech więc mnie pan i pod tym względem nie rozczaruje. Powiem to wyraźniej: niech pan będzie zadowolony z tego, co pan osiągnął i niech się pan

cieszysz, że nie mamy panu za złe wszystkich pozostałych wybryków.

— Mam więc zniknąć i trzymać język za zębami, żeby pan i Morgenrot mogli mieć wolną rękę.

— Znowu to samo! — stwierdził Krug, ciągle jeszcze z przyjacielskim wyrzutem w głosie. — Pańska nieopanowana impulsywność, niebezpieczny brak umiaru, nieokiełznana fantazja: ileż pan przez to narobił nieszczęść! Ja jednak ciągle sobie powtarzałem, że jest pan człowiekiem solidnym, uzdolnionym, stara się pan pracując dla mnie, tak więc ja będę wstawiać się za panem!

— Na przykład podsuwając policji obciążające mnie materiały!

— W jakim przerażająco jednostronnym świetle pan to wszystko widzi! Pańskie dziwne uprzedzenia zaślepiają pana. Oczywiście, że musiałem udzielić informacji na pański temat funkcjonariuszowi, który ich żądał. Uczyniłem to w pańskim interesie, działając jak adwokat!

— Honorarium wypłaci pewnie Morgenrot!

— Jeżeli będzie pan nadal tak postępował, wprawi mnie pan w zły humor. Niechże pan tego nie robi, w przeciwnym razie mógłbym się rzeczywiście poczuć zachęcony do przekazania policji niektórych materiałów na pański temat, między innymi złożonego pod przysięgą i potwierdzonego notarialnie oświadczenia, które mogłoby w istotny sposób pana obciążyć, i to w sprawie śmierci Ewy Morgenrot.

— Kto chce dostarczyć takiego oświadczenia?

— Uczyniła to pani von Wassermann-Westen, na kilka dni przed śmiercią.

— I nawet to nie uchroniło jej przed pozbawieniem jej życia?

— Dość tego, Wander — przerwał ostro Krug. — Wystawia pan moją cierpliwość na ciężką próbę. Nikomu się to dotychczas bezkarnie nie udawało!

— Nawet Sabinie, nieprawdaż? Zmarła jakby na zamówienie, tuż przed sfinalizowaniem wielkiego interesu, który chciał pan robić sam! Z podwojonym zyskiem. Piękne, pożądane i kosztowne zwłoki!

— Precz stąd — natychmiast! — Ręce Kruga zaczęły drżeć. — Radzę zapomnieć o tych nikczemnych posądzeniach! W przeciwnym wypadku bez litości wydam pana w ręce policji!

— Cóż to za piwo! — zaprotestował Peter Sandman. — Śmierdzi kobylim moczem!

— Raczej zgnilizną albo mgłą — powiedział Karl Wan-der. — Samotnością. Nawet się do niego przyzwyczailem.

— Jest to napój, który należy jednocześnie wachać i pić — stwierdził inspektor Kohl. — Smakuje wtedy jak miód, mleko i krew.

Siedzieli przy narożnym stoliku w knajpie matki Jeschke i świadomie rozmawiali o sprawach błahych. Mówili o fatalnej pogodzie, o przejazdach kolejowych w środku miasta, które ciągle były zamknięte, o Renie, który śmierdział w tych dniach jak jedno wielkie szambo.

Spotkali się, żeby wypić razem po raz ostatni, na pożegnanie Kohla. Przyjście Sandmana bardzo Kohla ucieszyło, ponieważ znali się już wcześniej i darzyli się sympatią.

— Mam tutaj zresztą pożegnalny prezent, drogi przyjacielu — powiedział Wander. — Nie osobiście dla pana, to się niestety nie da zrobić. Przyda się jednak na efektowny początek w Neubergu. — To mówiąc podsunął inspektorowi jasnoniebieski kawałek papieru. — To czek opiewający na sumę dziesięciu tysięcy marek.

Kohl wziął papier do ręki i zaczął go z niedowierzaniem oglądać. Sandman pochylił się wraz nim. Obaj sprawdzili najpierw sumę, a potem usiłowali odcyfrować podpis, co im się zresztą udało.

— Człowieku, jak pan to zrobił? — zawołał Kohl. — Ale może w ogóle nie powinienem pytać?

— Spokojnie może pan pytać i otrzyma pan odpowiedź, nawet prawdziwą. Otrzymałem ten czek za to, że przez pół godziny mówiłem wyłącznie prawdę.

— To świetnie — stwierdził z wyraźną ulgą Peter Sandman. — Wobec tego pańskie starania nie poszły zupełnie

na marne. Wyciągnięcie od tego gościa takiej sumy to niezłe osiągnięcie.

— Chyba znowu mnie pan przecenia, Peter — oznajmił Karl Wander. — Mam mianowicie wrażenie, że te dziesięć tysięcy marek nie było niczym innym jak honorarium za moją głupotę. Im dłużej przekazywałem mu moją prawdę, tym bardziej był ucieszony. Jest to niewątpliwy do wód na to, że istotnych i ważnych spraw w ogóle nie dostrzegłem.

Wypił swoje piwo i poprosił matkę Jeschke o ponowne napełnienie szklanki. Ta uczyniła to wyraźnie zaniepokojona. Wander w ciągu kwadransa wypił dwa irlandzkie portery. Jak zamierzał przetrwać cały wieczór? Również Sand-man z Kohlem spojrzeli na niego z niezadowoleniem.

— Tak czy owak zasłużył pan na te pieniądze, dlaczego nie chce ich pan zatrzymać? — zapytał inspektor.

— Zapewne właśnie tego ów jegomość oczekuje! Gdybym próbował kiedyś zaprezentować go w samych gaciach, będzie chciał udowodnić, że mnie opłacał. Dlatego proszę pana o zadysonowanie tymi pieniędzmi według swojego uznania, niekoniecznie od razu na korzyść policyjnej kasy zapomogowej, może pan na przykład wspomóc jakiś dom sierot.

Kohl skinął głową, przez moment był jakby wzruszony. Natomiast Sandman spytał ostrym tonem: — Co to ma znaczyć, że chce pan kogoś zaprezentować w samych gaciach? Mam nadzieję, że pana źle zrozumiałem!

— Nadzieję może pan mieć — odparł Wander.

— Jeszcze nie ma pan dosyć? Do diabła, czego panu jeszcze brakuje? Został pan już wzorowo wpuszczony w maliny, a do tego wykorzystany i odstawiony na boczny tor!

— Zostałem jednak wielkodusznie uhonorowany! Każdy inny musiałby za to w jakiś sposób zapłacić. Mnie, mimo wszystko, sprawiało to pewną przyjemność, tę chciałbym mieć jeszcze przez jakiś czas, gdyby to było możliwe.

Sandman obrzucił Kohla pytającym wzrokiem. Ten spojrzął z kolei na Wandera i zapytał: — Czy podczas tej rozmowy z Morgenrotem wyniknęły jakieś poszlaki, których przedtem nie znaliśmy?

— Ależ panowie! — zawołał Peter Sandman. — Czy naprawdę nie możecie się opanować? Myślałem, że na pożegnanie napijemy się w spokoju piwa. A co się tymczasem dzieje? Wander płodzi nowe pomysły, Kohl zagłębia się uparcie w stare problemy, a ja do kompletu usiłuję sprowadzić Wandera na tory rozsądnego myślenia.

— Mister Sandman, usiłuje pan upiec barana na rożnie i wmówić nam przy tym, że baran sam pana do tego namówił! — stwierdził z uznaniem Kohl. — Ładnych przyjaciół pan sobie znalazł, Wander, nie ma co mówić!

— Więc dobrze — ogłosił ten. — Zajmijmy się Morgen-rotom. Moja rozmowa z nim wykazała, że teorie moje i Koh-la były częściowo słuszne. Z wyjątkiem paru szczegółów, o których nie mogliśmy wiedzieć oraz pewnego elementu, z którym moglibyście panowie to i owo pokombinować, gdybyście go znali odpowiednio wcześniej.

— Najpierw szczegóły.

Karl Wander zamówił jeszcze jedno piwo, napił się i przemówił, mając już nieco ociążały język: — Jeżeli w grę wchodzi jego interesy, Morgenrot jest gotowy sprzedać swoją pasierbicę razem z przyszłą małżonką i po trupach przepchnąć do sukcesu swojego ukochanego syna. Jest z tego w dodatku bardzo dumny.

— Zgodnie z tym, co pan mówi, chodziło więc o spadek Ewy — uprosił Kohl. — Napuścił na nią nie tylko Sabinę, ale i Martina. Chcąc dziedziczyć musieli się jakoś do tego przyczynić.

— Coś w tym rodzaju — potwierdził Wander coraz bardziej znużonym głosem. — W gruncie rzeczy to jeden wielki biznes. Spekulacje z myślą o możliwie wysokim zysku, przy użyciu wszystkiego i wszystkich, którzy wchodził w rachubę: syna, córki, przyszłej żony i zięcia, partnerów, kolegów partyjnych, członków rządu, w końcu całej armii...

— Niech pan nie zapomni o sobie — poradził Sandman.

— Jak mógłbym to zrobić — zawołał Wander. — Byłem przy tym czymś w rodzaju dobrze opłacanego bydła rzeźnego, które w razie potrzeby miało być rzucone na pożarcie jakimś krwiożerczym-psom.

— Stąd u Kruga obszerne zbiory akt na pański temat — wtrącił Kohl.

Wander potwierdził skinieniem głowy. — Za wcześnie jednak potknąłem się o tę pobitą dziewczynę. Zapewne z tego powodu jestem jeszcze na wolności, a więc mogę napić się z przyjaciółmi irlandzkiego piwa.

— Tylko ono panu nie smakuje, Karl — domyślił się Sandman. — Właściwie dlaczego? Z powodu Sabiny?

— To tylko tak na pozór wygląda — odpowiedział Wander. — Nigdy nie spotkało pana nieszczęście poznania takiej kobiety, w przeciwnym razie inaczej by pan argumentował. Pewne jest jedno: Sabina zorientowała się, że małżeństwo z Feldmannem nie wchodzi w rachubę, nadarzał się za to Morgenrot. Próbowała wobec tego obsłużyć obu, dla siebie zarezerwowała Morgenrota, załatwiając dla Feldmanna zastępstwo. Między innymi Ewę Morgenrot.

— Był to czysty przypadek czy zamierzone działanie? — dopytywał się Peter Sandman.

— Skąd mam wiedzieć! — zawołał zrezygnowany Wander. — Byłem w końcu oddzielony ścianą. Być może decydujące wydarzenia rozegrały się właśnie w apartamencie obok, kiedy spałem albo rozmawiałem z jednym z was.

— Nie spędziłem mojego ostatniego dnia w Bonn bezczynnie — wtrącił zachmurzony Kohl. Stwierdziłem, że w nocy, kiedy zginęła Sabina, Feldmann mógł być w apartamencie 205, jednak niekoniecznie w momencie zbrodni. Są na to godni zaufania świadkowie.

— A co z Krugiem? — zapytał Wander.

— Twierdzi, że w tym samym czasie co Feldmann brał udział w tych samych rozmowach z najróżniejszymi deputowanymi. Ogromna ilość świadków!

— A ten apartament 205, do kogo właściwie należał? — spytał znowu Wander. — Kto dysponował wszystkimi kluczami do niego?

— Stwierdzić mogę jedno: istniały zapewne trzy klucze. Pierwszy z nich znalazłem u Ewy Morgenrot, a drugi w torebce Sabiny von Wassermann-Westen, ale nie pod numerem 205, tylko w apartamencie, którego używała, czyli 304, tuż nad panem, Wander.

— Oznacza to, że użyto trzeciego klucza. Kto jest w jego posiadaniu?

— Na sprawdzenie tego nie miałem już ani czasu, ani okazji.

— Rezygnuje pan.

— Ta sprawa zostanie przejęta przez najbardziej odpowiedniego człowieka, komisarza Traugotta. Jest on uznanym specjalistą od porządkowania i zamykania dochodzeń. Chętnie pana oczyści z zarzutów, gdyby zaś koniecznie trzeba było znaleźć jakiegoś winnego, zrówna pana z ziemią.

— Niemożliwe! — zaproponował zatroskany Peter Sand-man. — Wander należy w końcu do kręgu Feldmanna i Kruga! Oni nie mogą sobie pozwolić na żaden skandal wokół ich najbliższego współpracownika!

— Ale co się stanie, jeżeli właśnie ten współpracownik będzie usiłował wywołać skandal? — zareplikował Kohl.

— Będą go mimo wszystko próbowali kręć, na tym etapie nie ma na razie innego wyboru. Ale za dwa lub trzy dni uda im się rzeczywiście zawładnąć armią. A wtedy, z ich punktu widzenia, niech się dzieje, co chce!

— Tylko że w ciągu tych dwóch czy trzech dni sporo się jeszcze może wydarzyć — zauważył Wander. — Można podejrzewać tych panów, że biorąc ze mnie przykład posłużą się zasadą Clausewitza: „Najlepszą obroną jest atak”.

— Czy to jedynie pańskie przypuszczenie, Karl, czy może coś więcej?

— Miałem ostatnio spotkanie z Krugiem, zmusiłem go do niego. — Wander popatrzył na obie niezwykle zatroskane twarze. — Musiałem się wreszcie dowiedzieć, w czym brałem udział!

— Nasz drogi Karl dał się przejechać — stwierdził Peter Sandman zwracając się do Kohla.

— Na to wygląda! — odparł prawie pijany Wander. — Wyrwałem się niecierpliwie do przodu i zaliczyłem parę ciosów. Najpierw chciał mnie ułagodzić, dziękował nawet i wyrażał uznanie, ale po niecałych dziesięciu minutach usłyszałem, że mogliby się poczuć zmuszeni do wkroczenia przeciw mnie na drogę sądową. Z powodu wymusze-

nia, próby szantazu, świadomego wprowadzania w błąd, przytaczania nieprawdziwych faktów, wielokrotnego sprzeniewierzenia, i tak dalej i tak dalej!

— To niedobrze — powiedział inspektor.

— Tylko dla kogo! — wybełkotał Wander tuż przed osunięciem się pod stół.

— Jest pan wreszcie, bohaterze! — Marlena Wiebke otworzyła drzwi swojego małego mieszkania i wpuściła Wandera do środka. — Czekałam na pana, nawiasem mówiąc, już od dłuższego czasu.

— Niech mi pani czasem nie próbuje podawać mocnej kawy, bo zdążyłem już wypić kilka dzbanków — ostrzegł. — Zatrośczyli się o mnie dwaj rzekomi przyjaciele. Przeszedłem tylko po to, żeby i pani mogła się ze mnie pośmiać!

— Nigdy już nie zrobię panu tej przyjemności — odparła panna Wiebke. — Po prostu porwał się pan z motyką na słońce, nie miał pan żadnych szans!

Karl Wander osunął się na jej łóżko. Następnie przemówił głosem jarmarcznego komedianta: — Widzi pani przed sobą słynnego osła, którego głupota na cienki lód poniosła. Gdy patrzył w swego oblicza cud, nagle załamał się lód! I co dalej?

— Może osły umieją pływać? Może wpadł pan w miejsce, które nie jest zbyt głębokie?

— Jest pani naprawdę bardzo ładna, nawet gdy sili się pani na ironię, pani oczy pobłyskują uwodzicielsko — wyznał Wander. — Niech pani na chwilę zdejmie okulary i podejdzie tutaj.

Marlena Wiebke spojrzała na niego z przyganą. — Czego pan sobie właściwie życzy? Pocięchy z mojej strony? Niedoczekanie! Jeżeli chce mnie pan wybadać, to muszę ostrzec, że potrzebowałby pan na to dużo więcej czasu, niż panu pozostało! A może chce pan po prostu przespać wszelkie troski? Tylko nie u mnie, nie sypiam z supermenami.

— Az kim? Może z tak zwanymi przedstawicielami na rodu?

— Zgrywa pan ciągle chojraka, ale przy mnie może pan sobie darować te usiłowania. Niech pan lepiej powie, do czego chce mnie pan sprowokować, może to wyważanie otwartych drzwi.

— Niech się pani wreszcie zdystansuje od tego szarlatana, dla którego pani pracuje! W tej politycznej szopce naprawdę nie ma dla pani miejsca.

— Czy może mi pan zaproponować coś lepszego, Karl?

— To z pewnością nie będzie trudne! — Karl Wander przechylił się nieco w bok i włączył stojący na ruchomym stoliku telewizor. — Niech pani tylko porówna. Pani idol pracuje obecnie nad swoim tak zwanym image jako poważny polityk, dobrze zapowiadający się mąż stanu i zdeklarowany demokracja. Bierze właśnie udział w jednej z tych pięknie uładzonych i nastawionych na przychylność ogółu konferencji prasowych: dziennikarze zadają pytania w sposób delikatny, a politycy odpowiadają swobodnie i bez skrępowania. Niech go pani teraz podziwiał! — Wander teatralnym gestem wskazał na ekran.

Ukazała się, jakby wyłaniając się z kompletnych ciemności, coraz ostrzej zarysowując swoje kontury i otaczając się świetlistą aureolą głowa Konstantina Kruga. Jego naga czaszka nieco pobłyskiwała, ale ponieważ, świadomy efektu, pochylił się nieco do przodu, największe wrażenie robiło czoło. Bystre oczy spoglądały łagodnie, a głos brzmiał aksamitnie. Mówił właśnie o stosunku pomiędzy sprawami ludzkiej moralności a skutecznością politycznego działania. Telewizyjny wizerunek Kruga twierdził: — Te sprawy nie muszą być przeciwieństwami, nie powinny nimi być i wcale nimi nie są! W każdym razie nie dla ludzi świadomych swej odpowiedzialności, bezinteresownych i starających się z poświęceniem spełniać swe obowiązki. Dla nich celowe jest tylko to, co moralne. Zadaniem polityki jest przecież wyłącznie służba człowiekowi. Moi partyjni koledzy wraz ze mną...

— Czy również w biurze snuje takie opowieści? — zapytał Wander.

— Moim zadaniem jest zapisywanie tego, co on dyktuje. Umawiam go na rozmowy, zakładam teczki z aktami, tele-

fonuję i sporządzam notatki. Moją comiesięczną pensję otrzymuję tylko za to. Poprzednio pracowałam w dziale reklamy fabryki środków piorących, to sprowadza człowieka na ziemię.

— Nigdy pani nie denerwowała praca dla tej starej katarynki?

— Przed pana przyjściem, nie!

— A co się teraz zmieniło?

— Na razie nic konkretnego — panna Wiebke przechyliła się nieco do tyłu. — Dotychczas słyszałam z pana strony tylko życzenia i wymagania, sprawy, które dotyczyły tylko pana. Pan widzi tylko siebie: swoje problemy, wyobrażenia, swoją sprawiedliwość i prawdę! Czy to wystarcza?

— Nie całkiem! Teraz już nie. Teraz widzę poza tym coś bardzo istotnego: panią, Marleno!

— Jakie konsekwencje wyciągnie pan z tego odkrycia?

— Chciałbym panią nakłonić do podjęcia pewnej decyzji, moim zdaniem niezbyt trudnej.

Superostry wizerunek Konstantina Kruga wygłaszał właśnie swoje opinie na temat przyszłości armii: — Chodzi tu o potrzebny czy wręcz nieodzowny instrument obrony naszej wolności, naszej ludności i kraju. Mamy nadzieję, że nigdy nie będziemy musieli z niego korzystać, gdybyśmy jednak pewnego dnia zostali do tego zmuszeni, to musi on być całkowicie godny zaufania. Może się tak stać tylko wtedy, kiedy ten niezwykle cenny i nowoczesny instrument będziemy widzieli w rękach człowieka w pełni zasługującego na nasze zaufanie. Mój wybitny, szanowany przez nas wszystkich kolega partyjny, minister Feld...

Wander wyłączył telewizor.

Obraz Konstantina Kruga błyskawicznie stracił kontury, rozplynął się w ciemnościach wytworzonej przez urządzenia nocy.

Marlena uśmiechnęła się. — Co pan chce przez to udowodnić?

— Przynajmniej jego zakłamanie!

— To pan tak to nazywa! Dla innych to taktyka. A kto nie kłamie na tym świecie! Z powodów pragmatycznych,

z wyrachowania, z miłości, ze współczucia, a nawet z litości. Pan jednak chciałby ostatecznej, jedynej i decydującej prawdy. Nie wie pan tylko, jak miałyby wyglądać?

— Jest pani wyrafinowanym, małym diabełkiem, Marleno! — zawołał Wander, udając oburzenie. — Chce pani tylko sprawdzić, jak daleko się posunę, żeby wydobyć z pani informację o trzech kluczach.

— A jak daleko, Karl?

— Dobrze! Podoba mi się pani i chcę z panią iść do łóżka. Ale nie powiem właśnie tego, co by panią tylko rozbawiło. Nie powiedziałem, że panią kocham!

— A właściwie, dlaczego nie?

— Bo jeszcze nigdy nie powiedziałem tego żadnej kobiecie! Zrozumiano? — Wander gwałtownie zapragnął lodowato zimnej wody. Zerwał się i usiłował ruszyć do łazienki. Marlena jednak stanęła mu na drodze. Zdjęła okulary i spoglądała na niego z uśmiechem.

— Sprawa kluczy jest bardzo prosta — powiedziała. — Do każdego apartamentu mamy trzy klucze, również do numeru 205. Dwa z nich otrzymała Sabina von Wasser-mann-Westen. Z tych dwóch kluczy jeden zachowała dla siebie, a drugi dawała każdej ze swoich zastępczyń, jak na przykład również Ewie Morgenrot. Apartament 205, nieprzypadkowo zresztą położony koło pańskiego, był starannie wybranym lokalem zastępczym.

— Tak więc trzeci klucz ma Feldmann?

— Nie, on nie potrzebował klucza. Wybrane przez Sabinę, rezerwowe panie musiały tam na niego czekać!

Karl Wander sprawiał wrażenie, jakby pomimo intensywnego myślenia nie doszedł do żadnych wniosków. — Kto miał więc ten trzeci klucz? Chyba nie Krug?

— Zgadł pan! Nigdy bym panu tego oczywiście nie powiedziała, skąd jednak mogłam przypuszczać, że jest pan taki bystry. A tak na uspokojenie: Krug ma nie tylko ten jeden klucz, ale w sumie sześć.

— Aż sześć? — zdumiał się Wander. — Po co?

— Organizacja — wyjaśniła Marlena Wiebke. — Jak pan zapewne już wie, Krug jest tak zwanym cichym, lecz ważnym udziałowcem kilku prywatnych firm budowlanych

i przedsiębiorstw kapitałowych. Należy do nich między innymi dom, w którym pan tymczasowo mieszka. Sześć apartamentów Krug zarezerwował na swój wewnętrzny użytek — dla przyjeżdżających do Bonn kolegów ze sfer biznesu i polityki, dla okazjonalnych współpracowników, a także dla zasłużonych stronników i ich partnerek.

— I do tych apartamentów należy również 204?

— Oczywiście! Także do pańskiego luksusowego gniazdka Krug miał w każdej chwili dostęp. Te sześć nadzorowanych przez niego apartamentów to numery 203, 204, 205 oraz 303, 304, 305. Wszystkie sześć kluczy znajdowało się dzisiaj wieczorem w jego kasie pancерnej, nie jestem jednak pewna, czy było tak również w dniach poprzednich. No, niech pan teraz policzy...

— Już to robię — stwierdził Wander. — A więc tylko Krug...

— Nie może go pan nie doceniać, Karl! Jeżeli to możliwe, niech pan ma wzgląd i na mnie.

— Jak mógłbym...

— Jestem gotowa wyjechać z panem, Karl. Natychmiast, bez żadnych warunków. Dokąd chcesz? Chcesz tego?

— Chcę, Marleno, naprawdę chcę! Tylko nie mogę...

Raport człowieka zwanego Jerome

— część dziesiąta

O pewnych ludziach słabościach — zdobycie **się** na **nie** bywa czasami cnotą.

W pewnym momencie wszystko zaczęło się stawać bardziej zrozumiałe i przejrzyste, w każdym razie w kilku istotnych szczegółach. Moja placówka i ja nie poczuwamy się do winy, że stało się to zbyt późno, tym bardziej, że tuż przed, nazwijmy to, końcem imprezy udało się nam wystrzelić szczególnie efektowny fajerwerk.

Niektórzy poparzyli sobie przy tym palce i Bóg jeden wie, co jeszcze. No cóż, ryzyko zawodowe!

Głównym zajęciem wielu współczesnych polityków wydaje się tworzenie czegoś w rodzaju towarzystwa asekuracyjnego z obustronną i ograniczoną odpowiedzialnością. Nie wygrywają przeciwko sobie swoich problemów, lecz wzajemnie się ubezpieczają — wspólnymi siłami troszczą się o znalezienie możliwie najmniej groźnego, wspólnego mianownika dla wszelkiego zła.

Tak więc gracze o silnych nerwach w rodzaju Feldman-na oraz zręczni inspiratorzy, tacy jak Krug, od początku się z tym liczyli. Dobrze się zastanowili nad techniką swojej ofensywy.

Tak więc rozbrzmiewały piękne, wielkie i nic nie mówiące słowa! Zasada była jedna: robić wrażenie zdecydowania, ale nie konkretyzować, budzić zaufanie i żądać zaufania, nie mówiąc dokładnie, o co chodzi. Ani słowa przeciwko innym, wpływowym ugrupowaniom!

Jeden z deputowanych należących do partii ministra oświadczył na przykład: „zasługą jest odważne i śmiało kucie tego żelaza...”. Poseł partii koalicyjnej: „...niewątpliwie jest to usprawiedliwione, jeżeli nie wręcz konieczne, mamy jednak nadzieję i oczekujemy, że dbając przede wszystkim o interesy naszej obrony narodowej...”. A jeden z parlamentarzystów obecnej, tak zwanej opozycji: „...nie możemy tu nie ostrzegać... co w żadnym wypadku nie powinno być rozumiane jako sztywne, jednostronnie negatywne nastawienie...”

Nagle, zapewne z biura kanclerza, wyszło wewnętrzne rozporządzenie. Na przyszłość niczego niepotrzebnie nie rozdmuchiwać, unikać niepokojów wśród ludności! Ponieważ wróg, czyli różnej maści komuniści, próbują wykorzystać tę przejściową słabość, będącą w gruncie rzeczy siłą naszej demokracji, dla swych mrocznych celów. „Stanowczo sobie tego nie życzymy!”

„Dopiero w godzinie próby wychodzi na jaw prawdziwy charakter!” — wyjaśnił Feldmann. Ni stąd, ni z owad ów „prawdziwy charakter” zaczęli wykazywać coraz liczniejsi, coś sobie po tym niewątpliwie obiecując. Zwycięzca musi mieć liczną świtę!

Nie uskarżam się na to, niby z jakiej racji? Nie jestem

w końcu założycielem wiosek dziecięcych, tylko specjalistą od informacji. Jako taki wiem, że każda możliwa konstelacja władzy ma swoich zwolenników i sympatyków, własnych propagandystów i teoretyków, do tego poetów i kapłanów. Nie ma rzeczy, do których, przy odpowiedniej zręczności i przy szczęśliwym zbiegu okoliczności nie da się ludzi przyzwyczaić. Jak wiadomo, również do ludobójstwa.

Któż w końcu czerpie nauki z bliższej czy dalszej przeszłości? Po trzech czy pięciu tysiącach lat masakr? Nawet bomba atomowa nie zachwiała kwitnącym procederem ludzkich rzeźni. Nie ma sensu nad tym lamentować, stwierdzić można tylko jedno: ludzie już tacy są.

Tyle na temat tak owacyjnie witanego postępu naszych czasów. Peter Sandman nie mógł albo nie chciał się przyzwyczaić, a Wander nawet cierpiał z tego powodu, w czym pomagały mu postacie takie jak Kohl. Właśnie ten kraj, a nie Ameryka, wydawał mi się polem gry dla nieograniczonych, ludzkich możliwości.

Ciągle czułem się narażony na pokusę szukania w tym rozrywki. Cóż innego mógł wzbudzać człowiek taki jak Wander, chcący walczyć z wiatrakami, jak nie łagodną wyrozumiałość, i to w najlepszym wypadku!

Starłem się go jakoś oszacować i to właśnie mi się nie udało. Mogło to oznaczać tylko tyle, że nawet ktoś taki jak ja ma swoje słabości.

Na taką słabość mogłem sobie pozwolić.

11

Każdy chce kiedyś definitywnie zakończyć sprawę — tylko komu się to udaje?

Nazywam się Traugott — powiedział dobroduszny, skromny i pogodny mężczyzna wyglądający na listonosza w cywilu. — Jestem komisarzem policji kryminalnej oddelegowanym do zadań specjalnych. Nie zależy mi na tym, żeby tak właśnie mnie pan tytułował. Myślę, że będzie to panu odpowiadało.

— Pan ma więc spróbować wysprzątać ten chlew?
— spytał Wander z rezerwą.

— Niech pan to nazywa, jak panu wygodniej — odparł niezwykle uprzejmie ten szczupły, średniego wzrostu mężczyzna o irytująco poczciwej twarzy urzędnika. — Z zasady nie spieram się o sformułowania. Są zazwyczaj kwestią temperamentu i wynikających z niego osądów. Dla pana jest to chlew, który trzeba wysprzątać, a dla mnie sprawa, którą trzeba wyjaśnić. Ale jak pan sam zobaczy, w końcu wyjdzie na to samo.

W komisariacie nr 3 komisarzowi Traugottowi przydzielono specjalne biuro, zapewne należące do komendanta. Było to całkiem miłe wnętrze, pełne starannie dobranych kwiatów doniczkowych: fiołków w najróżniejszych odmianach, od jasnoniebieskich poprzez błękitne, ciemnoniebieskie, aż do ciemnogramatowych.

— Czy urzędnik, który doręczył panu moje zaproszenie, wykazał się zaleconą mu uprzejmością? — zapytał Traugott niemal troskliwie.

— Był szokująco uprzejmy — potwierdził Karl Wander.
— Nawet kamerdyner wyszkolony w starej Anglii nie zrobiłby tego lepiej.

— Tak powinno być — powiedział komisarz. — W każdym razie ja przywiązuję do tego dużą wagę. Gdyby przed naszą rozmową miał pan ochotę na przykład na papierosa, kawę albo coś słodkiego, któryś z funkcjonariuszy chętnie to dostarczy.

— Dziękuję — odparł Wander. — Nie chciałbym urządzić tu dłuższego pikniku.

— Tym lepiej! Wobec tego postaramy się załatwić sprawę jak najszybciej.

— Szybko i dokładnie, mam nadzieję!

— Tego może pan być pewny, panie Wander — powiedział wręcz serdecznie Traugott. Oparł ręce o zupełnie pusty blat stołu, a ręce miał drobne, niezwykle zręczne, jak gdyby należały do chłopca, który wytrwale trenuje zongler-kę. — Możemy sobie chyba zaoszczędzić rutynowych wstępów, pańskie dane są mi znane, podobnie jak szczegóły wydarzeń. Pozostaje nam tylko wyjaśnienie pewnych ewentualnych nieporozumień, uprzedzeń czy błędnych ocen.

— Niech pan więc spróbuje — zachęcił Wander.

— A więc, może najpierw samobójstwo panny Morgen-rot.

— Panie komisarzu, czy mogę zadać jedno pytanie? Czy zamierza pan przekazać mi po prostu swoje służbowe ustalenia, ewentualnie osobiste zdanie, czy też mógłbym wtrącać własne pytania?

— Ależ oczywiście — wykrzyknął zaskoczony Traugott. — Ta rozmowa ma służyć właśnie poinformowaniu pana. Niech więc pan pyta o wszystko, postaram się odpowiadać tak dokładnie, jak tylko potrafię.

— W porządku. Wobec tego chciałbym się dowiedzieć, dlaczego śmierć Ewy Morgenrot nazywa pan samobójstwem?

— Ponieważ było to po prostu samobójstwo.

— Nie wydaje mi się to aż takie proste. — Wander był jednak pod wrażeniem oczywistości, z jaką mówił komisarz. — Być może nie zdaje pan sobie sprawy z pewnych zależności istniejących w tej sprawie?

— Ależ oczywiście, że wiem o wszystkim — zapewnił komisarz. — Znam dokładnie wszystkie istniejące materia-

ły, są one nie tylko bardzo liczne, ale w większości dokładnie zbadane. Akta sprawy opracował bardzo przeze mnie ceniony kolega Kohl, którego miał pan okazję poznać. Jest on człowiekiem bardzo dokładnym. Przekazane mi materiały obejmują nie tylko dowiedzione fakty, ale i pewne porównania, przypuszczenia, wskazówki, i tak dalej. Wszystko to biorę pod uwagę.

— Nie odniosłem niestety takiego wrażenia.

— Z pewnością zmieni pan zdanie — zapewnił Traugott jeszcze uprzejmiej niż dotychczas. — A jakie miałby pan zastrzeżenia?

— To może systematycznie, punkt po punkcie: Ewa Morgenrot została pobita.

— Tak, to bardzo smutne. Paskudna sprawa. Ale dlaczego ma to obchodzić policję, jeżeli od pokrzywdzonej nie wpłynęła żadna skarga? A skarga nie wpłynęła i w ogóle nie powstał taki zamiar. A ponieważ chodziło tu o brata, czy też przyrodniego brata panny Morgenrot, cała sprawa musi być potraktowana jako wewnętrzna sprawa rodzinna. Sam pan przecież wie, że nasze państwo prawa zapewnia każdemu wolność, również w kwestii, przez kogo i jak chce być bity. Może pan się z tym nie zgadzać, ale nie może pan tego zmienić.

— Zapewne zechce pan spróbować zbijać po kolei moje argumenty, nie interesując się możliwymi powiązaniem. To dość wygodna metoda.

— Niekoniecznie wygodna, panie Wander, ale skuteczna. Przede wszystkim zaś logiczna. Nie powinien mnie pan podejrzewać o pominięcie którejś z możliwych kombinacji. Ponieważ samobójstwo jest faktem, odpowiedzialny za nie jest sam samobójca. Jeżeli istniałoby podejrzenie, że ktoś został doprowadzony do samobójstwa, to, zgodnie z moim doświadczeniem, byłby to rażący wyjątek, który bardzo trudno udowodnić.

— Również w tym wypadku? — Wander zaczął prowokować.
— Chce mi pan to wmówić?

— Domyślam się, do czego pan zmierza. — Komisarz Traugott konfidencjonalnie uśmiechnął się do swojego gościa. — Z udostępnionych mi materiałów jednoznacznie

wymi jest dla nas codziennością. Oznacza to, że do każdego zwłok musimy podchodzić bez uczuć zemsty, bez utajonych kompleksów winy, bez jakichkolwiek romantycznych porywów. Zwłoki są dla nas przedmiotem śledztwa. Śledztwo jest pracą rzeczową. Zgodnie z nim na przykład śmierć pani von Wassermann-Westen była najprawdopodobniej wynikiem nieszczęśliwego wypadku.

— Sam pan w to przecież nie wierzy! — przerwał brutalnie Karl Wander. — Sabina Wassermann nastęczyła Ewę Morgenrot Feldmannowi. Robiła interesy z Krugiem, którego usiłowała wyrolować, być może przy pomocy Ewy Morgenrot, w wyniku czego jako osoba niewygodna została usunięta. Te wnioski same się nasuwają.

— To tylko pańska teoria, do której ma pan oczywiście prawo, ponieważ przemawia ona za panem, to znaczy za siedzącym w panu rozgorączkowanym moralistą, jednak niekoniecznie za chłodnym, krytycznym rozumowaniem, do którego też pan jest z pewnością zdolny.

— Do diabła, nie chce pan chyba zupełnie zatuszować tej sprawy, która śmierdzi na odległość, tylko dlatego, że mogłyby być w nią zamieszane wysokie albo i najwyższe sfery!

— Ależ drogi panie, z pełnym szacunkiem dla pańskich osobistych zasad moralnych! Ja jednak mam w zwyczaju reagować rzeczowo. Niech pan będzie łaskaw zwrócić na to uwagę! Muszę być całkowicie obojętny wobec tego, kto z kim sypia i w jakich okolicznościach. To są prywatne sprawy. Jest mi absolutnie wszystko jedno, czy chodzi tu o śmieciarza czy ministra. Równość ludzi, ras i religii właśnie w łóżku szczególnie przekonywająco dochodzi do głosu. Ustaw czy zarządzeń zabraniających tego po prostu obecnie nie ma.

— Do czego pan zmierza? — zapytał natarczywie Karl Wander.

— Mieszka pan w apartamencie numer 204, który, prawie w każdym szczególe, urządzone jest podobnie jak apartament 205 — wyjaśnił łagodnie Traugott. — Czy zwrócił pan uwagę na chodnik, prawdopodobnie perski, niedaleko okna, tuż koło kaloryfera z ostrymi żeberkami? Na tym

chodniku bardzo łatwo się pośliznąć, co wykazały zarządzane przeze mnie eksperymenty. Oto ich wynik: jeżeli ktoś nieszczęśliwie upadnie, może uderzyć potylicą w żeberka grzejnika, a uderzenie to może pociągnąć za sobą śmiertelny uraz. I tylko tak mogło się stać!

— Tylko tak? A czy nie było możliwe, żebym to ja na przykład wyprawił Sabinę na temat świat? Właśnie ja, panie Traugott, jako dawny, a teraz wzgardzony kochanek, zdecydowany na wszystko, bez hamulców moralnych, gotowy do zwaleni całej winy na innych, na przykład Kruga i Feldmanna. Bo właśnie tych panów nienawidzę, wszystko jedno, z jakiego powodu...

— Niech się pan nie wysila, wcale nie mam zamiaru pana obciążać, chociaż mógłbym to zrobić bez trudu. Chcę tylko udowodnić, że pierwsze wydarzenie było samobójstwem, a drugie wypadkiem. Czy mogę mieć nadzieję, że mnie pan właściwie rozumiał?

— A co z próbą zabójstwa podjętą przez Martina Morgenrota wspólnie z Feliksem Frostem na moście na Renie?

— To kolejna pomyłka! — Traugott sprawiał wrażenie zmartwionego. — Zbadałem wszystkie materiały dotyczące tego zdarzenia. Pańskie zeznanie stoi w sprzeczności z dwoma innymi. Blokował pan pas ruchu, został pan nieprawidłowo wyprzedzony, czego skutkiem było zderzenie. W tej sprawie decyzję podejmie sąd z powództwa cywilnego.

— Nastawano na moje życie, dlaczego?

Komisarz Traugott w zamyśleniu wpatrywał się w otaczające go, różnobarwne fiołki. Następnie powiedział: — Wiem, że nie zabrzmi to ładnie, ale można to nazwać manią prześladowczą.

— Co skłania pana do ochraniania tych dwóch łajdaków?

— Panie Wander, jest pan przecież człowiekiem o wysokim ilorazie inteligencji. Niechże pan z niej skorzysta! Proszę wreszcie dostrzec, że dalszy opór nie ma sensu i jest bezcelowy. Niech pan da spokój! Niech pan zacznie współpracować albo wyłączy się z gry. — Traugott spoglądał wzrokiem pełnym zrozumienia, nie pozbawionym dozy współczucia. — Będę mógł wtedy raz na zawsze odłożyć akta tych spraw.

- Sądzi pan, że się podporządkuję?
— A cóż innego panu pozostaje? Nie jest pan przecież samobójcą.

Bezpośrednim następstwem rozmowy z komisarzem Traugottem o imieniu Christian były dwie akcje podjęte przez Karla Wandera, a potem jeszcze dwie następne, poprzedzone dwoma intermediami.

Podczas gdy Traugott zajmował się umarzaniem sprawy, Wander usiłował naprawić swoje dotychczasowe niepowodzenia. Obaj byli głęboko przekonani o słuszności swoich poczynań.

A oto akcja pierwsza.

Karl Wander odwiedził przewodniczącego komisji obrony w jego biurze.

Ten powitał go okrzykiem: — Czego pan tu jeszcze chce?!

— Tylko jednej rzeczy, likwidacji pańskich wyrzutów sumienia!

— Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy i za co mogłem wziąć odpowiedzialność — powiedział przewodniczący komisji obrony ukrywając w dłoniach swój kanciasty podbródek. — Zgłosiłem moje wątpliwości, poddałem pod rozagę znane mi szczegóły, ale te wręcz kompromitujące materiały na temat firmy Bólsche z Monachium przekazałem dalej, bezpośrednio kanclerzowi.

— A wszystko to dlatego, że obawia się pan zeznań ewentualnego świadka?

— Przekonały mnie argumenty moich kolegów partyjnych: Feldmanna i Kruga — stwierdził przewodniczący, broniąc swojej nadwątlonej godności. — Jestem teraz po ich stronie.

— Nawet, gdyby pan już tego nie potrzebował? — dopytywał się Wander.

— Jak mam to rozumieć?

— Następny przewodniczący pańskiej komisji mógłby nazywać się Krug, gdyby Feldmannowi udało się zostać ministrem obrony, to się da łatwo przewidzieć. Jedno jest jednak pewne: człowiek, którego zeznań się pan obawia, już nie żyje!

— Naprawdę nie żyje? A może to tylko pański nowy trik?

— Ponieważ umarli milczą, może pan pozostać człowiekiem honoru, a jednocześnie, jeżeli będzie pan zręczny, przewodniczącym pańskiej komisji, tym, który decyduje o miliardowych wydatkach. Oto zdjęcie grobu, tutaj kopia aktu zgonu, tu ma pan dwa złożone pod przysięgą oświadczenia. Nic już panu nie grozi.

— Czy to prawda? Mogę na tym polegać?

— Jak najbardziej — zapewnił Karl Wander. — Ale nie ma pan zbyt dużo czasu na rozmyślania. Krótko mówiąc, musi pan działać szybko.

— Ale jak?

— Niech pan spróbuje zachować swoją pozycję! Oznacza to, że musi pan zapobiec zniszczeniu przez Kruga i Feldmanna pańskiej wspaniałej kariery politycznej. A może chce pan do tego doprowadzić?

— To w ogóle nie wchodzi w rachubę — zapewnił pogrążony w kalkulacjach deputowany. — W końcu spoczywa na mnie szczególnego rodzaju odpowiedzialność, od której nie mogę się uchylać...

Akcja druga

Karl Wander udał się do ówczesnego pełnomocnika do spraw obrony z ramienia parlamentu. Również on natychmiast zawołał: — Czego pan jeszcze chce?

Wander pozostał w pobliżu drzwi. Stamtąd zapytał: — Ostatnio przeszedł pan na stronę Feldmanna i jego grupy, dlaczego właściwie? Czy wiąże się to z nagłą zmianą zapatrywań lub racją stanu, czy raczej ma pan, za przeproszeniem, pełno w gaciach?

— Jakim prawem właśnie pan stawia mi takie pytania?! Czyż nie powiedziałem panu wyraźnie, że metody tego

człowieka i jego bandy budzą we mnie mdłości? Uważam go za grabarza naszych idealnych wyobrażeń o armii: solidnej, nieskazitelnej i nowoczesnej. Ale co mam począć, nie ryzykując wyładowania w więzieniu?!

— Nie, tego od pana nikt nie wymaga. Najważniejsze jest przecież, żeby pan i panu podobni zachowali swoje zarobki, wpływy i pozycje, nawet gdyby ta rzekomo ukochana armia miała być do reszty rozszabrowna! Ale założmy, że mam marną pamięć i nic nie wiem o ewentualnych zarzutach, które mogłyby doprowadzić pana przed sąd.

— Ale istnieją przecież zebrane przez pana materiały na mój temat.

— Oto one! — odparł Karl Wander. — Następnie położył na biurku pełnomocnika przekazane mu przez Funfingera oryginały materiałów. — Pamiętnik, listy, trochę literackich palcówek i do tego sporo adresów. Nic nie brakuje. Czego jeszcze pan chce?

Pełnomocnik wpatrywał się w swego gościa z niedowierzaniem. Następnie zapytał: — Jakiej ceny żąda pan tym razem ode mnie?

— Pańskiej uczciwości, cokolwiek pan rozumie pod tym pojęciem. Chyba w międzyczasie nie zagubił pan wszystkich swoich ideałów?

Intermedium pierwsze

— To znowu ja! — obwieścił prostodusznie Sobottke, człowiek-szafa. Siedział w mieszkaniu Wandera. — Jak zwykle chętny do pomocy!

— Czego pan chce tym razem? Pomagać w pakowaniu walizek? — spytał Wander.

— To również z miłą chęcią! — odparł ochoczo Sobottke. — Mój samochód stoi na dole zatankowany do pełna. Jest do pana dyspozycji. Mogę nim pana jeszcze dziś w nocy zawieźć do Monachium. Na pewno czułby się pan tam dużo lepiej niż tutaj, pełno tam miłych dziewczyn.

— Panie Sobottke, niech pan sobie oszczędzi tego cyrku — odpowiedział z akcentowaną niedbałością Wander. — Przecież przychodzi pan bezpośrednio od Kruga, który

wręczył panu klucze do mojego apartamentu. Polecił panu odtransportować mnie. Tylko jak pan to sobie praktycznie wyobraża? Jeżeli chce pan urządzić tu mecz bokserski, to ostrzegam: mam kumpla, który jest mistrzem dywizji. Jedno słowo, a powali pana na deski, pod warunkiem, że mnie się to nie uda.

— Panie, nie rozmawiaj pan tak ze mną! — powiedział wyraźnie urażony Sobottke. — Nie lubię tego! A poza tym przyszedłem tu z własnej, nieprzymuszonej woli. Nikt mnie nie musiał namawiać. To chciałem powiedzieć! A dlaczego? Bo pan Krug to dobry człowiek.

— Co pan nie powie! — Wander był jednocześnie rozbawiony i zaniepokojony.

— Dobry człowiek z mojego pana Kruga! — powtarzał Sobottke spychając Wandera w kąt. — Wtedy po wojnie, kiedy mi się nie wiodło, wziął mnie do siebie. Nie pytał: Sobottke, co robiłeś? On tylko mówił: Sobottke, co potrafisz? A ja na to: Dla pana wszystko! Taki z niego człowiek! Rozumiesz pan?

— Powoli zaczynam rozumieć pewne rzeczy. — Karl Wander udał, że się zastanawia. — Na przykład pewne aluzje co do pana osoby.

— Mnie? W jakim sensie? *Kto to* powiedział?

Wander spojrział wyrozumiale na człowieka o twarzy sportowca. — Zasugerowano mi, że gdybym chciał oraz za pewnym wynagrodzeniem, mógłbym pana bez kłopotu uziemić.

— Mnie? — zapytał spłoszony Sobottke.

— Świetnie się pan do tego nadaje — zapewnił z powagą Wander. — Jest pan niewątpliwie najlepszy na drugim planie. Bije się pan za swojego chlebodawcę, przyjmuje od niego każde zlecenie, dla niego załatwia wszystko i każdego, przede wszystkim osoby rodzaju żeńskiego.

— To pan sobie wyssałeś ze swojego brudnego palca — wykrzyknął Sobottke.

— To pan pobił Ewę Morgenrot? — naciskał Wander.

— To pan wykończył Sabinę? Wszystko jedno, z jakiego powodu! Jakiś kozioł ofiarny będzie się musiał znaleźć, dlaczego nie pan? A ze wszystkich, którzy wchodzą w ra chubę, pan się chyba najlepiej nadaje.

— Panie! Powiedz pan to jeszcze raz! Może chcesz mnie pan napuścić na mojego pana Kruga?

— No właśnie, sam pan widzi, że jakby się to opłacało, to by od razu pana sprzedał.

— Jesteś pan bezczelną, podstępą świnią! — Sobottke nie mógł się już opanować. — Nie próbuj mi pan robić wody z mózgu! Kto by tam próbował mnie wykołegować! Nie masz pan pojęcia, o jakich rzeczach ja wiem!

— Pewnie wie pan za dużo, czy to nie wystarczający powód?

Intermedium drugie

Rozmowa prowadzona z budki telefonicznej. Następnego dnia około południa, Karl Wander dzwonił do Marleny Wiebke.

Wander: — Jesteś sama? A może mam zadawać pytania tak, żebyś mogła odpowiadać tylko „tak” lub „nie”? Może ma być to pomyłka? Nie? W porządku. Jak tam moje notowania?

Marlena Wiebke: Twoich akcji w ogóle już nie ma na giełdzie! Praktycznie oznacza to, że oficjalnie w ogóle dla nas nie istniałeś. Znasz niejakiego Traugotta?

Wander: — Wystarczająco dobrze! Czy przekazano mu może kierownictwo nagonki na mnie?

Marlena Wiebke: — Próbowali, ale Traugott grzecznie odrzucił tę propozycję. Powiedział, że nie należy to do jego kompetencji. Potem chcieli mu wcisnąć plik donosów na ciebie, ale powiedział, że nie da się pogodzić sztucznego rozdmuchiwania pewnych spraw z rzetelnym rozwiązywaniem kwestii prawnych. On się w każdym razie do tego nie nadaje.

Wander: — Dziwny człowiek! Dalej: Czy Krug dzwonił do generała Keilhacke, żeby zawiadomić go o wykluczeniu mnie ze sprawy?

Marlena Wiebke: — Usiłował, ale się nie dodzwonił.

Wander: — Byłoby dobrze, gdyby nadal nie mógł się z nim skontaktować, powiedzmy do wieczora.

Marlena Wiebke: — Czy coś jeszcze?

Wander: — Jeżeli się za bardzo nie pogniewasz, to chciałbym ci coś jeszcze powiedzieć: Kocham cię!

Marlena Wiebke: — W żadnym wypadku się nie gniewam. Miło to usłyszeć. Powiedz to jeszcze raz.

Wander: — Kocham cię.

Marlena Wiebke: — Wiem, że w obecnej sytuacji może to mieć dla mnie poważne konsekwencje, ale jestem w takim stanie, że nie chcę słyszeć nic innego. Tylko niestety, teraz nie możemy się tym zajmować. Jutro też jest dzień. Co dzisiaj jest jeszcze dla ciebie ważne?

Wander: — Umówiłem Sandmana z generałem Keilhacke na wywiad o szesnastej. Bardzo się spieszę! Czy mogłabyś przekazać Sandmanowi następującą wiadomość: Niech przeciągnie wywiad z generałem na co najmniej godzinę i niech weźmie ze sobą fotografa. Powiedz mu, że chyba mam dla niego niezły kąsek.

Akcja trzecia

Człowieka, którego teraz chciał odwiedzić, dość łatwo było znaleźć. Jego adres znajdował się w książce adresowej. Mieszkał w pomieszczeniach biurowych z widokiem na Ren, na dziewiątym piętrze nowego wieżowca przy Be-ethovenhalle. Był to oficjalny przedstawiciel monachijskich zakładów Bölsche.

Karl Wander został przyjęty natychmiast, nie z powodu ważności jego osoby, tylko na skutek wyraźnego braku obciążenia biura przez pracę. — Czym mogę panu służyć? — zapytał demonstracyjnie elegancki, młody człowiek o figurze modela i uśmiechu z reklamy żelu do włosów.

— Niczym — odparł nie mniej uprzejmie Wander. — To raczej ja zamierzam zrobić coś dla pana. Chciałbym dostarczyć panu kilku informacji.

— Sprzedać? — zapytał ów przedstawiciel określonej grupy nacisku z niezmiennym uśmiechem gwiazdy.

— Wręcz sprezentować! Niech się pan tym nie martwi, dlaczego. Nie oplaca się. Ograniczmy się do faktów. Pańska firma ma od kilku dni tutaj w Bonn poważne problemy. Niech pan nie próbuje zaprzeczać, bo dobrze o tym wiem.

Zapewne kanclerz wezwał już pana Bólsche do złożenia wyjaśnień. No widzisz pan! A wie pan, skąd te problemy?

— Czy ta informacja pochodziła od pana? — zapytał tym razem niecierpliwie elegant, a jego uśmiech na chwilę zlodowaciał. — Jeżeli tak, to muszę stwierdzić...

— Wiem, wiem: udało się panu jedynie wykrzyć, że materiały o firmie Bólsche naprawdę istnieją i są to dane na temat produkcji, nakładów inwestycyjnych i planów finansowych. Jednak nie zna pan rzeczywistego dostawcy tych materiałów! Zgadza się?

— To prawda — zgodził się przedstawiciel.

— Z tego też powodu nie wie pan dokładnie, co robić, jak najlepiej przejść do kontraktaku i kim się posłużyć, aby zyskać na czasie.

— Niestety, to również prawda.

— To niech pan posłucha: cała dokumentacja została dostarczona przez jedną z konkurencyjnych firm, zakłady Morgenrota, bezpośrednio przez biuro dyrektora.

— To wiele wyjaśnia — stwierdził uradowany biznesmen. — Ale dlaczego pan mi to mówi? Co pan sobie po tym obiecuje?

— Czy czyste sumienie nie jest warte pana zdaniem każdej sumy?

— Nie mam pojęcia...

— Nie chcę pana narażać na zbędne rozterki. Chcę pana tylko oświecić!

— Za co jestem panu naprawdę wdzięczny! Bardzo wdzięczny! Co prawda nie jestem stuprocentowo pewny, czy będę w stanie skutecznie wykorzystać pana wskazówki...

— To dziecinnie łatwe. Musi pan tylko odszukać wszystkie powiązania, jakie mogą istnieć między pańską grupą wpływów, a kliką Morgenrota. Najłatwiej załatwi to pan przy pomocy akt personalnych. Czy nadal pan mnie nie rozumie? W grę wchodzi osoby, które zmieniły pracę, zostały podkupione czy zwerbowane. Wraz z nimi konkurencja przejęła ich poufną wiedzę.

— To jest naprawdę bardzo nie w porządku! — oznajmił przedstawiciel płacziwie-oskarżycielskim tonem.

— Ale jest bardzo praktyczne, to prawda ogólnie znana. I niech pan sobie daruje to oburzenie...

Akcja czwarta

Tę akcję zaplanował i przygotował starszy szeregowy Fünfinger. Karl Wander nazwał ją: „Akcja Keilhacke”.

A oto przyczyna: Fünfigera doszły słuchy, że paru sprytnych wojaków z niedalekiej jednostki pancерnej wpadło na osobliwy pomysł ułatwienia sobie mycia transportera opancerzonego. Zajechawszy na pobliską stację benzynową zamawiali tam „pełną kąpiel”, sami w tym czasie udawali się do restauracji naprzeciw, aby wypić jedno lub dwa piwa.

Jak słusznie zauważył Fiiffigner, było to pole do popisu dla generała Keilhacke! W ten sposób mógłby on po raz kolejny udowodnić, że przed jego bystrym wzrokiem nic się nie ukryje i właśnie on najlepiej potrafi wprowadzać, a także utrzymywać surową dyscyplinę.

W ponuro zabetonowanym, podmiejskim krajobrazie oczekiwali więc na przybycie generała Keilhacke: subtelnie pobłyskujący transporter opancerzony przed wjazdem do myjni, nieco z boku zerkający na zegarek Karl Wander, a na drugim planie pełen radosnego podniecenia Fiiffigner.

Wzwany telefonicznie przez Wandera generał nadciągnął swoim służbowym mercedesem punktualnie co do minuty. Towarzyszył mu oficer i dwóch ludzi w cywilu: Sand-man z fotoreporterem. Keilhacke wysiadł, krótko przywitał się z Wanderem, ruszył w stronę wozu bojowego i uważnie go obejrzał, przy czym został sfotografowany.

— To po prostu skandal! — ryknął generał wyćwiczo nym, koszarowym głosem.

Sandman szepnął do Wandera: — Piękny widok!

— Zaraz będzie jeszcze lepszy — zapewnił ten.

Keilhacke wysłał tymczasem towarzyszącego mu oficera, aby odnalazł załogę transportera. Sam zawołał pracownika stacji, byłego, wzorowego żołnierza, tak że rozmowa odbyła się błyskawicznie. Generał zadawał szybko pytania, na które otrzymywał natychmiastowe odpowiedzi: — Jak długo stoi tutaj to pudło? Co z nim robiliście? Jak często tu

przyjeżdża? Kiedy był pierwszy raz? Czy dostarczane są także inne pojazdy? Jakie i kiedy?

W ciągu trzech minut szczególnie w tym kierunku uzdolniony wódz wykrył cały katalog wykroczeń, poczynając od „niewłaściwego nadzoru” poprzez „osłabienie gotowości bojowej” aż do „podejrzenia o sabotaż” i „ułatwiania działalności szpiegowskiej”. Keilhacke umiejętnie ukrywał swoje zadowolenie i rozglądał się z poważną, pełną głębokiego zamyślenia miną. I teraz zrobiono mu parę zdjęć.

Następnie generał zaczął dyktować Sandmanowi, a ten skwapliwie notował: — To kolejny dowód na moje twierdzenie, że tej armii zagraża szerzące się niedbalstwo, brak odpowiedzialności i zobojętnienie. Mamy do czynienia z rezultatem lekkomyślnego stosowania metod prowadzących do rozprężenia! Całkowity upadek zahamować może jedynie zdecydowana dyscyplina i morale bojowe!

Tymczasem Karl Wander, z lekkim uśmiechem skinąwszy głową w stronę Sandmana, wspiął się na transporter. Powiedziawszy półgłosem: — Ciekawe, czy nie zapomniałem, jak to się robi? — wcisnął się za kierownicę, zaczął obmacywać starter i manipulować dźwigniami.

— Czy mógłby pan powtórzyć ostatnie sformułowanie, panie generale? — poprosił, chcąc odwrócić uwagę Sand-man. — Powiedział pan „bojowa dyscyplina” i „zdecydowane morale”, czy odwrotnie?

— Przecież to jedna cholera! — zawołał z lekką niechęcią Keilhacke, ponieważ nie był przyzwyczajony powtarzać coś dwa razy. — Podstawa to morale i dyscyplina!

Stał teraz tuż przed opancerzonym pojazdem, jak gdyby chciał dokonać przeglądu. Silnik zaryczał i wóz natychmiast zaczął się posuwać do przodu. Generał reagując instynktownie błyskawicznie odskoczył do tyłu. W ten sposób dostał się, początkowo tego nie zauważając, w wąską uliczkę, prowadzącą prosto do automatycznej myjni. W głębi żarzyło się ostrzegawczo czerwone, elektroniczne oko, uruchamiające działanie urządzeń mechanicznych.

— Co to ma znaczyć? — wykrzyknął generał w stronę toczącego się pojazdu, to znaczy Wandera. — Niech pan natychmiast przestanie się wygłupiać!

Jednak jakby nikt go nie słyszał. Opancerzony wóz dalej zbliżał się rycząc silnikiem do generała Keilhacke. Ten nadal się wycofywał, coraz głębiej, prosto w uliczkę, w stronę fotokomórki. Sandman zastygł w bezruchu ze zdziwienia, a fotograf z profesjonalnym wyczuciem wyjątkowości sytuacji strzelał zdjęciem za zdjęciem.

— Wypraszam sobie — wrzeszczał Keilhacke trzęsąc się z wściekłości i narastającego strachu. Zaczynał przeczuwać, w co się wpakował. Przed sobą widział transporter, z prawej i z lewej ściany, z tyłu otwór myjni. — Natychmiast wyłączyć silnik! Rozkazuję!

Lecz rozkazy nie skutkowały, jak gdyby odbijając się od pancernych płyt, a hałas silnika zagłuszał je. Centymetr za centymetrem, z paralizującą powolnością pojazd pełził w stronę generała. Ten daremnie próbował odskoczyć na bok, potem chciał zaprzeć się w ziemię, ale dostrzegłszy bezsens tych poczynań cofał się dalej, prosto do wnętrza myjni.

— Czyś pan zwariował! — ryknął. Potknął się, ujrzał groźące mu przejechaniem koła, runął w tył. — Ale przecież tak nie wolno! — wykrztusił.

Dotarł do promienia światła, uruchamiającego *to* całkowicie zautomatyzowane, importowane z USA urządzenie. Obwody połączyły się, impulsy zostały wytworzone.

Woda zasyczała i trysnęła na generała Keilhacke, przeinaczając go do suchej nitki. Upadł na taśmę transportową, dostał się do gorącej kąpieli parowej, zanurzył się w chmurze piany, został znowu opłukany, a następnie wleciał między wirujące szczotki nylonowe. Po ponownym opłukaniu maszyna wypluła go na zewnątrz. Tam uniósł się nieco, a potem dalej bezradnie siedział na ziemi.

— Ależ najmocniej przepraszam, generale! — zawołał Wander, jak gdyby pogrążony w głębokiej rozpacz. Zatrzymał wreszcie pojazd i wychylał się teraz z przedniego luku dla kierowcy. — Potwornie mi przykro! Jakoś nie dałem sobie rady z silnikiem!

Przybyły tymczasem z powrotem oficer wpatrywał się z zaskoczeniem w swojego generała, nie wierzył własnym oczom. Powoli wyjąkał: — Co tu się stało?

— Nasz pan generał był chyba łaskaw narobić w gacie. Poza tym, nic specjalnego! — wyjaśnił Fünfinger pociągając nosem.

— Wspaniałe i niewiarygodne! — wykrzyknął Peter Sandman, przyglądając się wywołanym zdjęciom, które zresztą sam przyniósł.

Karl Wander uśmiechnął się z wysiłkiem, nie chcąc psuć przyjacielowi dobrego nastroju.

— Chyba nie podziela pan, Karl, mojego zadowolenia? Dlaczego to? — zapytał Sandman. — Czyżby obawiał się pan, że Keilhacke zrobi z tego incydentu akcję antypaństwową?

— Niech próbuje, jest mi to całkowicie obojętne.

— Nie, nie robi tego, musiałby wystąpić w żałobnej roli. Te zdjęcia go ośmieszają. Tym nie musi się pan martwić.

Karl Wander spoglądał nieruchomo przed siebie.

— Przyznaję, przez chwilę mnie to bawiło. Tylko w końcu zdałem sobie sprawę, że to najzwyczajniejsza błaźnada! To tutaj nie wystarczy, niech pan zrozumie, to za mało!

Siedzieli w knajpie matki Jeschke, popijając tym razem nie Irish Stout, tylko lekkie wino mozelskie. Pochłaniali je jak wodę.

— Karl, czego pan jeszcze chce? — spytał zdziwiony Sandman. — Rzucił pan potężne kłody pod nogi politycznej klice Feldmanna i Kruga. Poza tym skłonił pan przewodniczącego komisji do właściwego działania, uwolnił pan pełnomocnika do spraw obrony od jego obciążeń, no i zmobilizował pan do działania wpływową, konkurencyjną firmę. W końcu udało się panu rozłożyć na łopatki aktualnie najślawniejszego z epigonów wielkoniemieckiej generalicji. Czy to ciągle za mało?

— To nie wystarczy — odpowiedział Karl Wander.

— Takie typy jak Feldmann i Krug to twarde sztuki. Oni się tak łatwo nie poddadzą. Jak można ich powstrzymać tuż przed osiągnięciem celu? Może należałoby powiadomić o wszystkich szczegółach kanclerza, a może prezydenta? Ale moje powiązania nie sięgają tak daleko. Peter, niech mi pan pomoże!

— Muszę się zastanowić. Być może mógłbym rzeczywiście coś dla pana zrobić. Może załatwię panu kolację z amerykańskim ambasadorem. Poczciwy John to szacowny człowiek, a poza tym ma w stosunku do mnie pewne zobowiązania, w końcu kilka razy dałem mu wygrać w golfa. Nie można jednak oczekiwać, że od razu zajmie jakieś stanowisko, czy też się konkretnie wypowie. Być może jednak byłby skłonny, w kilka dni potem, równie dyskretnie i niezobowiązująco nadmienić o tym kanclerzowi. Całkiem możliwe, że w sposób, który by panu odpowiadał.

— To już coś.

— Tylko, jak przypuszczam, dla pana zbyt mało i zbyt późno. Nie ma pan już za wiele czasu. — Peter Sandman odchylił się do tyłu, biorąc głęboki oddech. — Chyba nie pozostaje mi nic innego, jak zaznaczyć pana z Jerome.

— A któż to taki?

— Już raz wymieniałem to imię, było to podczas naszej pierwszej rozmowy w Bonn. Chyba nie zwrócił pan wtedy na to uwagi.

— A powinienem?

— Raczej tak, jak sędzę!

— To pana przyjaciel?

— Boże uchowaj! Ten Jerome to jeden z najbardziej krwiożerczych napastników na tym padole. Nie zawahałby się pod byle pozorem ukreślić mi karku. Z tym, że obecnie nie byłoby to zbyt opłacalne.

— I jemu chce mnie pan rzucić na pożarcie?

— Być może już mu pan został rzucony — stwierdził Peter Sandman. — A nawiasem mówiąc, coś mnie kusi, żeby powiedzieć: Zasłużył pan sobie!

Wezwany telefonicznie przez Sandmana Jerome zjawił się w knajpie matki Jeschke w niecałe pół godziny później. — O co chodzi? — zapytał nie witając się. Usiadł pomiędzy Sandmanem i Wanderem.

Mężczyzna zwany Jerome wyglądał jak konduktor tramwajowy na wcześniejszej emeryturze. Emanował od niego spokój, nieco mechaniczna uprzejmość, sprawiał solidne

i zarazem enigmatyczne wrażenie. Tak samo też się uśmiechał.

— Mój przyjaciel Karl Wander ma pewien problem — wyjaśnił Sandman.

— Nie ma problemów nie do rozwiązania, w każdym razie nie w mojej branży — powiedział spokojnie Jerome.

— W czym rzecz?

— To długa historia — zastrzegł się Wander.

— Historie mnie nie obchodzą — stwierdził Jerome. — Chodzi tylko o fakty, konkrety mające pokrycie w aktach, dane istniejące na fotokopiach, z datami, liczbami i nazwiskami. Na tym niech się pan skoncentruje, panie Wander.

Człowiekowi zwanemu Jerome podano podwójny koniak, który wypił jak szklankę wody mineralnej. Następnie zażądał reszty butelki. — To mój codzienny trening — oznajmił. — Niech pan sobie nie przeszkadza, panie Wander, proszę zaczynać!

Karl Wander zaczął; relacjonować: od początku oraz możliwie najkrócej i rzeczowo. Jerome przysłuchiwał się z całkowitą obojętnością. Dopiero po trzech minutach zastrzegł:

— Bez przypuszczeń! Liczy się tylko to, co wydaje się możliwe do udowodnienia! — Po kwadransie stwierdził z naciskiem: — Dalej! — Po następnym kwadransie zażądał:

— Dokładniej! — Jego butelka koniaku była już opróżniona do połowy.

Karl Wander starał się nie zwracać uwagi na jego wyzywająco obojętną twarz, co mu się zresztą nie udawało. Peter Sandman wyglądał na lekko zmęczonego. Wyczerpanie zdawało się zataczać coraz szersze kręgi. Wander słyszał swój głos jak dźwięk jednostajnie padającego deszczu.

— Stop! — powiedział nagle Jerome, jakby wyrwany z drzemki. — Niech pan jeszcze raz powtórzy, co pan przed chwilą powiedział.

— O materiałach dostarczonych przez Morgenrota?

— Właśnie — stwierdził całkowicie rozbudzony Jerome.

— Chodziło o telefoniczne meldunki, szczegóły przekazane ustnie, czy o dokumenty?

— Był to rodzaj dokumentu, zawierającego zestawienia,

co najmniej sześć. O nowej broni. Oprócz tego szczegóły techniczne z informacjami o kosztach i ich ustalaniu.

— Czy dokumenty zostały dostarczone bezpośrednio, czy był w to ktoś włączony?

— O ile wiem, Morgenrot przekazał informacje bezpośrednio Krugowi. Ten zawiadomił Feldmanna, a zapewne również przewodniczącego komisji obrony, aby ten ze swojej strony mógł zawiadomić kanclerza. W użyciu były jednak wyłącznie notatki, odpisy lub kopie.

Człowiek zwany Jerome spojrzął z nadzieją na Wandera. — O ile dobrze pana zrozumiałem, znaczy to, że oryginały nie ujrzały światła dziennego, tylko były przechowywane. Gdzie?

— W szafie pancерnej stojącej w biurze Kruga.

— Kto ma do niej dostęp?

— Tylko sam Krug.

— Z tym mógłbym już coś zrobić — oznajmił Jerome po namyśle. — Skinął głową w stronę Sandmana i zajął się, dalej Wanderem. — Czy zna pan bliżej zawartość tych akt?

— Nie we wszystkich szczegółach. Znam tylko niektóre detale. Widziałem na przykład dane o produkcji głowic magnetycznych do raket krótkiego zasięgu. Oprócz tego informacje o błędach w projekcie urządzenia celowniczego o kryptonimie „Z 69”, do tego notatki o niewystarczających środkach zabezpieczających przy tajnym projekcie „Fokus X”.

— Nieźle — zwrócił się Jerome do Petera Sandmana. — Z tym da się rzeczywiście coś zrobić.

— No to pokaż, co potrafisz, Jerome.

Ten skinął głową i wpatrywał się dalej w Wandera. — Tak sobie pana właśnie wyobrażałem, tylko niech pan sobie czasem nie pomyśli, że to komplement. Sandman, który ranie trochę zna, wie, że nie można się ich po mnie spodziewać. O ile więc pana dobrze rozumiem, panie Wander, chciałby pan skutecznie uziemić tego Kruga, nieprawdaż?

— W miarę możliwości, razem z Feldmannem!

— Jedno mogłoby pociągnąć za sobą drugie — stwierdził Jerome. — A może nie tylko to. Jednak początkowy efekt z pewnością da się osiągnąć.

— Jak to zrobisz? — zapytał Sandman.

— Wywołam rodzaj reakcji łańcuchowej. Proces idealnie pasujący do mojej obecnej koncepcji. Oczekuję jednak od ciebie, Peter, pewnej zapłaty. Zgoda?

— Akceptuję warunki — odparł Sandman. — Kiedy będziesz mógł dostarczyć rezultaty?

— Za około trzy godziny — zapewnił Jer orne. — Wystawię Samsona w gonitwie.

Po niecałych trzech godzinach Jerome ukazał się znowu w knajpie matki Jeschke. Pomieszczenie było wypełnione dymem, a na stole Sandmana i Wandera stały już cztery puste butelki.

Usiadłszy Jerome znowu zamówił butelkę koniaku, żądając w miarę możliwości tej samej marki. Matka Jeschke obsługiwała ich w milczeniu, przyniosła również dwie następne butelki mozelskiego wina, a następnie zamknęła drzwi lokalu i wyniosła się na zaplecze.

— No jak, udało się? — zapytał niecierpliwie Sandman.

— Tak i nie — odparł Jerome z uśmiechem i napełnił koniakiem stojący przed nim kieliszek. — Rezultat nie jest wprawdzie całkowicie zgodny z moimi oczekiwaniami, ale, być może, tym lepiej. Cała sprawa ma mianowicie pewne „ale”. Tak to niestety jest w mojej branży, sam się często dziwię.

— Może gdybyś trochę mniej pił, Jerome — zatroszczył się Sandman.

— Ja nie piję — odparł zdecydowanie Jerome. — Utrzymuję się tylko w formie, alkohol to podstawowe wyposażenie. — Opróżniwszy kieliszek, znowu go napełnił. Z jego myślą pocziwego, urzędniczego oblicza emanowała promienna łągodność. — Jak mówiłem, wystawiłem Samsona w gonitwie. Mój Samson stał od paru dni w stajni, gotów do biegu, wystarczył tylko sygnał do startu.

— Od kiedy to zajmujesz się końmi, Jerome? — spytał Sandman. — O ile wiem, w twoim środowisku masz do czynienia wyłącznie ze świniami.

— Samson jest także świnią, nawiasem mówiąc niezwykle operatywną — potwierdził Jerome. — To pseudonim agenta, który nawet nieźle dla nas pracował przez parę lat. Od paru miesięcy pracuje również dla konkurencji i też całkiem dobrze. Z tego powodu przysłała na niego kolej! Przygotowaliśmy wszystko do wydania go, w ramach koleżeńskej współpracy, w ręce niemieckiej służby bezpieczeństwa, oczekując zresztą ewentualnego aktu wdzięczności. Żeby przynęta wzięła, trzeba było ptaszka podrasować, ozdobić i napełnić nowym materiałem.

— Czyli danymi Morgenrota?

— W tym wypadku jako dodatek, ponieważ akurat nadarzała się okazja. — Jerome pił, delektując się smakiem koniaku. — Postarałem się więc, aby zaproponowano Sam-sonowi materiały Morgenrota. Kiedy powiedzieliśmy mu, że może je otrzymać, nie chciał ich! Dlaczego? Z początku sam nie znałem odpowiedzi, która jest szokująco prosta — te materiały były mu już znane! Ze wszystkimi szczegółami.

— Blefował. To niemożliwe!

— Niestety nie — stwierdził Jerome. — Dla zapewnienia planowanego przebiegu akcji „Samson” pozostało nam tylko udzielenie naszym niemieckim kolegom dyskretnych, ale jednoznacznych wskazówek na temat tych materiałów. Okazało się jednak, że i oni już je znali.

— Kto im je dostarczył?

— Stwierdzenie tego nie jest chyba zbyt trudne — odparł niedbale Jerome. — Znamy źródło, nawet Wander je zna, jednak moi niemieccy koledzy znali jedynie same materiały. Nie wiedzieli, skąd pochodzą, dla kogo były przeznaczone, czy też dokąd je skierować. Może nawet w tej chwili nie chcieli tego wiedzieć.

— To wszystko wygląda jak dżungla — powiedział zaniepokojony Wander.

— A jak pan myśli, gdzie my jesteśmy? — odparł lekko rozweselony Jerome. — Ja w każdym razie nie waham się doprowadzić moją koleżeńską usługę do punktu kulminacyjnego. Oczywiście pod warunkiem, Peter, że twój kolega Wander nie jest pozbawiony zdrowego rozsądku.

— To pewne — oświadczył z pełnym przekonania naciskiem Sandman.

Jerome skinął głową. — Z tego założenia wychodzę. Zgodnie z relacją Wandera, Morgenrot nie może być idiotą. Świadczy o tym na przykład fakt, że dostarczone przez niego dokumenty nie zawierają ani nadawcy, ani adresata. Wiedział więc, że zgromadził potężny ładunek czystego dynamitu, który nie może dostać się w niepowołane ręce.

— Założenie było następujące: Chodzi rzekomo o interes państwa — powiedział Karl Wander. — W takich okolicznościach można sobie pozwolić na wszystko.

— Co zresztą miało miejsce! — Jerome znowu starannie napełnił swój kieliszek. — Tylko, że w tym wypadku nic nie przebiegało normalnym trybem. Sprawa ograniczyła się nie tylko do jednego rachunku, jednego interesu, jednej wymiernej transakcji. Wmieszały się w to liczne czynniki emocjonalne, ludzka nieobliczalność i międzyludzkie konflikty. Sporo namieszały pewne ładne rączki, na przykład baronowej von Wassermann-Westen.

— To niemożliwe! — wykrzyknął bardzo zaskoczony Karl Wander.

— A gdyby to miała być prawda, to o co tu właściwie chodzi? — spytał Peter Sandman. — Szpiegostwo na rzecz obecnego mocarstwa, zapewne ze Wschodu? Może najlepiej od razu dla Chińczyków? Może zdrada stanu czy inny diabeł?

— Tak, tak, dużo tu możliwości, nieprawdaż? — stwierdził Jerome. — Oczywiście jest fakt, że Sabina wiedziała, gdzie znajdują się te kompromitujące materiały i tylko ona była w stanie do nich dotrzeć.

— Tylko ona? — upewnił się Wander.

— Być może również Ewa Morgenrot. Całkiem przypadkowo ten czy inny dokument mógł dostać się w jej ręce. Jest jednak martwa, być może z tego właśnie powodu. W rachubę wchodzi również Feliks Frost, dziwna osobistość, podobno milioner i jednocześnie komunista. Jest jednak w chwili obecnej nieosiągalny, ponieważ w międzyczasie wyniósł się do Ameryki Południowej.

— Wszystko to brzmi obiecująco skomplikowanie — oznajmił Sandman z nutką nadziei w głosie.

— Tak, zgadza się — potwierdził Jerome. — Ewa nie żyje, a to, co być może zwędziła Morgenrotowi, nie da się już odnaleźć. Nawet, jeżeli założymy, że Sabina zabezpieczyła te materiały, również ona jest martwa. Ten fakt niemiecka służba bezpieczeństwa z pewnością zarejestruje, ale nic poza tym. Będą się starali trzymać konkretów.

— Czyli Kruga! — potwierdził Wander.

Człowiek zwany Jerome przytaknął. — Już to zaaranżowałem.

— I za jednym zamachem osiągnął pan to, co mi się dotychczas, mimo wyłożonych starań, nie udawało — stwierdził z wdzięcznością Wander.

— Niech się pan za wcześnie nie cieszy — poradził Jerome. — Niech pan nie zapomina, że potknąć się czy upaść może tutaj każdy, nawet kilka razy. Jednak, jeżeli zna reguły gry, zawsze znowu będzie mógł stanąć na nogi.

— Ale to będzie musiało potrwać — stwierdził z przekonaniem Wander. — Na razie mi wystarczy, że będzie wyłączony na pewien czas.

Jerome spojrział na niego prawie ze współczuciem. Potem oznajmił: — Usunięcie Kruga nie jest równoznaczne z uziemieniem Feldmanna. Owszem, można założyć, że będzie miał spore kłopoty, ale nie tylko on!

— Dajmy sobie spokój z tymi spekulacjami! — przerwał pospiesznie Sandman. — Przecież może to być tylko jedna z twoich zabarwionych fantazją teorii.

— Obawiam się, że nie — odpowiedział. — Wynik jest następujący: Morgenrot dostarczał i Krug ciągnął z tego korzyści. Ewa próbowała się wmieszać, a i Sabina miała nadzieję zgarnąć dołą od obu stron. Zgodnie z planem posłużono się Martinem i Feliksem. A twój kolega, drogi Sandmanie, nasz Wander, był doręczycielem. Wszystko jedno, dobrowolnie czy niechętnie, celowo czy przypadkowo, z własnej woli czy może wciągnięty podstępem.

— Czy znaczy to, że nie ma dla niego ratunku? — zapytał zdruzgotany Sandman.

— Tego się obawiam.

— Tylko na to czekam! — oświadczył niewzruszony Wander. — Teraz im wreszcie wygarnę!

— Idealista — stwierdził sucho Jerome. — Mam nadzieję, że równocześnie nie kretyn! Panie Wander, radziłbym panu w najbliższym czasie dobrze się ukryć. Peter, wytłumacz mu!

— Przecież byłaby to tchórzliwa ucieczka — odparł z odrazą Wander. — Mogliby to zinterpretować jako pośrednie przyznanie się do winy.

— Sandman, za kogo mnie pan uważa! To jednak wariat!

— wykrzyknął człowiek zwany Jerome. — Myśli pan, że będę aranżował jego nieodpowiedzialne występy? Niech pan sprowadzi na ziemię swojego młodego przyjaciela, nie można przecież całkowicie tracić kontaktu z rzeczywis tością!

— Karl, mój drogi, jeżeli pan natychmiast nie zniknie, to musi się pan liczyć z tym, że w celu zebrania dowodów zostanie pan aresztowany i izolowany. Czy koniecznie chce pan ryzykować?

— Nie poczuwam się do żadnej winy — odparł Wander.

— To pan tak uważa! — Peter Sandman z trudnością ukrywał zdenerwowanie. — Kogo pan chce przekonać? Nawet ja wątpię, czy w dzisiejszych czasach taki donkiszot ma szansę przeżycia. Przecież Kohl również doszedł do tego wniosku. Zawsze próbowaliśmy być pana przyjaciółmi.

— Niech pan to doceni! — wtrącił Jerome. — Im dłużej żyję, tym trudniej mi przychodzi zdobywanie się na przyjacielskie gesty. A w pańskim wypadku było to szczególnie trudne.

Karl Wander rozejrzał się bezradnie. — Co mam zrobić?

— spytał jak gdyby sam siebie. — Oczywiście, mogę się wycofać! Może uratuję swoją skórę, nie dowiadując się, ile jest rzeczywiści warta.

— Nie zainwestowałbym w niego ani feniga — oznajmił Jerome zwracając się do Sandmana. — To naprawdę beznadziejny idealista.

— Możliwe — odpowiedział z wysiłkiem Wander. — Ale to tylko moja sprawa. Nie chcę, żeby ktokolwiek ryzykował przeze mnie jakiegokolwiek kłopoty, przede wszystkim pan, Sandman.

— Kłopoty mi nie zaszkodzą, Karl. Nie tylko grywam w golfa z amerykańskim ambasadorem, ale i próbują ubijać interesy z Jerome. A on od czasu do czasu dostarcza bomb, które miewają pewne „ale”.

— Na co pan jeszcze czeka? — Jerome dopił resztkę ze swojej butelki. — Może nie potrafi pan rozstać się ze swoimi ukochanymi Niemcami?

Karl Wander podniósł swój kieliszek. — Może ma pan rację, śnię, a więc śpię. Teraz się jednak obudziłem i muszę chyba się najpierw przyzwyczaić do tego stanu.

— Niech pan spróbuje! — powiedzieli obaj.
Karl Wander próbował, mając już na to tylko kilka godzin czasu. Nie udało mu się. Wkrótce został aresztowany.

Spis treści

1. Los z dostawą do domu, jednak po dość wysokiej cenie 7
2. Przeznaczenie bierze rozpad — ale i to wymaga czasu, jeśli ma być zrobione porządnie..... 27
3. Przeznaczenie może być jak teczka z aktami, nawet jeśli na pewien czas pokrywa się kurzem . . 43
4. Plan, który pomaga manipulować śmiercią — nawet bez jej wiedzy 61
5. Śmierć jest nieobliczalna — nawet jeżeli wciąż na nowo próbujemy wystawiać jej rachunki..... 83
6. Również jedno nędzne życie ludzkie może być warte miliony, ale przy tym prawie nic nie kosztować 105
7. Pełni dobrej woli i najlepszych intencji — wszystko jedno, kto w to uwierzy czy też będzie musiał uwierzyć 133
8. W środku tajfunu może być strefa ciszy. Na nią właśnie trzeba uważać!..... 161
9. Również teorie mogą rodzić czyny, jednak początkowo tylko niewielu w to wierzy 185
10. Prawda wygląda zawsze na niepodzielną — niewielu chce jednak wiedzieć, co to może oznaczać. 205
11. Każdy chce kiedyś definitywnie zakończyć sprawę — tylko komu się to udaje? 227